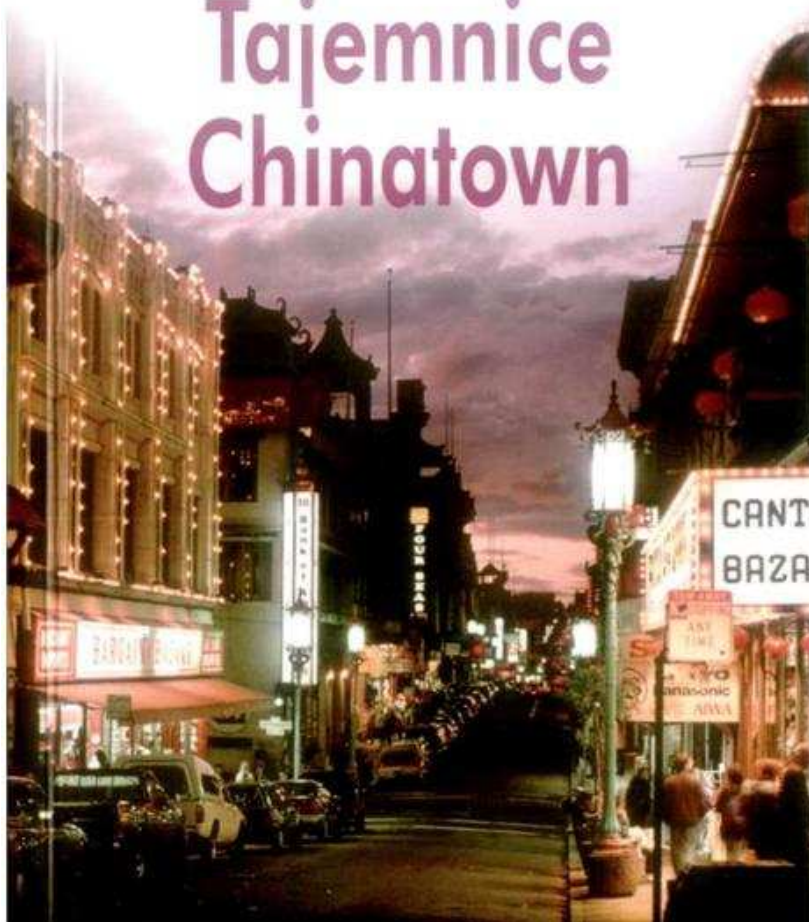


William C.
GORDON

Tajemnice
Chinatown





WILLIAM C. GORDON

Tajemnice Chinatown to zabawny kryminal retro, a zarazem fascynujący obraz chińskiej dzielnicy San Francisco u progu lat 60. William Gordon, autor książki, kalifornijski adwokat z 40-letnim doświadczeniem zawodowym, jest mężem słynnej pisarki Isabel Allende, z którą często rozmawia o swoich postaciach i scenach.

San Francisco, rok 1960. Początkujący, acz ambitny reporter Samuel Hamilton postanawia przyjrzeć się bliżej okolicznościom zagadkowej śmierci znajomego, Reginalda Rockwooda, który zginął potrącony przez trolejbus. Co ciekawe, kilka dni wcześniej zamieścił w gazecie własny nekrolog. Samobójstwo czy jednak morderstwo? Tropi sprawy prowadzą do Chinatown. W jaki sposób Rockwood, zadający szyku eleganckim smokiem, a na co dzień zatrudniony jako nocny stróż, zebrał imponujące oszczędności, które przechowywał u obsługującego całą dzielnicę zielarza-bankiera Songa? Wspierany przez przyjaciela z FBI, prawnika Charlesa Perkinsa, Sam wpada na trop nielegalnego handlu dziełami sztuki szmuglowanymi z Chin i ledwie uchodzi z życiem ze strzelaniny. Czy uda mu się zrealizować swoje zawodowe ambicje i zdobyć serce pięknej dziewczyny?

ISBN 978-83-7359-559-0



9 788373 595590

William C. GORDON wychował się w meksykańskiej dzielnicy nędzy w Los Angeles. Po studiach filologicznych na Uniwersytecie Kalifornijskim w Berkeley odsłużył kilka lat w amerykańskiej armii. W 1965 roku rozpoczął trwającą prawie 40 lat karierę prawniczą. Jako adwokat reprezentował społeczność hiszpańskojęzyczną w sprawach cywilnych. Miał też własny bar w San Francisco. Idąc śladami ojca, z inspiracji żony, pisarki Isabel Allende, którą poślubił w 1987, sam zaczął pisać. Jego debiutancka powieść, TAJEMNICE CHINATOWN (2006), powstała na bazie wcześniejszego opowiadania. Druga, *The King of the Bottom*, ukaże się w 2008.

www.williamcgordon.com

William C.
GORDON

**Tajemnice
Chinatown**

Z angielskiego przełożyła
MAŁGORZATA GRABOWSKA



WARSZAWA 2007

Tytuł oryginału:
THE CHINESE JARS

Copyright © William C. Gordon 2006
All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wy-
dawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2007

Copyright © for the Polish translation by Małgorzata Grabowska 2007

Redakcja: Joanna Morawska Ilustracja na
okładce: Klaus Hackenberg/zefa/Corbis
Zdjęcie autora: Lori Barra Projekt graficzny
okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

ISBN 978-83-7359-559-0

Dystrybucja

Firma Księgarska Jacek Olesiejuk
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.
Uf. 022-535-0557, 022-721-3011/7007/7009
www.olesiejuk.pl



Sprzedaż wysyłkowa - księgarnie internetowe

www.merlin.pl
www.empik.com
www.ksiazki.wp.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS
ANDRZEJ KURYŁOWICZ
Wiktorii Wiedeńskiej 7/24, 02-954 Warszawa

Wydanie I
Skład: Laguna
Druk: OpolGraf S.A., Opole

*Książkę tę dedykuje
chińskiej dzielnicy San Francisco*

Rozdział 1

Reginald Rockwood Trzeci

Reginald Rockwood Trzeci zmarł dzisiaj w wieku trzydziestu pięciu lat. Był dziedzicem fortuny jednego z najzamożniejszych rodów Kalifornii. Urodził się w San Francisco w 1925 roku, uczęszczał do prywatnego liceum Cate, studiował w Berkeley na uniwersytecie stanowym, który ukończył z wyróżnieniem. Służył w armii Stanów Zjednoczonych, zyskując uznanie przełożonych. Odznaczony medalem za odwagę na wojnie w Korei. Pozostawił w żalu rodziców oraz siostrę, panią Haskell z Palo Alto. Nabożeństwo żałobne odbędzie się w katedrze Łaski Bożej w najbliższy wtorek.

Tego dnia w roku 1960 panowała w San Francisco rześka Jesienna aura. Samuel Hamilton siedział przy dużym okrągłym stole — tym samym, przy którym prawie co wieczór spotykał się z Reginaldem — przy wejściu do baru Camelot. Nie mógł wiedzieć, że nazwą baru posłużą się kiedyś mądre

głowy, opisując krótkie panowanie Kennedy'ego, który właśnie został wybrany na prezydenta.

Samuel, którego przodkowie wywodzili się ze Szkocji i Niemiec, przybył do Kalifornii z Nebraski. Pod koniec drugiego roku przerwał studia na Uniwersytecie Stanforda, gdy nieznani sprawcy zamordowali jego rodziców. Na tej tragedii się nie skończyło. Będąc w żałobie, upił się i doprowadził do czołowego zderzenia dwóch aut. W wypadku tym poważne obrażenia odniosła młoda kobieta. Dzięki sprytnym manewrom adwokata z San Francisco Samuel nie poszedł do więzienia, niemniej stracił na trzy lata prawo jazdy i spotwiły go jeszcze gęstsze ciemności, których nie potrafił roz-

Ze smutkiem przeczytał nekrolog w gazecie, dla której pracował w dziale ogłoszeń drobnych. Śmierć Rockwooda dodatkowo go przygnębiła. Z żalu po stracie rodziców i po wypadku nie mógł się otrząsnąć od sześciu lat. Żył z dnia na dzień, tłumacząc brak celu w życiu depresją, która szła za nim wszędzie. A teraz jeszcze to!

Stracił kumpla do kielicha i kogoś, przed kim przez ostatnie dwa lata mógł się wyżalić. Samuel słuchał z podziwem i po trosze z zazdrością opowieści Reginalda o podróżach i miłosnych podbojach w egzotycznych zakątkach świata. Rozważali nawet możliwość wybrania się na wspólną eskapadę. Dla Samuela ktoś taki jak Reginald był zaiste tratwą ratunkową.

Podrapał się skonsternowany w głowę, zaciągając się papierosem bez filtra. Rękawy workowatej sportowej marynarki miał upstrzone wypalonymi dziurkami, a ramiona — łupieżem

spadającym z rzednących rudych włosów. Jakże odmiennie prezentował się elegancki Rockwood, mężczyzna przystojny i czarujący pomimo wykrzywającego oblicze wzdorliwego uśmiešku.

Samuel pamiętał głębokie zmarszczki przy kącikach ust Reginalda, a także wokół oczu, lekko wypukłych zapewne z powodu intensywnego trybu życia. Zmarszczki wcale nie odejmowały mu urody — miał mocno zarysowane brwi, ciężkie powieki, gęste czarne włosy, zawsze gładko zaczesane do tyłu, smukłą, szczupłą sylwetkę. Wyglądał jak włoski aktor filmowy, a przy tym nienagannie się ubierał. Samuel nigdy nie widział go bez smokingu. Miał nawet czasem wątpliwości, czy strój Reginalda jest na miejscu, ale nie ośmielił się wspomnieć o tym na głos. Jakże zresztą miał podstawy, by wypowiadać się na temat mody? Przyjaciel był nocnym markiem i obracał się — jak sądził Samuel — w wyższych sferach, gdzie być może moda nakazywała nosić smoking. Strząsnął popiół z papierosa w stronę popielniczki, ale nie trafił — część szarego pyłu spadła na stół, a reszta spłynęła powoli na podłogę.

Była jedenasta. Sobotnie przedpołudnie. Z chodnika przed barem można było patrzeć na zatokę San Francisco i śledzić wagoniki tramwajów, które dzwoniły przed zakretem, po czym zjeżdżały z Nob Hill na drugą stronę kipiącego życiem miasta. W zimne wietrzne dni, takie jak dziś, konduktorzy rozdawali pasażerom koce do osłonięcia nóg.

Tego ranka Samuel siedział przy stole sam. Zawołał Melbę, współwłaścicielkę Camelotu. Melba miała pięćdziesiąt parę lat, ale postarzyły ją papierosy, alkohol i ciężka praca. Mówiła

chrypliwym głosem marynarza, a jedyną oznaką dbałości o urodę był niebieskawy odcień siwych włosów. W mdłym świetle baru koafiura wyglądała jak peruka.

— Wiesz, że Reginald Rockwood nie żyje?

— Tak, przeczytałam nekrolog w gazecie. Co mu się przytrafiło? — spytała.

— Nie wiem.

— Był dupkiem za życia, więc i po śmierci nim pozostanie — wymamrotała.

— Co?! — krzyknął Samuel. — Myślałem, że cieszysz się tutaj sympatią i szacunkiem. Wyglądał na człowieka sukcesu.

— Gówno prawda. Paradował w pieprzonym smokingu, jakby wybierał się na bal dla debiutantek. Spójrzmy prawdzie w oczy. Gdyby naprawdę odniósł sukces, nie przesiadywałby tutaj.

Zaniepokojony Samuel puścił mimo uszu kąśliwą uwagę o podobnych mu bywalcach.

— Jesteś wściekła, bo Reginald był ci winien dwieście dolarów, których już pewnie nie zobaczysz. A może wiesz o nim coś, czego ja nie wiem?

— To tylko przeczucie — odparła Melba. — Tylko przeczucie.

— Oparte na jakiej podstawie? — dopytywał się Samuel.

— To był gnojek i miał węża w kieszeni. Przychodził tu co wieczór i nigdy nikomu nie postawił drinka, za swoje też nie płacił. Nicpoń.

— Wnerwiasz się, bo nigdy nie dał ci napiwku.

— Tu chodzi o coś więcej. Widziałeś kiedyś, żeby on normalnie jadł? Podjadał najwyżej ze stolika z przystawkami.

— To prawda. Ale ciągle chodził na jakieś wystawne przyjęcia. Miał przy sobie zaproszenie, a tutaj wpadał przedtem na małą przekąskę i drinka.

— Założmy się o dziesięć dolarów — zaproponowała Melba. — Stawiam na to, że ten facet nie wydał na nikogo nawet centa.

— Jak to? Chciał mnie zabrać do Maroka. Kupił bilety na samolot. Tak mi mówił i to nieraz.

— Gadaj sobie zdrów. Pokaż mi te bilety — odparła ze śmiechem Melba.

— Dobra, przyjmuję zakład — powiedział Samuel z promiennym uśmiechem, który gościł na jego obliczu, kiedy był szczęśliwy lub przekonany, że coś mu się udało, jak na przykład teraz, gdy założył się z Melbą. Nie miał przy tym pojęcia, w jaki sposób udowodni, że Reginald naprawdę miał te bilety.

Potem rozsiadł się znowu wygodnie i popadł w zadumę, paląc i popijając szkocką z lodem. Przegadał z Reginaldem wiele wieczorów, więc wydawało mu się, że go zna. Miał go za wrażliwego i inteligentnego człowieka, wnikliwie roztrząsającego problemy tego świata. Z pewnością nie za skąpca i nicponia, jak podsumowała go Melba, bo przecież z kimś takim by nie przestawał. Nawet ona musiała mu choć trochę ufać, skoro pożyczyła mu pokąźną — w oczach Samuela — sumę. Pozostałby przy swoich przekonaniach i toczyłby nadal tuzinkowe życie, gdyby nie wybrał się we wtorek do katedry Łaski Bożej na nabożeństwo żałobne za Reginalda.

* * *

Samuel przybył na miejsce wcześniej, spodziewając się tłumów. Kościół jednak świecił pustkami. Samuel zaczął czekać do wyznaczonej godziny, lecz nabożeństwo się nie zaczęło, a na dodatek nie pojawił się nikt, kto byłby nim zainteresowany. Wyszedł więc przed kościół i sprawdził na tablicy przewidziane na ten dzień nabożeństwa — żadne nie miało związku z Reginaldem Rockwoodem. Sądząc, że pomylił daty, zapytał kręcącego się w pobliżu, dobrodusznego księdza, czy wie coś o zmarłym. Ksiądz uczynnie przeszukał kościelny rejestr i pokazał Samuelowi, że ani na ten dzień, ani w żadnym wcześniejszym bądź późniejszym terminie nie odnotowano nabożeństwa za pana Rockwooda.

Samuel wrócił do Camelotu. Melba zaczęła swoją zmianę. Opowiedział jej, co mu się przydarzyło.

— Reginald miał pewnie tyle długów, że sam dał nekrolog do gazety, a potem zwiął z miasta — rzekła, myśląc o dwustu dolarach, których już nie zobaczy.

— A ciało? — spytał Samuel.

— No właśnie. Jesteś pewien, że to były zwłoki Rockwooda? Nie on jeden nosi smoking.

— Ktoś musiał go zidentyfikować, to oczywiste.

— Może miał wypadek.

Samuel nie wiedział, co o tym sądzić. Wypił dwie podwójne szkockie z lodem i niezbyt pewnym krokiem powlókł się do kawalerki na rogu Powell i Pacific, tuż przy chińskiej dzielnicy. W pokoju mieściło mu się rozkładane łóżko, sofa i stół, który przydałoby się posprzątać. Pranie suszył na przeciągniętym w poprzek sznurze. Z ciasnej kuchni nigdy nie korzystał, a w łazience miał zardzewiałe krany. Pałac to nie był, ale

Samuel uważał, że nie ma powodu do narzekań. W takim mieszkanku zmieściłaby się cała rodzina Chińczyków.

Zataczając się, wszedł po schodach, padł na łóżko i spał jak zabity do rana.

* * *

W środę rano wybrał się do pobliskiej chińskiej kafejki, Chop Suey Louie's, na lurowatą kawę i ciasto. Rzucił krótkie „cześć” zaprzyjaźnionemu właścicielowi, który odpowiedział szerokim uśmiechem. Przy stoliku koło drzwi, mierząc wzrokiem klientów, siedziała jak zwykle drobna staruszka, matka Louiego. Mieszkała w San Francisco od trzydziestu lat, a myślała, że wciąż jest w Kantonie. Nie znała ani słowa po angielsku i nigdy nie wytknęła nosa poza chińską dzielnicę. Natomiast Louie mówił po angielsku bez naleciałości i był tak dumny, że jest Amerykaninem, że udekorował kafejkę amerykańskimi flagami i zdjęciami żołnierzy, z którymi służył w wojsku w czasie drugiej wojny światowej i w Korei. Był mniej więcej wzrostu Samuela, miał czarne gęste włosy i miłą okrągłą twarz ze śladami po trądziku. Przyciągnął więcej klientów życzliwością niż jakością potraw przygotowywanych w jego kuchni.

Nieduża sala mieściła dwanaście stolików przykrytych niebieską ceratą. Na każdym stała butelka sosu sojowego, solniczka, pieprzniczka i chromowany serwetnik. Przy kon-tuarze, gdzie zwykle siadał Samuel, przewidziano miejsce dla sześciu klientów, którzy mieli ze stołków widok na wielkie akwarium zajmujące niemal całą tylną ścianę oddzielającą salę od kuchni. Tropikalne ryby pływające pomiędzy za-

dbanymi wodnymi roślinami działały hipnotyzująco. Samuel przychodził tu nieraz tylko po to, żeby na nie popatrzeć.

Po porannej kawie złapał tramwaj na Hyde Street, zmierzający do terminalu przy końcu Powell Street, a potem przeszedł kilka przecznic do rogu ulic Trzeciej i Market, gdzie pracował. Nastawił zegarek według zegara na wieży Ferry Building na początku Market. Biuro, które dzielił z pięcioma innymi sprzedawcami ogłoszeń, mieściło się w suterenie dziewiętnastopiętrowego gmachu, siedziby dużego dziennika. Zszedł po skapo oświetlonych schodach do korytarza. Z ulgą stwierdził, że wentylator umieszczony pod sufitem działa, zmniejszając nieco woń stęchlizny nasycającą niezdrowe powietrze w suterenie. Otworzył drzwi z matową szybą, na której grube czarne litery układały się w napis „Dział ogłoszeń”. Zapalił fluorescencyjne światło nadające zielonkawy odcień pomieszczeniu bez okien. Wcisnął tu pięć biurek, choć powinny stać dwa. Na każdym piętrzyły się książki telefoniczne i papiery. Niektóre leżały tu od dawna. Przejrzał pocztę. Listy zawierały prozaiczne treści, najczęściej obietnicę kupna ogłoszenia w bliżej niesprecyzowanym terminie. Spróbował się skupić, ale duch Reginalda Rockwooda nie dawał mu spokoju. Nieboszczyk nie zjawił się na własnym pogrzebie? Dlaczego? Zaczął się zastanawiać nad tym, co mówiła Melba o zaplanowanym zniknięciu Rockwooda. Potem poszedł pogadać z

— Pamiętasz może przyjęcie tego? — spytał, pokazując wycinek.

Urzędnik obojętnie wziął do ręki klepsydrę i zniknął w pokoju na zapleczu. Czekał na jego powrót, Samuel wygładzał

zagniecenia białej koszuli i poprawiał rękawy beżowej sportowej marynarki. Popiół z papierosa spadł na podłogę, a podmuch wiatraka pod sufitem rozrzucił szary pył po kątach małego dusznego biura. Urzędnik wrócił z teczką.

— Pamiętam gościa, który przyniósł to zawiadomienie. Trudno go zapomnieć. Był odpicowany w smoking, dasz wiarę? Powiedział, że umarł mu brat i chciał koniecznie, żeby klepsydra ukazała się w sobotę. Wkurzyło mnie tylko, że skurczybyk chciał być obsłużony jak księżę, a nawet nie dał napiwku.

— W smoking, tak? — powtórzył Samuel, zaciągając się papierosem. — Możesz opisać tego człowieka? Jakie miał włosy?

— Czarne, zaczesane gładko do tyłu. Brązowe oczy. Przy stojniak.

— Wysoki?

— Wysoki, dobrze zbudowany.

— Zostawił adres?

— Jasne. I to nie byle jaki, Broadway w Pacific Heights.

Samuel zanotował adres. Wyszedł stamtąd zamyślony.

Czyżby Reginald naprawdę przyniósł do gazety własny nekrolog?

Zostawił papiery na biurku, wbiegł po schodach i wyszedł na ulicę. Mżyło, a on nie miał płaszczka od deszczu. Na Trzeciej Ulicy złapał trolejbus, który przeciął Market i pojechał Ulicą Kearney. Na skraju chińskiej dzielnicy, która pachniała zupełnie inaczej niż sterylny Financial District, przesiadł się do autobusu jadącego w kierunku Pacific Avenue. Wciągając

zapach sosu sojowego i imbiru, niemal czuł w ustach smak klusek, które gotowały się w otaczających go chińskich kuchniach.

Autobus pokonał wzniesienie, przeciął Van Ness i wjechał do dzielnicy, gdzie, jak można się było domyślać, mieszkał Reginald. Samuel nacisnął dzwonek okazałej rezydencji z portykiem z greckimi kolumnami. Kiedy duże ozdobne mahoniowe drzwi w odcieniu ciemnego orzecha otworzyły się powoli, ujrzał przed sobą ładną Chinę w czarnej sukience i wykrochmalonym białym fartuszk. Popatrzyła na niego uważnie przez okulary w drucianej oprawie.

— Tak, panie. Czym pomóc?

— Nazywam się Hamilton. Pracuję w lokalnej gazecie. Zbieram materiał do artykułu o Reginaldzie Rockwoodzie Trzecim. Z naszego archiwum wynika, że tu mieszkał.

— Nie, nie. Ten człowiek tu nie mieszkać — odparła Chinka.

— Ale znała go pani? — spytał z ulgą.

— Ten człowiek był tu na przyjęciu. Bardzo głodny. Jeść dużo i pić dużo za darmo, a potem wyjść.

— Kiedy to było?

— Trzy miesiące temu.

— Jak to możliwe, że go pani pamięta?

— Pamiętam wszystkich, co tu przychodzą, z nazwiska też. Wysoki, przystojny jak na białego diabła. Czarne włosy. Bardzo głodny. Zjadł wszystko, potem poszedł.

— Wie pani, gdzie mieszka albo skąd przyjechał?

— Nie, nie. Przyszedł na przyjęcie. Nigdy przedtem go nie widziałam. Miał zaproszenie.

- Czy mógłbym porozmawiać z panią tego domu?
 - Nie tutaj. Proszę zostawić wizytówkę, może zadzwoni.
- Samuel dał pokojówce wizytówkę.
- Witam, panie — powiedziała i zamknęła wielkie drzwi.

* * *

Wracając autobusem do centrum, Samuel miał czas na rozmyślenia. Stało się jasne, że przyjaciel napisał własną klepsydrę, w dodatku zapewne kłamliwą. Samuel nie potrafił dociec, dlaczego Reginald to zrobił, czemu podał tyle błędnych informacji. W uszach dźwięczały mu wątpliwości Melby. Z pewnością Reginald nie napisałby tej klepsydry, żeby wymigać się od zwrotu dwustu dolarów. Musiał mieć większy dług albo inne poważne problemy. A co on sam o nim wiedział? Właściwie niewiele.

Kiedy autobus zatrzymał się przed siedzibą gazety, Samuel wysiadł, zszedł na dół i odnalazł zaprzyjaźnionego reportera z kroniki kryminalnej. Dziennikarz walił w maszynę do pisania palcami czarnymi od kalki. Samuel wyjaśnił, czego się dowiedział.

— Wypytaj koronera. On bada przyczyny zgonów — do radził dziennikarz.

Samuel poszedł za jego radą i dwadzieścia minut później znalazł się w biurze koronera tuż za nowym gmachem sądów, wieszczącym wszystkie sądy kryminalne.

Jest szef? — spytał chudego młodzieńca z żółtymi zębami.

Akurat ktoś u niego jest. To zajmie około kwadransa. Kogo mam zapowiedzieć?

— Samuel Hamilton. Przysłał mnie reporter z kroniki kryminalnej. Pracuję dla gazety.

— Może ja mógłbym w czymś pomóc?

— Zajmujemy się zgonem Reginalda Rockwooda Trzeciego. Czy to nazwisko coś panu mówi?

— No pewnie. Zajmowałem się jakiś czas tą sprawą, ale szef ją przejął. Mówi się, że tamten gość był bywalcem salonów.

— Jak to „mówi się”? — spytał Samuel.

— Dalej porozmawia pan z szefem — powiedział urzędnik. — Już jest wolny.

Samuel wszedł do biura koronera. Koroner był wysokim mężczyzną o melancholijnej minie zółwia i mimo białej lekarskiej marynarki z plakietką z nazwiskiem wyglądał niechlujnie. Na ścianach wisiły rysunki anatomiczne różnych części ciała, a w kącie stał prawdziwy szkielet, z zarzuconym na czaszkę francuskim beretem.

— Asystent przekazał mi, że interesuje pana Reginald Rockwood — rzekł koroner.

— Zgadza się. Pewne fakty z nim związane budzą zdziwienie — wyznał Samuel. — Wie pan, że kilka dni przed śmiercią umieścił w gazecie własny nekrolog.

— Ciało, które tu mamy, to na pewno on. Odciski palców się zgadzają.

— Co było przyczyną śmierci? — zadał pytanie Samuel.

— Samobójstwo. Skoczył pod koła trolejbusu. Właściwie niepotrzebnie, bo było z nim kiepsko. Autopsja wykazała, że miał wątrobę wielkości piłki futbolowej. Pewnie wiedział, co go czeka, i wybrał drogę na skróty.

Samuel z niedowierzaniem potrząsnął głową.

— Poszedłem pod podany przez niego adres, ale pokojówka powiedziała, że nigdy tam nie mieszkał.

— Naprawdę? Nie znamy jeszcze jego miejsca zamieszkania. A czy tam, gdzie pan był, wiedzieli, kim jest?

— Tylko tyle, że trzy miesiące temu był na przyjęciu — wyjaśnił Samuel.

— Zadzwoniliśmy do pani Haskell, którą wskazał jako swoją siostrę, ale ona nigdy o nim nie słyszała — rzekł koroner.

— W takim razie skreślę ją ze swojej listy — zapowiedział Samuel. — A czy wiecie, gdzie pracował, jeżeli w ogóle pracował?

— Nie mamy pojęcia — odparł koroner. — Przyjęto go do szpitala San Francisco General w piątek wieczorem, w stanie śpiączki, a zmarł w sobotę rano, nie odzyskawszy przytomności. Nikt dotąd nie zgłosił się po ciało. I przypuszczam, że nikt się nie zgłosi.

— Macie tu jego ciało? — spytał zaskoczony Samuel.

— A gdzie miałyby być, jak nie tutaj, w kostnicy.

— Mogę go zobaczyć? Był moim przyjacielem, to by wiele dla mnie znaczyło.

Żółtwa mina wyrażała przez chwilę powątpiewanie.

— To dość niezwykła prośba, ale przyda nam się fizyczna identyfikacja dla celów archiwalnych. Proszę za mną.

Ruszyli korytarzem, kilka razy przeszli przez dwuskrzydłowe wahadłowe drzwi, aż dotarli do kostnicy. Przez jeszcze jedne drzwi po prawej stronie korytarza wkroczyli do pomieszczenia, gdzie na trzech ścianach, po cztery jedna nad drugą, Piętrzyły się stalowe szuflady. Widoczny bok każdej z nich

miał około pół metra kwadratowego powierzchni i był oznakowany cyframi. Obok drzwi stało biurko z księgą i blokiem papieru. Koroner odszukał nazwisko Rockwooda, zanotował numer, wydarł kartkę z bloku, przeszedł wzdłuż rzędu stałych prostokątów, aż dotarł do dwudziestki piątki. Sprawdził na kartce.

— Nie choruje pan na serce ani nic z tych rzeczy, co? — upewnił się.

— Nie. Ale muszę przyznać, że nie widziałem trupa od czasu, kiedy kilka lat temu zmarli moi rodzice.

— Na pewno chce pan zobaczyć ciało.

— Tak. To dla mnie ważne.

— Dobrze, sam pan o to prosił — rzekł koroner i wysunął szufladę.

Samuel zobaczył białe prześcieradło i zarys ciała leżącego na metalowej tacy. Poczul zimne powietrze zionące z otwartego prostokąta. Koroner przestał ciągnąć, kiedy szuflada była wysunięta mniej więcej na metr, i powoli odsunął prześcieradło, odsłaniając głowę, ramiona i połowę klatki piersiowej.

— To on — stwierdził Samuel po dłuższej chwili, kiedy mógł dobrać głos. Spodziewał się, że ujrzy Reginalda uśmiechniętego, jakim go zapamiętał, niestety gwałtowna śmierć poczyniła spustoszenia w jego twarzy. Prawdopodobnie upadł przed trolejbusem, który powlókł go po asfalcie. Miał rozplaszczony nos i wgniecioną kość policzkową, ale to przecież był jego przyjaciel: te same czarne włosy, wyraźnie zarysowane brwi i delikatne usta. Przez środek klatki piersiowej biegły szwy po autopsji.

— To okropne — wymamrotał.

— Uprzedzałem.

— A skąd te siniaki na ramionach? Wyglądają, jakby ktoś go bardzo mocno przytrzymał.

— Nie przykładałbym do nich większej wagi — rzekł koroner. — Przed śmiercią był przez kilkanaście godzin w stanie śpiączki. Pielęgniarze musieli go przetransportować, układać.

— Odczekał chwilę i spytał: — Napatrzył się pan?

— Tak. Dziękuję. Rozumie mnie pan? To był mój przyjaciel.

— Rozumiem — odparł koroner.

Przykrył ciało i wepchnął szufladę na miejsce. Ruszyli z powrotem do biura.

— Co stanie się z ciałem? — spytał Samuel.

— Przechowamy je około miesiąca. Jeżeli nikt się nie zgłosi, żeby je odebrać, ani nie będzie żadnych innych przeszkód, prześlemy je na cele naukowe. Wydział medycyny Uniwersytetu Kalifornijskiego ma stałe zapotrzebowanie na zwłoki.

— Mam jeszcze jedną prośbę — rzekł Samuel. — Czy mógłbym przejrzeć jego rzeczy?

— To też jest trochę wbrew regulaminowi, ale co tam. Powiemy, że pomaga pan rozwikłać zagadkę.

Sięgnął po telefon i poprosił asystenta o pokazanie Samuelowi rzeczy osobistych denata. Po kilku minutach asystent wszedł z workiem na ubrania zawierającym smoking, koszulę, skarpetki, bieliznę oraz plastikową torbę z portfelem, zegarkiem, spinkami do mankietów i kołnierzyka koszuli frakowej, niemal opróżnionym pudełkiem po papierosach, zapalniczką Zippo i siedemnastoma dolarami.

— Proszę bardzo. Może pan skorzystać z magazynu dowodów. Proszę się tam rozgościć.

— Dziękuję. Zgłoszę się, jeżeli znajdę coś, co mogłoby okazać się pomocne — odparł Samuel.

Popatrzył na stertę rzeczy i w oczach wezbrały mu łzy. Rzadko płakał, ale zasmuciła go myśl, że tylko tyle zostało z biedaka. Otarł oczy rękawem. Nie mógł przecież po prostu odejść, choć najchętniej tak by zrobił.

Zaczął zatem metodycznie przeglądać zawartość portfela. Prawa jazdy w nim nie było, jedynie karta ubezpieczenia i fotografia młodszego Reginalda w mundurze. Miał na ramionach belki porucznika, ale nie było widać czy srebrne, czy złote. Następnie Samuel przeszukał kieszenie fraka i znalazł zaproszenie na przyjęcie mające się odbyć tego wieczoru, kiedy Reginald rzekomo rzucił się pod koła trolejbusu. Koktajl dla doborowych gości, jak wynikało z zaproszenia, odbył się w Pacific Heights, w domu bogatego przemysłowca. Wkleśłodruk był dziełem ekskluzywnej drukarni Engela z San Francisco, mieszczącej się przy Sacramento Street w Financial District. Ponieważ wraz ze zwyczajowym RSVP podano numer telefonu, Samuel przerwał przeglądanie rzeczy i zadzwonił. Jego rozmówca zapewnił, że nie słyszał o Reginaldzie Rockwoodzie Trzecim ani nie wiedział, skąd miał zaproszenie. Z pewnością na przyjęcie nikt go nie zapraszał.

W teczce z dokumentacją autopsji, oprócz zapisków koronera, znajdował się jednostronicowy raport policyjny stwierdzający, że Rockwood raptem znalazł się przed trolejbusem, tuż przy szpitalu General Hospital, i kierowca nie zdążył wyhamować.

Samuel wrócił do biura koronera i powiedział, co znalazł. Pojadę do tej drukarni i powiadomię pana, jeżeli dowiem się czegoś nowego. Dziękuję, że pozwolił mi pan obejrzeć rzeczy — rzekł Samuel i wyszedł.

* * *

Drukarnia Engela mieściła się przy Sacramento Street, kilka przecznic na wschód od Montgomery, niedaleko biegnącej nad zatoką Embarcadero. Samuel pchnął drzwi i wszedł do ładnie urządzonej poczekalni, której ściany ozdobiono sztychami Piranesiego przedstawiającymi antyczny Rzym. Przy biurku nikt nie siedział, więc zadzwonił dzwonkiem. Od razu pojawiła się atrakcyjna młoda kobieta w nadającym jej powagi kostiumie i spytała, w czym może mu pomóc.

— Nazywam się Samuel Hamilton. Pracuję dla lokalnej gazety — powiedział, dziwiąc się własnej śmiałości. — Przygotowujemy artykuł o pewnym młodym człowieku, Reginaldzie Rockwoodzie. Czy to nazwisko coś pani mówi?

— Najlepiej, jeżeli porozmawia pan z panem Engelem. — Wybrała numer. — Przyszedł ktoś i pyta o pana Rockwooda. — Zwróciła się do Samuela. — Za chwilę do pana przyjdzie.

I rzeczywiście po chwili zjawił się dystyngowany starszy pan w eleganckim ciemnym garniturze, z szerokim jasnym krawatem. Powitał Samuela z zawodową uprzejmością.

— Pyta pan o Reginalda Rockwooda? Pracował tu, ale od kilku dni go nie widzieliśmy.

— A więc nie wiecie — stwierdził Samuel.

— O czym nie wiemy? — spytał Engel.

— Zmarł w sobotę.

— O mój Boże. Kto by się spodziewał. Był przecież młody, wyglądał zdrowo.

— Czy możemy porozmawiać na osobności? — zaproponował Samuel.

Właściciel drukarni poprowadził go niekończącym się korytarzem do biura ozdobionego fotografiami przedstawiającymi jego samego w towarzystwie znanych osobistości. Zachęcił Samuela, by usiadł. Był wyraźnie przybity złą wiadomością.

— Nie chciałem omawiać jego śmierci przy pańskiej pracownicy.

— Jak umarł?

— Wygląda na to, że w piątek targnął się na swoje życie.

— Wielkie nieba! Czemu to zrobił? — dociekał. — Był tu jak zwykle w piątek, a potem przepadł jak kamień w wodę. Zastanawialiśmy się, co się z nim stało.

— Co dla was robił?

— Był nocnym stróżem.

— Stróżem? — powtórzył z niedowierzaniem Samuel. — Zawsze chodził w smokingu.

— W smokingu? To wiele wyjaśnia — rzekł Engel. — Od prawie czterech lat mył u nas podłogi i wyrzucał śmieci. — Chciał mówić dalej, ale Samuel mu przerwał.

— Wie pan, gdzie mieszkał? A może ma pan adres kogoś z rodziny?

— Mieliśmy adres i numer telefonu. Kiedy nie przyszedł w poniedziałek, zadzwoniliśmy pod ten numer, ale był wyłączony. Posłaliśmy pracownika pod podany adres. Okazało się,

że nikt tam nie mieszka, jest tylko pusty plac. Wtedy się zaniepokoił. Pomyśleliśmy, że z jakiegoś tajemniczego powodu opuścił miasto, dlatego pozmienialiśmy zamki we wszystkich drzwiach. A potem spotkała nas niespodzianka. Otworzyliśmy schowek na szczotki, służący jako magazynek, i znaleźliśmy w nim cztery smokingi, komódkę z bielizną i zestaw do golenia. W kącie leżał śpiwór. Wszystko wskazuje na to, że tu spał.

— Czy domyślał się pan tego? — spytał Samuel.

— O niczym nie miałem pojęcia.

— Jeżeli dobrze rozumiem, panie Engel, wykonuje pan ozdobne druki dla śmietanki towarzyskiej w naszym mieście?

— Zgadza się. Od czterech pokoleń pracujemy dla wyższych sfer i jesteśmy z tego dumni.

— Czy jest możliwe, że pan Rockwood z każdego tłoczonoego w pańskim zakładzie zaproszenia brał jedno i udawał się na odpowiednie towarzyskie spotkanie, udając zaproszonego gościa?

— Wszystko jest możliwe — rzekł Engel, przerażony, że gdyby rozeszła się wieść o takiej praktyce, ucierpiałby na tym prestiż jego firmy.

— Pozwoli pan, że coś panu pokażę. — Samuel wyjął wycięty z gazety nekrolog.

Engel szybko go przeczytał i zbladł jeszcze bardziej.

— Teraz to nabiera sensu. Znaleźliśmy w schowku pudełko z zaproszeniami z ostatnich czterech lat. Były ułożone w kolejności alfabetycznej i zawierały odręczne zapiski i numery telefonów. Zupełnie jakby prowadził podręczne archiwum. A więc wasz pracownik mieszkał w schowku na szczotki

i żywił się na przyjęciach wydawanych przez waszych klientów — podsumował Samuel. — Czy przypadkiem nie znaleźliście biletów lotniczych do Maroka?

— Niczego takiego nie znaleźliśmy w jego rzeczach. Zauważyłbym.

— Bardzo mi pan pomógł, panie Engel. Czy życzy pan sobie, żebym pana zawiadomił, jeżeli dowiem się czegoś więcej?

— Będę zobowiązany. Pan Rockwood był miłym pracownikiem. Chcielibyśmy dowiedzieć się, co dokładnie się wydarzyło.

Samuel wyszedł z drukarni na ruchliwą w porze popołudniowej ulicę. Nie dość, że sknera, to na dodatek chyba oszust, wymamrotał. Marzenie o wyprawie do Maroka diabli wzięli, przegrał też zakład z Melbą. Wsiadł do autobusu, podjechał do Nob Hill i ruszył do Camelotu. Wszedł do baru ze zwieszoną głową i zajął miejsce przy kontuarze na wprost Melby.

— Skąd wiedziałś, że Reginald jest takim krętaczem? — spytał.

— Przyjrzałeś się kiedyś jego dłoniom? Nie pasowały do smokinga i wielkopańskich manier. To były ręce człowieka pracy.

Samuel wyjął z portfela dziesięciodolarowy banknot, położył go zamasyście na kontuarze i wyszedł. Odprowadził go głośny śmiech Melby.

Rozdział 2

Camelot

Każdy, kto mieszkał w San Francisco, znał to miejsce. Wiele jest barów goszczących lokalną klientelę, lecz ten różnił się od innych. Camelot, zajmujący naroże ulicy tuż obok torów tramwajowych, wychodził na zatokę San Francisco — stalowoszare wody, niezliczone zgrabne żaglówki, ponurą sylwetkę więzienia Alcatraz na samotnej wyspie i jeden ze słynnych mostów. Jeśli się spojrzano przez okno od frontu, widok zapierał dech. W pogodny dzień zielone trawniki parku po drugiej stronie ulicy lśniły w słońcu, odcinając się od połyskliwych wód zatoki i błękitu nieba. Latem słońce znikало w zwałach mgły nadpływającej znad wzgórz od strony Pacyfiku i spowijającej miasto wraz z mostem Golden Gate. Zimą zdarzały się dni, kiedy panorama przypominała akwarelę w szarej tonacji.

Najwięcej klientów pojawiało się w Camelocie wieczorem. Miejscowych i turystów. Różni ludzie przychodzili z różnych

powodów, lecz to nie sława miejsca ani fantastyczny widok były najsilniejszym magnesem. Garstkę stałych bywalców łączyła tajemnicza więź, tych zaś, którzy zajrzeli tu przypadkiem, ujmowała nieoczekiwanie miła atmosfera zachęcająca do ponownych odwiedzin.

Niedaleko drzwi wejściowych stał okrągły stół na dwanaście osób. Nieco dalej przy półokrągłym kontuarze mogło się pomieścić kolejne dwanaście, a reszta gości miała do dyspozycji małe stoliki. Za barem, aż do sufitu na wysokości pięciu metrów, wznosiło się lustro, dzięki któremu z każdego miejsca widać było cały bar. Na szklanych półkach przed lustrem stały egzotyczne trunki — niektóre w tak podejrzanych kolorach, że nikt nie odważył się ich spróbować. Poniżej, w sam raz na możliwości i apetyty miejscowych, znajdowały się normalne źródła napitków, które Melba, współwłaścicielka lokalu, nazywała „procentowymi poidłami”.

Przy półkolistym barze stał Mathew O’Hara, cichy wspólnik, współwłaściciel Camelota. Zjawiał się tu każdego wieczoru. Melba domyślała się, że przyszedł prosto z jakiegoś ważnego biznesowego spotkania, ponieważ był w granatowym garniturze prosto z Londynu, w białej lnianej koszuli, jedwabnym krawacie i z chustką w tym samym kolorze wystającą z górnej lewej kieszonki. Gęste brązowe włosy miał ostrzyżone krótko, po wojskowemu. Krzaczaste brwi uwydatniały orzechowe oczy. Potrafił zyskać zaufanie nieznajomego prędkim uśmiechem, a zarazem budził respekt. Wyglądał jak uosobienie sukcesu. Fortuna sprzyjała mu od urodzenia. Było mu łatwo — pieniędzy miał, ile dusza zapagnie, chodził do najlepszych szkół, obracał się w najwyższych sterach towarzyskich i miał

wszelkie koneksje, jakie tylko może kupić dobra rodzina w Kalifornii. Swoją pozycję społeczną uważał za coś należnego i oczywistego. Miał żonę o podobnym rodowodzie i trzy rozpieszczone córki uczące się w najlepszej katolickiej szkole w San Francisco. Był, przynajmniej na pozór, filarem elity tego miasta i niewielu podejrzewało u niego mroczną stronę charakteru.

Chwalił się, że fortuna mu sprzyja i że ma smykałkę do interesów, dzięki czemu powiększył odziedziczony majątek. Ten korzystny trend zainicjował pradziadek w czasie gorączki złota. Różnił się od poszukiwaczy, harujących w pocie czoła w strumieniach u stóp gór. Uznał, że bardziej opłaca się być zaopatrzeniowcem poszukiwaczy niż jednym z nich. Z kolei dziadek spekulował cukrem, ojciec zaś inwestował w poszukiwanie ropy. Wszyscy mężczyźni w rodzinie mieli talent do szybkiego bogacenia się, byli bezwzględni, co jest w tej pogoni warunkiem koniecznym, i bez skrupułów wydawali zarobione pieniądze.

Matt, gdyż tak lubił być nazywany, posiadał jeszcze jedną cechę, której brakowało przodkom, a która zyskiwała mu szacunek zarówno lepszemu towarzystwu, jak podejrzanych typów. Mianowicie dotrzymywał danego słowa. Robiąc z nim interesy, nie trzeba było nic podpisywać, wystarczył uścisk dłoni; jeżeli jednak ktoś mu się sprzeniewierzył, drogo za to płacił. Matt słynął z uczciwości dzięki gestom, które wiele go nie kosztowały, a pozostawiały dobre wrażenie. W pomniejszych interesach, jeżeli dostał więcej pieniędzy, niż mu się należało na podstawie umowy, wysyłał wiernego szofera z niezаслужoną nadwyżką i przeprosinami. Taka uczciwość należała do rzadkości w owych sferach — doceniano ją, choć

nie spieszono z naśladowaniem. Matt uważał, że prowadzi w biznesie dobrą politykę. Natomiast ubijając duże interesy, w innych kręgach, pozostawał bezlitosny.

O'Hara czuł się silny i zdrowy. Był w kwiecie wieku. Interesy szły świetnie, rodzina nie przysparzała problemów. Oboje z żoną żyli niezależnie, skupiając się każde na własnych sprawach, ale nie miał powodu do narzekań, bo żona sprawnie prowadziła dom, była wypróbowaną partnerką w sytuacjach towarzyskich i nie zadawała pytań. On także o nic jej nie wypytywał. Mógłby wieść życie pełne zadowolenia, lecz nie pozwalała mu na to chciwość.

Tego akurat dnia Mathew pogрузzył się w rozmowie z siedzącym obok przy barze Maestro Bobem, magikiem i notariuszem. Maestro był dżentelmenem w staroświeckim stylu. Aby nadać szwungu karierze magika przybrał dość absurdalne wieloczłonowe imię Roberto, hrabia Maestro de Guinnesso Bacigalupi, Slotnik de Transylwania, lecz tylko on jeden potrafił wymówić je bez zająknięcia. Naprawdę nazywał się Robert Murphy i był czarnym Irlandczykiem z hrabstwa Cork. Nikt nie pamiętał ani nie chciał zapamiętać pełnego brzmienia długiego tytułu, więc wszyscy nazywali go Maestro Bob. Maestro wymawiał słowa z niby słowiańskim akcentem i ubierał się w ciemne prążkowane garnitury, które niegdyś uchodziłyby za stylowe, ale teraz wyszły z mody, w dodatku były tu i ówdzie lekko postrzępione.

Wzrostu był nikczemnego, ale przyciągał wzrok niesforną czarną czupryną i nawoskowanymi wąsami cyrkowego pogromcy lwów. W jego fachowo wypielęgnowanych i wypolerowanych paznokciach odbijały się światła baru.

Maestro próbował kiedyś utrzymać się z pokazywania sztuczek magicznych i przepowiadania przyszłości, lecz mu się to nie udało z powodu picia. Dorośli z imprezujących kręgów Pacific Heights w końcu mieli go dość i ograniczyli występy do zabawiania dzieci na przyjęciach urodzinowych, które odbywały się w weekendy, pod czujnym okiem rodziców i bez alkoholu. Wspecjalizował się więc w pracy z dziećmi. Dzieciom zaś tak się spodobaly opowiadane przez niego baśnie o czarownicach i czarach, że stał się gwoździem programu urodzinowych przyjęć. To jednak nie wystarczało. Ponieważ potrzebował dodatkowych zarobków, ukończył kurs i zdobył licencję notariusza, a potem otworzył biuro we Flood Building przy Market, numer 870. W gmachu tym mieściła się większość konsulatów w San Francisco, więc do jego małego biura przychodziło wielu interesantów, żeby poświadczyć notarialnie dokumenty przed wysłaniem ich do rodzinnych krajów. To zajęcie jednak nie było jego powołaniem, interesowała go bowiem eksploracja zjawisk parapsychicznych.

Po godzinie piątej zachodził do okolicznych barów, próbując tam oszukać samotność. Stał się ulubionym bywalcem w Camelocie, gdzie doceniono jego talenty. Tam zasiadał, niczym na tronie, i przepowiadał przyszłość za drinka lub dwa albo, jeżeli się dało, za dychę. Miał dobrego nosa, zwłaszcza w sprawach finansowych, i klienci regularnie do niego wracali, gdy musieli pilnie rozwiązać jakiś problem, zwłaszcza finansowy.

Nic zatem dziwnego, że Mathew O'Hara kupił Maestro najpierw jednego, a potem drugiego drinka, przedstawiając mu w ogólnym zarysie przygotowywaną przez siebie umowę.

Kiedy uznał, że Maestro usłyszał wystarczająco dużo, rzucił pytanie.

— Jakie masz przecucie, Maestro?

— Muszę wiedzieć więcej, zanim dam odpowiedź — powiedział Maestro.

— Co jeszcze chcesz wiedzieć? — Mathew nie chciał zdradzać zbyt wielu szczegółów. Lubił trzymać karty przy orderach.

— To nie zależy ode mnie. Podajesz mi informacje, jakie chcesz, a potem ja mam wizję opartą na tym, co mi powiedziałeś. Czasem mam wizję opartą na tym, czego mi nie powiedziałeś — rzekł ze śmiechem. — A chwilowo nic nie widzę ani nie słyszę.

— W grę wchodzi duże pieniądze, a towar pochodzi spoza kraju. Chcę się dowiedzieć, czy mam w to wejść, czy nie.

— Wydaje mi się, że widzę dużo zer.

— Ile?

— Wróżenie to sztuka, nie nauki ścisłe, ale widzę pięć albo sześć zer — odparł magik z wahaniem, gdyż nie był w stanie wyobrazić sobie tylu pieniędzy. — Nie wiem tylko, czy ty płacisz, czy tobie płacą.

— Dziękuję. Zastanowię się — rzekł Mathew.

Nie był przesądny, ale usłyszał to, co chciał usłyszeć. Przewidywał, że może zarobić na transakcji najwyżej milion, i miał nadzieję, że taką sumę wymieni Maestro Bob. Dziwaczny mały magik słynął z nieomyślności, a skoro tak, Mathew mógł liczyć na duży zysk. Dał Maestro pięć dolarów napiwku i skinął na Melbę, żeby postawiła przed nim kolejnego drinka. Potem pożegnał się i wyszedł z baru.

Maestro delectował się drinkiem przy barze, aż uznał, że

nikt mu tutaj następnego nie postawi. Przeniósł się więc do okrągłego stołu przy wejściu, by dołączyć do Samuela Hamiltona, niedbale ubranego sprzedawcy ogłoszeń z porannej gazety, także bywalca baru.

— Smutno ci z powodu Reginalda? — spytał Maestro, spoglądając na pogniecioną paczkę philip morrisów na stoliku.

— Tak, potrzebuję czasu, żeby się z tym pogodzić. Przewidywałeś, że to się zdarzy, Maestro?

— Widziałem ciemności, końca nie widziałem. Kiedy sprzęgło się tyle złych sił, musiał zginąć podłg śmiercią, tak mu było pisane. A czy ty, młody człowieku, dbasz o siebie?

— To nie w moim stylu — odparł Samuel.

— Rozchmurz się. Do zobaczenia jutro. Mam nadzieję, że zastanę cię w lepszym nastroju.

Ten wieczór dla Maestra dobiegł końca. Samuel poczęstował go papierosami. Maestro wziął trzy i wyszedł.

* * *

Melba Sundling, oficjalna właścicielka Camelota, była wspaniałą kobietą. Mathew wybrał ją nieprzypadkowo, biorąc pod uwagę jej doświadczenie, dobre referencje oraz to, że umiała trzymać język za zębami. Wychowywała się w trudnych warunkach, w zamieszkanym przez Irlandczyków rejonie ulicy Mission. Pochodziła z biednej robotniczej rodziny imigrantów, do których los się nie uśmiechnął, którzy ciężko pracowali i nie wylewali za kołnierz. Teraz mieszkała w górnej części Castro Street, gdzie w nadchodzących latach mieli się osiedlać geje.

Wyszła za mąż za mechanika okrętowego, lecz ten po niespełna trzech latach zmarł na alkoholizm, zdążywszy jednak przedtem obdarzyć ją córką, której wspólnie nadali

imię Blanche. Wspominała go z wdzięcznością, ponieważ zostawił ją z ukochanym dzieckiem. W młodości miała się najrozmaitszych zajęć, była robotnicą w fabryce, kelnerką, a nawet przez krótki czas prostytutką. Żadna praca nie była dla niej straszna, jeżeli tylko pozwalała utrzymać córkę. Z uprawiania najstarszego zawodu zrezygnowała, ponieważ sama chciała decydować, z kim pójdzie do łóżka. Nie chciała brać pieniędzy za coś, co i tak by dała w odpowiednich okolicznościach. A potem otworzyła bar w Mission District.

Mathew dostał na nią namiar od jednego ze swoich adwokatów. Od pierwszego spotkania rozmawiał z nią prosto z mostu, nadając ton ich przyszłym stosunkom. Zaprosił ją do luksusowego biura w centrum San Francisco. Melba, posuwając się w latach, nadal była atrakcyjną kobietą, rzucało się jednak w oczy, że ma nieco przyciasną sukienkę z drugiej ręki. Postarała się wyglądać bardziej elegancko, wkładając brzydki kapeluszy i rękawiczki, ale buty miała niedopasowane, a w półczochach oczka. Nie robiła dobrego pierwszego wrażenia, lecz O'Hara od razu poznał, że ta kobieta ma charakter.

— Szukam kogoś, kto zostałby moim wspólnikiem w barze, który otrzymałem jako zapłatę za dług. Przyjąłem ten bar, ponieważ gdybym tego nie zrobił, nie odzyskałbym zapewne swoich pieniędzy. Zresztą lepiej, żeby ludzie nie wiedzieli, że jestem właścicielem takiego lokalu. Dlatego wolę, żeby kierował nim ktoś inny. Musi to być ktoś, do kogo mam całkowite zaufanie, dlatego wybrałem panią.

— A co ja będę z tego miała? — spytała Melba.

— Będzie pani miała pięćdziesiąt procent z zysków.

— Pięćdziesiąt procent? Niesłychane. Coś mi tu śmierdzi, kolego. Za tym się kryją jakieś lewe interesy. Nie jestem święta, ale jak dotąd nie miałam problemów z glinami — powiedziała, czerwieniejąc, i wstała.

— Chwileczkę! Mówię poważnie. Nie ma w tym nic niezgodnego z prawem, ale jest jeden warunek — rzeki.

— Tak, nic tanio ani za darmo — zaśmiała się, siadając.

— Oto moja propozycja. Chcę, żeby bar był zapisany tylko na panią, podobnie licencja na sprzedaż alkoholu. Zawieramy ustną umowę. Mój prawnik uważa, że dzięki temu będę mógł na panią liczyć.

— A co mam zrobić w zamian za ten prezencik?

— Chcę co miesiąc pięćset dolarów gotówką. To wszystko.

— Tylko tyle? To nie tak mało, branża jest trudna. Skąd pan wie, że umiem prowadzić bar?

— Dawała sobie pani radę z barem w Mission, prawda?

Melba roześmiała się.

— Speluna dla garstki pijaczków w Mission to zupełnie co innego niż lokal przy Nob Hill dla bogatych.

— Niech się pani nie przejmuje. Będzie pani miała księgowego i dostęp do niezbędnej wiedzy z dziedziny prawa i zarządzania.

— Mam własną księgową — odparła Melba. — I mam do niej zaufanie, bo to moja córka.

— Zgoda. Nie interesuje mnie, jak będzie prowadzony bar. Chcę tylko dostawać swoje pięćset dolarów.

Przypięcętowali umowę uściskiem dłoni. Melba zamknęła bar w Mission i przeniosła się bliżej centrum. Miała smykałkę. Kiedy została właścicielką Camelotu, ponurego jak

zakład pogrzebowy, w niedługim czasie wyprowadziła bar na prostą. Promieniała wewnętrznym ciepłem i kobiecym wdziękiem pomimo szorstkiego sposobu bycia i chropowatego głosu. Okazywała ludziom taką serdeczność, że zapominali o jej wadach.

Przybyła z psiakiem, pozał się Boże, terierem airedale bez ucha i bez ogona. Nie wiedzieć czemu bywalcy baru uznali go za maskotkę i nieraz zaglądali, żeby się przywitać albo podrzucić mizerakowi kość. A kiedy już weszli do środka, oczywiście fundowali sobie drinka. Dopasowując się do nazwy nowego przedsięwzięcia — Camelot — nadała Alfredowi, bo tak pierwotnie wabił się jej pupil, nowe imię, Excalibur, i aby to uczcić w pewien piątek wieczorem wydała przyjęcie. Przez piętnaście minut serwowano darmowe drinki, ale tłum gości bawił się wiele godzin, wypełniając po brzegi szuflady w kasach. Nie bez znaczenia były inicjowane przez Melbę popisy Excalibura, obdarzonego superwęchem. Melba prosiła gościa, żeby ukrył gdzieś w barze jednego dolara i dał psu powąchać rękę, a wtedy puszczała czworonoga, który po śladzie zapachowym bezbłędnie odnajdywał banknot.

Oprócz córki prowadzącej księgi sprowadziła ze sobą Rafaela Garcję jako dozorcę, a w razie potrzeby wykidajkę. Najbardziej niepokoiło ją, że barmani będą podkradać pieniądze i alkohol. Rafael, do którego miała całkowite zaufanie, miał jej pomóc nie dopuścić do tego procederu, podliczając pod koniec wieczoru wpływy i butelki oraz porównując jedno z drugim. Był Meksykaninem o indiańskich rysach twarzy, wysokim, dobrze zbudowanym, lecz szczupłym, bez grama tłuszczu na wyćwiczonych mięśniach. Wzbudzał w ludziach

strach, lecz w głębi duszy był sentymentalny. Miał pewną skrzętnie skrywaną słabostkę: uwielbiał romanse. Dostawał je z Meksyku i czytał po kryjomu. Melba kochała go jak rodzzonego syna, nie szczędząc matczynych połajanek.

* * *

— Czemu Reginald miałby popełnić samobójstwo? To do niego niepodobne — rzekł Samuel do Melby.

— Może to wcale nie było samobójstwo? — Melba drapała psa tam, gdzie kiedyś miał ucho. — Czemu zawsze warczysz na Samuela?

— Jesteś pewna, Melbo, że panujesz nad tym psem? Jeżeli ten pieprzony kulawy kundel mnie capnie, pozwę cię do sądu.

— Nie zwracaj na niego uwagi. Przyzwyczai się do ciebie i wtedy go polubisz. Zauważ, że tak samo warczy na Mathew O'Hare. Powinieneś się cieszyć, że mam takiego świetnego stróża.

Samuel potrząsnął głową.

— Dlaczego uważasz, że Reginald nie popełnił samobójstwa?

— Tego nie powiedziałam. Powiedziałam, że może to nie było samobójstwo. Myślę, że Reginald wszedł na zbyt głęboką wodę, zaczął grać nie w swojej lidze, rozumiesz.

— Nie mam zielonego pojęcia, o czym mówisz — odparł Samuel.

Brak ci wyobraźni. Utknąłeś w dziale ogłoszeń tego Mojego szmatławca, ale chciałbyś być reporterem. Po co ci to, nie wiem. Ale otwiera się przed tobą szansa. Zacznij szukać, a dokopiesz się do czegoś, co cię zadziwi.

Samuel poczuł przyływ adrenaliny. A gdyby udało mu się dowieść, że Reginald padł ofiarą przemocy? To byłaby dziennikarska gratka. Rozwiązanie zagadki kryminalnej jest najlepszą przepustką do poważnego dziennikarstwa reportażowego.

— Czy ty coś przede mną ukrywasz, Melbo?

— A tobie skąd taka myśl przyszła do głowy, kolego?

— Ni stąd, ni zowąd, wal śmiało.

— Od kilku dni widzę, jak się snujesz z głową w chmurach. Powiedziałeś, że Reginald mieszkał w schowku na szczotki i pasożytował na bogaczach, wprasując się do ich domów. Gustował w drogich rzeczach, nie zachowywał się jak włóczęga. Widocznie czerpał pieniądze z jakiegoś innego źródła oprócz dozorcstwa.

— Skąd ten domysł? — spytał Samuel.

— To było widać. Dlatego pożyczyłam mu pieniądze. Myślałam, że mi odda. A zresztą sam mówiłeś, że trzymał w tym schowku, w którym mieszkał, cztery smokingi, plus ten, który miał na sobie w chwili śmierci. Wiesz, ile taki smoking kosztuje? Nie jest tani. Czy to nie budzi w tobie podejrzeń?

— Nie pomyślałem o tym.

— Przeszukałeś jego konta bankowe? Założę się, że ukrył gdzieś okazałą sumkę. Jeżeli ją znajdziesz, będziesz musiał dojść do tego, skąd wzięł te pieniądze — rzekła Melba.

Samuel podszedł do drzwi. Kręciło mu się w głowie, a przy nodze cały czas powarkiwał mu pies. Spróbował go kopnąć, ale Excalibur w porę odskoczył.

Virginia Dimitri zabawia Xsing Chinga

Główną arterią przemysłu turystycznego Chinatown była Grant Avenue, pełna sklepów i restauracji. Duże kolorowe szyldy z chińskimi znakami zachęcały do kupna azjatyckich smakołyków. Przyciągały zafascynowanych turystów, informując zarazem miejscowych, czego mają unikać. W poprzek ulicy wisały przeróżne podświetlone lampiony. Jakże inaczej wyglądała Stockton Street jedną przecnicę dalej na zachód, gdzie Chińczycy robili poważne zakupy w sklepach bez zbędnych ozdóbek, za to z piętrzącym się towarem — mięsem, rybami czy owocami rolnymi, a także słynnymi pieczonymi kaczkami po pekińsku, które wisały w oknach tamtejszych restauracji.

Po wyjściu z baru Mathew O'Hara nie poszedł do domu, do rezydencji w Pacific Heights. Wybrał się natomiast do jednego z wielu rozszaniach po San Francisco mieszkań będących jego własnością. To mieściło się w Chinatown na czwartym piętrze niczym niewyróżniającego się budynku przy Grant

Avenue. Patrzący z zewnątrz mógł dać się nabrać, lecz dla każdego, kto wszedł do środka, stawało się jasne, że znalazł się w jednym z najlepszych domów mieszkalnych w Chinatown. O'Hara miał tu luksusowy apartament na najwyższym piętrze, gustownie udekorowany bezcennymi antykami ze starożytnych Chin, między innymi dwiema porcelanowymi wazami z okresu dynastii Ming, wielkości człowieka, oraz zbiorem rzeźb w jadeicie z piętnastego wieku. Z okien roztaczał się panoramiczny widok na zatokę, Bay Bridge i Wyspę Skarbów.

Ledwie wszedł do apartamentu, powitał go ponętny głos.

— Cześć, Matt. Nie spodziewałam się ciebie dziś wieczorem.

Virginii Dimitri, stojącej w stylowych szpilkach, niewiele brakowało do metra osiemdziesięciu. Ubierała się w stylu Jacqueline Kennedy — drogo. Tego wieczoru miała na sobie czarną jedwabną suknię od najbardziej obleganego projektanta mody w San Francisco. Z szyi zwieszały się dwa sznury idealnie uformowanych japońskich pereł. Czarne włosy opadały na ramiona. Miała nieduże, lecz kształtne piersi i długie efektowne nogi, które umiała wyeksponować.

Znali się od czasów studiów w college'u. Virginia przyjechała do Berkeley ze Wschodniego Wybrzeża, chcąc uciec od napastliwego ojca. Ona i Matt byli kochankami w latach uniwersyteckich, a od tamtej pory spotykali się nieregularnie, zawsze jednak pozostając w kontakcie. Teraz pracowała dla niego w ramach ważnych przedsięwzięć, w których przydawały się jej uroda i spryt. Podobało mu się, że umie udawać

istotę kruchą i delikatną, wprowadzając ludzi w błąd. On nie dawał się na to nabrać, gdyż dobrze ją znał i wiedział, że jest twarda jak stal. To ona zawsze była górą.

— Zapomniałem podać ci kilku szczegółów w związku z dzisiejszym wieczorem — wyjaśnił Mathew. — Dlatego cieszę się, że cię zastałem przed twoim spotkaniem, Virginio.

— Zamieniam się w słuch. Wiem mniej więcej, czego chcesz od pana Chinga. Nie będzie łatwo to zdobyć, bo pan Ching nie jest w ciemię bity.

— Wyglądasz dziś bardzo elegancko. Wierzę głęboko w twoje zdolności perswazji, powinnaś jednak zmienić drobny element stroju. Nie zapominaj, że twój gość nie jest wysoki. Zdejmij szpilki, żeby zmniejszyć różnicę wzrostu. Dzięki temu Ching poczuje się swobodniej.

— Dobrze, ale nie sądzę, by pantofle na płaskim obcasie rozwiązały problem.

— Zdobędziesz to, czego chcemy od Chinga, nawet jeśli trochę to potrwa. Upewnij się tylko, czy lubi to, co masz do zaoferowania. Z tymi bogatymi Chińczykami nigdy nie wiadomo — rzekł Mathew.

— Wie tak samo dobrze jak ty, że sprowadzanie dzieł sztuki z komunistycznych Chin do Stanów jest nielegalne. Nie będzie chciał podejmować zbyt dużego ryzyka.

— Tak, ale wie też, że możemy obaj zbić fortunę na tych artefaktach, jeżeli odpowiednio się z nimi obejdziemy. W tej chwili sytuacja wygląda tak. Chen podzielił transport na pięć części, jestem na razie umówiony na odbiór pierwszej, ale chcę dostać wszystko! I tu zaczyna się twoja rola.

Rozumiem. Ching nie jest z tych, którzy tracą głowę

z powodu kobiety. Nie opuścił gardy wtedy w czerwcu, kiedy wydałaś na jego cześć koktajl — przypomniała.

— Znajdź jego słaby punkt — poradził Mathew.

— To się rozumie samo przez się — odparła Virginia.

Mathew zaczął szczegółowo omawiać dania, jakie miały pojawić się na kolacji, po czym udał się do kuchni, żeby porozmawiać z kucharzem.

— Cześć, jak leci? — spytał.

— Bardzo dobrze, panie O'Hara, bardzo dobrze — odpowiedział kucharz z kantońskim akcentem, nie przerywając siekania warzyw.

— Przygotowałaś zupę z płetwy rekina, jak prosiłem?

— Tak, proszę pana, tak. Pański gość być bardzo zadowolony i pełen sił — zapewnił kucharz ze śmiechem.

— Mam nadzieję. Liczę, że dodasz mu bardzo dużo sił, aż poczuje się jak lew — rzekł Mathew, też się śmiejąc.

Przeszedł do jadalni i przeprowadził inspekcję — sztucce leżały dokładnie tam, gdzie sobie życzył, a pałeczki z kości słoniowej umieszczono przed wykwintnymi porcelanowymi talerzami na haftowanych serwetkach. Zgasił górne światło i zapalił kilka świec, rozstawiając je po pokoju. Zawołał Virginie, posadził ją na wyznaczonym przez siebie miejscu i postawił jeszcze kilka świec, aż uzyskał odpowiedni efekt — złagodzenie rysów jej twarzy.

— Oświetlenie powinno być sugestywne. Ching jest wyrafinowany, doceni każdy szczegół. Powodzenia. — Pocałował ją na pożegnanie w policzek.

* * *

Xsing Ching przybył punktualnie o wpół do dziesiątej. Wyglądał elegancko w garniturze od najlepszego krawca w Hongkongu. Miał wiecznie młodą twarz z wysokimi kośćmi policzkowymi i opadającymi powiekami. Virginia obrzuciła uważnym spojrzeniem silną, proporcjonalną sylwetkę, którą zapamiętała z poprzedniego spotkania. Patrzyła, jak przemierza przedpokój swobodnym, pewnym krokiem. Jakże różnił się od Fu Fung Fata, służącego, który otworzył mu drzwi. Fu walczył zajadle w ruchu oporu przeciw Japończykom, stracił rękę i spotkał go ten zaszczyt, że Chiang Kai-shek osobiście mianował go pułkownikiem. Po objęciu władzy przez komunistów uciekł z Chiangiem na Tajwan i dzięki zasługom wojennym mógł wyemigrować do Stanów. Ze służby w wojsku pozostały mu jedynie medale i wspomnienia. Od lat pracował dla Virginii jako służący i powiernik.

Virginia wprowadziła Xsing Chinga do salonu i posadziła na sofie, sama zaś powróciła na zajmowane wcześniej miejsce po prawej, dzięki czemu miał widok zarówno na zatokę, jak i na jej skrzyżowane nogi.

— Czy zechce się pan czegoś napić, panie Ching?

— Martini, jeśli byłaby pani tak miła — odparł gładką angielszczyzną z brytyjskim akcentem.

Virginia odetchnęła z ulgą. Nie musiała uciekać się do języka gestów.

— Czy ma pan także ochotę na przekąskę? Mamy surowe ostrygi w pikantnym sosie.

Oczywiście — zgodził się. Zadzwońnię małym nefrytowym dzwonkiem, który miała pod ręką.

— Nie przypominam sobie, żeby poprzednim razem, kiedy się spotkaliśmy, mówił pan tak płynnie po angielsku.

— Nie mieliśmy właściwie okazji porozmawiać — odparł. — Było za dużo ludzi.

Kiedy przyszedł kucharz, zamówiła ostrygi.

— Gdzie nauczył się pan angielskiego, panie Ching? — spytała.

— Proszę mówić Xsing. Chyba mogę zwracać się do pani Virginio? Nauczyłem się angielskiego w Londynie.

— Ach tak. Rozumiem, że nie mieszkasz tutaj.

— Dopiero co przyjechałem z Nowego Jorku. Mam tam główne biuro mojej firmy eksportowej. Dużo podróżuję, między innymi do Hongkongu — powiedział, popijając martini.

— O tej porze roku w Nowym Jorku jest bardzo przyjemnie.

— Jesienią na Wschodnim Wybrzeżu zawsze jest przyjemnie. Na szczęście spędzam w San Francisco tyle czasu w ciągu zimy, że nie nabawiam się tego, co wy, Amerykanie, nazywacie „kabinową gorączką”, nie cierpię z powodu przebywania w zamkniętym pomieszczeniu.

Xsing delektował się ostrygami. Przyglądał się Virginii, dyskretnie podziwiając jej wdzięk i obycie. Przez około kwadrans prowadzili niezobowiązującą rozmowę, po czym Virginia nakierowała ją na temat kolacji.

— Może przejdziemy do jadalni? — zagadnęła. — Słyszałam, że przepadasz za zupą z płetwy rekina, więc pomyślałam, że od niej zacniemy.

— Bardzo to uprzejmie z twojej strony — zauważył, uśmiechając się po raz pierwszy w czasie tej rozmowy.

Przesiedli się do stołu przygotowanego przez Mathew i niebawem oddali się również przez niego zaaranżowanym rozkoszom podniebienia.

— Napijesz się wina, Xsing? — spytała.

— Chablis, jeśli można — odpowiedział.

Była przygotowana. Kucharz przyniósł butelkę francuskiego chablis i drugą ulubionego wina Virginii — kalifornijskiego fume blanc.

Nalał do kryształowych kieliszków.

— Zupa z płetwy rekina wyśmienita, smakowała mi jak rzadko — rzekł Xsing do Virginii, a potem to samo powtórzył po kantońsku.

Kucharz uśmiechnął się. Wiedział, że pan Ching jest prawdziwym koneserem. Poszedł do kuchni i wrócił z delikatnie przyrządzoną całą rybą, kilkoma rodzajami warzyw i dwiema miseczkami parującego ryżu, które umieścił po lewej stronie obu talerzy. Zdjął z ryby skórę, wyjął ości i nałożył obojgu po niewielkiej porcji, po czym się oddalił.

— Jak długo zostaniesz w San Francisco? — spytała.

— To zależy. Mam do załatwienia pewną umowę, co może zająć kilka tygodni.

— Twoja rodzina będzie za tobą tęsknić.

— Tak to już jest.

— Gdzie mieszka twoja rodzina?

— Zwykle w Hongkongu, ale od kilku miesięcy w Nowym Jorku.

W związku z interesami?

Z przyczyn osobistych. Jedno z moich dzieci wymaga leczenia.

— Och, tak mi przykro. Mam nadzieję, że to nic poważnego.

Po lekkim deserze z owoców liczi przesiedli się na sofę. skąd roztaczał się widok na miasto. Patrzyli na migocące światła San Francisco i dróżkę wyłożoną na zatoce przez księżyc zbliżający się tego wieczoru do pełni. Virginia usadowiła się na sofie tuż przy Xsing Chingu.

— Mathew jest bardzo dobrego zdania o tobie, Xsing.

— To bardzo miło z jego strony. Mam nadzieję, że doprowadzimy transakcję do końca ku obopólnemu zadowoleniu — odparł spokojnie.

Virginia położyła dłoń na jego udzie i przysunęła się bliżej. Nie oponował, więc położyła mu dłoń na ramieniu i pocałowała delikatnie w szyję. Wiedział, jaką rolę ma do odegrania Virginia w ramach umowy z O’Harą, wiedział, po co zaprosiła go do swojego mieszkania, więc nie przeciwstawiał się zachowaniu, które w jego kulturze odebrano by jako napastliwe ze strony kobiety. Rozluźnił krawat i po chwili całował ją mocno, pieszcząc jej piersi. Podobała jej się namiętność, z jaką wpychał język do jej ust, by dotknąć jej języka.

— Może przeniesiemy się do sypialni? — zaproponowała.

Wstał i objął ją w pasie, opierając od niechcenia dłoń na jej pośladku i prowadząc we wskazanym kierunku. Ściany i sufit w sypialni pokrywała złota tapeta, mdłe światło mżyło z ukrytych w niszach lamp, padając na kunsztownie zdobioną kołdrę zwiniętą w stopach łóżka. Przy rzeźbionym wezłowi z palisandru leżało kilka dekoracyjnych poduszek. Z radia sączył się łagodny jazz.

Xsing delikatnie położył Virginie na łóżko i legł obok, zrzucając buty. Zazwyczaj się nie spieszył, lecz dzisiaj czuł, że lada moment straci kontrolę nad sobą. Podciągnął jej sukienkę, odsłaniając dół brzucha, pocałował i potarł palcami jej wilgotną szparę. Virginia rozpięła mu pasek spodni i ujęła w dłoń penis, twardy jak u młodego mężczyzny. Potem odepchnęła go i dała znak, żeby się rozebrał do końca, a sama zrzuciła sukienkę, upuszczając ją na podłogę. Powoli zdjęła stanik i rzuciła przez pokój — wylądował na fotelu w kącie. Położyła się na łóżku, ubrana jedynie w koronkowy pas i czarne pończochy, i skąpana w łagodnym świetle czekała, aż do niej przyjdzie. Przyglądała się jego umięśnionej sylwetce, kiedy się rozbierał. Podobała jej się jego męskość. W innych okolicznościach może by ją podniecił, ale przecież nie po to się z nim spotkała, musiała zachować jasny umysł.

Położył się obok, nagi, i odszukał wargami zagłębienie jej szyi tuż przy uchu. Zręcznym ruchem zdjął z niej pończochy, podziwiając mocne nogi i smukłe kostki. Palcem jednej dłoni zaczął masować jej łechtaczkę, a drugą dłonią pieścił jej pierś. Kiedy stanęły jej sutki, wciągnęła Xsinga na siebie. Zaczął ją całować, wchodząc w nią. Zadrżała, udając zachwyty. Poruszali się razem powoli, zmierzając ku nieuniknionej kulminacji.

Uprawiając seks, zawsze myślała o tym, jak ojciec pieścił ją i wykorzystywał, kiedy była nastolatką. Nienawidziła go po dziś dzień za to, co jej zrobił. Nauczyła się wtedy udawać orgazm, żeby ojciec szybko dał jej spokój, a teraz zamierzała postąpić podobnie. Zaczęła macać szerokie plecy Xsinga

i szeptać mu do ucha sprośności, jednocześnie wijąc się jak wąż z uniesionymi na wysokość bioder nogami. Jemu zaś wydawało się, że jej przyrodzenie pulsuje zgodnie z rytmem wspólnych ruchów, i pomimo doświadczenia i cynizmu uwierzył, kiedy jęknęła i powiedziała, żeby nie przestawał. Był głęboko w niej, nie mógł się powstrzymać i zaczął szczytować, co go zaskoczyło. Lubił przedłużać seks i chlubił się swoją zdolnością do samokontroli, lecz było już za późno.

Potem, leżąc na niej, zasnął na minutę lub dwie. Obudził się zdezorientowany i dopiero po chwili przypomniał sobie, z kim jest. Najpierw rozpoznał perfumy, wymamrotał imię, a potem zsunął się i leżał u boku Virginii.

— Jesteś dobrym kochankiem, Xsing — szepnęła mu do ucha.

Nie odpowiedział. Uznała, że jest to dla niego oczywiste, co jej zresztą bardzo odpowiadało. Gdy Xsing leżał przy niej słaby i bezbronny, przystąpiła do najtrudniejszej części zadania.

— Opowiedz mi o swojej rodzinie — poprosiła.

— Mam czworo dzieci, syna i trzy córki — odparł.

— Które potrzebuje opieki lekarskiej?

— Chłopak. Ma trzynaście lat. Najstarszy i najbystrzejszy.

Mój ulubieniec — rzekł Xsing łamiącym się głosem.

— Co mu jest?

— To poważna sprawa. Białaczka — powiedział Xsing Ching, dziwiąc się, że zdradza tak intymną informację komuś niemal obcemu. W ogóle rzadko rozmawiał o swojej rodzinie.

— Mój Boże. To okropne. Szukałeś jakichś sposobów leczenia? To uleczalne, prawda?

— Wysyłałem go do wielu różnych specjalistów. W jego przypadku jedynym sposobem leczenia jest ryzykowny przeszczep szpiku kostnego.

— Słyszałam o tym. W Centrum Medycznym Uniwersytetu Kalifornijskiego są lekarze eksperymentujący na tym polu. Chcesz, żebym się trochę popytała?

— Dziękuję — odparł, poruszony jej troską.

Rozdział 4

Rafael Garcia

W dzielnicy Mission mieściła się Mission Dolores, dbająca o potrzeby religijne społeczności katolickiej. Była to dziewiętnasta z dwudziestu jeden misji ufundowanych przez Hiszpanów podbijających Kalifornię. Łączyła je El Camino Real, Królewska Droga. Jedną od drugiej dzieliła zawsze ta sama odległość, jeden dzień jazdy.

W tej dzielnicy dorastała Melba, tutaj też mieszkał Rafael Garcia. Dawniej osiedlali się tu imigranci z Irlandii, Włoch i Skandynawii, tworząc robotniczą dzielnicę. Teraz zamieszkiwała ją duża populacja hiszpańskojęzyczna, głównie meksykańska, lecz coraz liczniej wprowadzali się także przybysze z innych krajów Ameryki Środkowej. Część dzielnicy tworzyły zakłady przemysłu ciężkiego San Francisco, więc mieszkańcy nie musieli daleko dojeżdżać do pracy. Stał tu także Seals Stadium, miejsce rozgrywek baseballowych, rozstawione między innymi przez braci DiMaggio, zanim pierwszoligowy

baseball przeniósł się do Candlestick Park. Było tu mnóstwo dobrych tanich restauracji i barów z wyszynkiem, a wśród nich bar Melby, dopóki nie przeniosła się bliżej centrum do Nob Hill.

Rafael Garcia zatrzymał się przy skrzynce na listy, wyjął czek z zasiłkiem dla matki i wbiegł po krzywych schodach do rodzinnego mieszkania na drugim piętrze, bez ciepłej wody. Na ścianach klatki schodowej łuszczyła się farba, na podłodze stały kałuże wody, a w korytarzach worki ze śmieciami, które lokatorzy znosili na dół w czwartki, kiedy je wywożono. Wszedł do mieszkania, które dzielił z matką i trojgiem rodzeństwa.

Zapach gotującej się na kuchence fasoli wypełnił mu nozdrza. Wymijając blokujące przejście przedmioty, szedł, by uściskać matkę, która wyszła mu naprzeciw, pociągając nogą i opierając się o stare meble i sterty pudeł. Kula stała w kącie. Matka zawsze witała go z tak żywiołowym entuzjazmem, jakby nie widziała go od miesiący albo obawiała się, że nie wróci do domu. Rafael, najstarszy, był podporą rodziny, niemalże ojcem dla pozostałych dzieci. Pomyślał, że matka maleje z każdym dniem, gdyż musiał się nachylić, by pocałować ją w czoło.

— Pobłogosław mnie, *mama* — powiedział jak zwykle.

— Niech Bóg cię błogosławi, *m'ijo*. Co u ciebie?

Położyła dla niego talerz na małym kuchennym stoliku.

Przyszedł późno, więc miał ledwie chwilę na to, by coś

zjeść, a potem musiał pędzić na wieczorną zmianę w

Camelocie. *Muy bien, mama, muy ocupado*. Jestem bardzo

zajęty. Co takiego knujesz?

Nałożyła mu fasolkę i parę tortilli, a potem usiadła ciężko na stołku obok syna.

— Nic — odpowiedział. — Jak twoja noga, *mama'*?

— Tak samo. Wiesz, że nie ma na to lekarstwa, *m'ijo*.

— Kiedy masz zamówioną wizytę u lekarza?

— Po co tracić pieniądze na doktorów? Mamy ważniejsze wydatki. Lepiej zawierzyć Bogu.

Rafael był odmiennego zdania. Minęło pięć lat od chwili, kiedy pijany ojciec zobaczył w matce demona i zaatakował ją pałką baseballową. Odstawiono go do więzienia, jak się okazało po raz ostatni, bo zmarł na oddziale detoksykacyjnym General Hospital. Rafael miał nadzieję, że współczesna medycyna pomoże matce. Każdy dzień przynosił nowe odkrycia i nowe metody leczenia, ale żeby z nich skorzystać, potrzebne były pieniądze. W tym momencie weszły dwie siostry, bardzo do siebie podobne, ubrane w szkolne bluzki i niebieskie spódniczki.

— Odrobiłyście lekcje? — spytał Rafael.

— Tak — odpowiedziała jedna z nich.

— Słyszę radio.

— Zrobiłyśmy wszystko, *hermano*.

— *Si, m'ijo*. Odrobiły lekcje i uszyły bluzki. Dostaniemy za nie trzydzieści dolarów. Ta maszyna do szycia, którą nam kupiłeś, jest o wiele szybsza od tamtej starej. Była droga, prawda?

— Tym się nie martw, mamó.

— Martwię się, bo nie wiem, skąd masz pieniądze na nasze utrzymanie, synu. Na pewno nie ze swoich zarobków.

— Mam inne zajęcia.

— Jakie?

— To już moja sprawa, staruszko. Zabiorę bluzki. Są zapakowane?

— Tak, są w pudełkach.

— Jest jeszcze fasola?

— Nałóż bratu fasoli — poleciła matka jednej z dziewczynek. — Jak tam Sofia?

— Piękna jak zawsze — rzekł Rafael z błyskiem w oku. — Byliśmy wczoraj u księdza w Mission Dolores. Obiecał udzielić nam ślubu bez opłaty, bo tyle pomagałem w kościele.

— Chyba nadszedł czas, żebyś się ożenił, *m'ijo*. Jak długo chodzicie ze sobą? — spytała matka, ukrywając niepokój, jaki budził w niej ten temat. Gdyby Rafael się ożenił, miałby własną rodzinę. Co by się wówczas stało z nią i z dziećmi?

— Trzy lata, dwa miesiące i dwadzieścia dwa dni — odparł ze śmiechem Rafael. — Proszę i proszę, a ona nic. Już mi się to znudziło.

— Nie mów tak, synu. Sofia kocha cię od dziecka.

— Od trzech lat trzymam ją ukradkiem za rękę w kinie. Nie mogę się doczekać, kiedy będzie moją kobietą— oznajmił Rafael.

Ani w jednej, ani w drugiej rodzinie nikt nie wiedział, że Sofia jest w trzecim miesiącu ciąży.

— Melba zgodziła się, żebyśmy urządzili wesele w barze. Zamkniemy go na jeden dzień. Zaprosimy rodziny i przyjaciół, zapłacimy tylko za jedzenie, bo Melba zapewni alkohol, a muzykę już mam.

W barze? Fantastycznie! W co się ubierzesz, mamó?

spytała jedna z sióstr.

— Zobaczmy. Tylko czy nie pocujemy się tam, synu, jak nie u siebie? Nob Hill jest dla bogatych, nie dla takich jak my.

— My, biedacy, nie możemy grymasić, mamó.

— Tutaj są biedniejsi od nas. A dzięki tobie, *m'ijo*, mamy wszystko, czego nam potrzeba.

Rafael domyślił się, co trapi matkę. Uściskał jej krzepiąco rękę.

— I zawsze tak będzie, mamó.

— Pojedziesz na miesiąc miodowy do wujka Sofii w Meksyku? — chciała wiedzieć jedna z dziewczynek.

— Nie. Pobierzemy się, nie prosząc nikogo z rodziny nawet o centa. A ponieważ nie mamy ani centa oszczędności, nie pojedziemy na miesiąc miodowy. — Rafael skończył jeść fasolę i zgarnął resztki z talerza kawałkiem tortilli.

— Gdzie jest Juan? Znow szwenda się po ulicy?

— Nie czepiaj się go, synu. Juan jest małym czortem, jak wszyscy chłopcy w jego wieku. Nie mogę go posadzić do szycia razem z dziewczynkami. A kiedy jest w domu, to nam przeszkadza, więc lepiej, jeśli bawi się z kolegami.

— Lupe, idź poszukać Juana i przyciągnij go tu choćby za ucho.

Dziewczynka wybiegła odprowadzana śmiechem siostry, która doskoczyła do okna, żeby popatrzeć na przedstawienie. Rafael pił czarną kawę i co chwila spoglądał na zegar, wyraźnie zdenerwowany. Po dwudziestu minutach, kiedy już miał wychodzić, weszła zapłakana Lupe, a za nią zbuntowany Juan. Chłopak miał szerokie spodnie ze zwieszającym się od pasa do połowy uda łańcuchem, buty z metalowymi czubkami

i podwyższonymi obcasami, czarne włosy usztywnione pomadą i baczki. Zafundował już sobie tatuaż na ramieniu i marzył jedynie o tym, żeby zaoszczędzić na złoty ząb. Rafael złapał go za kołnierz koszuli i uniósł tak, że twarz brata znalazła się na wysokości jego twarzy.

— Czuć od ciebie perfumami i papierosami, gówniarzu. Gdzie podłapałeś ten meksykański sznyt? Zanieś na dół pudełka z bluzkami i wstaw do ciężarówki. Przy okazji znieś śmieci, a potem wracaj do domu i odrób lekcje. Nie będziesz mógł wyjść, póki ci na to nie pozwolę. Zrozumiałeś?

— Nie jesteś moim szefem. Mam prawie piętnaście lat. Nikt mi nie będzie rozkazywał.

Jednym trzepnięciem Rafael zburzył fryzurę Juana, a drugim wymierzył policzek, pozostawiając na nim ślady palców. Chłopak stracił godność i rozplakał się, wycierając nos w rękaw jak dzieciak.

— Dopóki jesteś na moim utrzymaniu, masz robić to, co każe. Tracisz czas, palancie. Poślę cię do wojska, żeby zrobili z ciebie mężczyznę.

— *Ay Rafael, no diga eso!* — powiedziała matka. — Nie wiesz, że prezydent Kennedy będzie wysyłał żołnierzy do Wietnamu? Nie chcesz, żeby twój brat zginął na wojnie, *verdad?*

— Nie może mnie wysłać do wojska, mam. Nie jestem w odpowiednim wieku — wtrącił Juan.

— Więc pójdziesz do pracy, żebyś się nie objął i nie napytał sobie biedy. Chcesz, żeby twoja matka zamartwiła się na śmierć?

— *Pero, m'ijo*, Juanito musi iść do szkoły. Jak ma to pogodzić z pracą? — spytała matka.

— Tak jak siostry — odparł stanowczo Rafael. — Dobra, pora rozstawić łóżka. Jutro obejrzę wasze stopnie, a zwłaszcza twoje, Juanie. Miej się na baczności, jeżeli się obniżyły.

Włożył kurtkę, ucałował matkę i siostry, po czym wyszedł, trzaskając drzwiami. Juan wystawił palec w obraźliwym geście.

— Powiem mu — zagroziła Lupe.

Juan podniósł rękę, jakby chciał uderzyć siostrę, ale się powstrzymał. Dość miał na razie problemów.

* * *

Melba zjawiła się w Camelocie późno. Zobaczyła w zaułku na tyłach ciężarówkę Rafaela i weszła do magazynku, kiedy zdejmował starą skórzaną kurtkę i wieszał ją na kołku w szafce. Miał na sobie te same co zawsze dżinsy i czysty biały podkoszulek.

— Zdejmij z głowy tę koszmarną siatkę, Rafaelu. Ile razy ci mówiłam, że paradując w tej okolicy jako Meksykanin, napytasz sobie biedy. Czemu mnie nie słuchasz?

Rafael zarumienił się, zdjął czarną, dzierganą siatkę, która przytrzymywała mu średniej długości włosy, i wepchnął do kieszeni kurtki.

— Nie, nie! — zaprotestowała Melba. — Oddaj mi ten chłam. Chcę wyrzucić do śmieci.

Rafael niechętnie oddał siatkę Melbie.

— To nie fair, Melbo. Może tutaj siatka nie jest modna, ale muszę być jednym z *vatos*, żeby przeżyć. Takie są niepisane zasady tam, skąd pochodzę.

— Może i tak, ale masz przez to tylko kłopoty. Ileż to razy zatrzymuje cię policja, kiedy nosisz na włosach siatkę?

— Dwa, trzy razy na tydzień. Już mnie dobrze znają — odparł ze śmiechem.

— Dwa, trzy razy na tydzień? I co robią, kiedy cię zatrzymają?

— Przeszukują mnie i moją ciężarówkę, ale nigdy niczego nie znajdują. Nie jestem głupi, Melbo.

— Miałeś szczęście. Mam nadzieję, że nie dostaniesz przykrej nauczki.

Przypałętał się Excalibur i na widok Rafaela zaczął machać ogonem. Podeszedł, uszczęśliwiony, i polizał mu ręce. Najbardziej ze wszystkich ludzi lubił Melbę, a na drugim miejscu Rafaela.

Na początku zmiany Rafael zaniósł do baru butelki z alkoholem, zabrał puste i powkładał do skrzynek, żeby Melba mogła je policzyć i dojść do tego, który barman ją okrada. Pod koniec każdego wieczoru spotykała się z Rafaelem, omawiała przyzwyczajenia bywalców i porównywała je z kwitkami z baru. Zwykle to Rafael zauważał, że pustych butelek jest za dużo, a pieniędzy za mało.

Około pierwszej w nocy Melba podeszła do Rafaela.

— Dwóch takich, którzy nie wyglądają na ministrantów, czeka na ciebie przy tylnym wejściu. Już ci mówiłam, co myślę o tym, jak się ubierasz. Uważam też, że powinieneś zmienić towarzystwo, w którym się obracasz.

— Dzięki, Melbo. Bardzo cię przepraszam, że przyszli w godzinach pracy. To się więcej nie powtórzy.

Wyszedł tylnymi drzwiami i zamknął je starannie za sobą, upewniając się, że nikt z baru za nim nie wychodzi. Ciemności zaufka rozpraszała sześćdziesięciowatowa żarówka, której

stozkowa osłona kierowała w dół rozszerzający się snop mdłego światła.

Z czarnego chevroleta sedana, rocznik 1955, z przyciemnionymi szybami, wysiadło dwóch Meksykanów. Tył auta schodził niżej, a bok karoserii z obu stron zdobił malowany czerwony pas. Siedzenia obito imitacją tygryziej skóry, a pod wewnętrznym lusterkiem wisiał duży krucyfiks.

— *Orale pues* — rzekł Rafael. — Co wy tu robicie, *vatos!* Wiecie przecież, że tu pracuję. Mówiłem wam, że interesy robimy w Mission.

— Słuchaj no — odezwał się wyższy Meksykanin. Miał czarne wąsy i lekko zaokrąglony brzuch. — Musimy wyładować to gównno. Bardzo trefny towar, gliny depczą nam po piętach — dorzucił zdenerwowany.

Wyciągnął papierosa z kieszeni czarnej skórzanej kurtki i zapalił go, pocierając zapałkę o paznokiec kciuka i osłaniając płomień dłońmi. Potem rozejrzał się ukradkiem, jakby chciał wysledzić w mrocznym zaułku jakiś ruch.

— Wspaniale, *pendejo*. Więc doprowadzasz ich do swojego starego kumpla, Rafaela. Bardzo sprytnie. Mówiłem ci, że nie znajdę kupca na aparat rentgenowski wcześniej niż za tydzień, i zabroniłem przychodzić do mnie do pracy. Wpieprzacie mi się tu, gdzie zarabiam na chleb.

— Uspokój się, *ese* — powiedział niższy. — To był mój pomysł. Nie możemy czekać dłużej niż jeden dzień, chcieliśmy ci dać ostatnią szansę.

— Nie wiem, stary — rzekł Rafael. — Muszę się dowiedzieć, czy moi klienci zbiorą do jutra pieniądze. Mówili o przyszłym tygodniu. A ten aparat jest wielki jak dom.

— Dobra — rzucił ten większy. — Zadzwoń jutro przed południem. Jeżeli nic z tego nie wyjdzie, odstawimy towar do następnego na liście.

— Nie przyjechaliście tu dlatego, że mnie lubicie — zauważył Rafael. — Lubicie szmal, który są gotowi zapłacić moi ludzie.

Rafael wszedł z powrotem do baru, a czarne auto wyjechało wolniuteńko z zaułka ze zgaszonymi światłami. Popieprzeni głupcy, w ogóle nie słuchają, co się do nich mówi, pomyślał, wchodząc do biura, gdzie Melba liczyła utarg, z Excaliburem leżącym u stóp.

— Mówiłam ci tysiąc razy, synu — wybuchła Melba — wpakujesz się w tarapaty, zadając się z takimi ludźmi.

— Szpiegowałeś mnie?

— Nie podobają mi się twoi koleżkowie. Nie chcę ich tu więcej widzieć. Zrozumiałeś?

Rafael potrząsnął głową. Wiedział, że Melba ma rację, ale musiał radzić sobie z rzeczywistością, w której żył. Praca u Melby stanowiła zaledwie cząstkę jego świata. Tego samego wieczoru, przed wyjściem, wyciągnął z kosza na śmieci siatkę na włosy i schował do kieszeni kurtki.

Rozdział 5

Blanche

Samuel popadał w rozmarzenie, ilekroć pomyślał o Blanche, córce Melby. A myślał o niej cały czas. Musiał jednak kryć się ze swoimi uczuciami w miejscach publicznych, żeby nikt nie zauważył, jak uginają się pod nim kolana. Zdawał sobie sprawę ze śmieszności swojej obsesji — tak bardzo oboje się różnili. W jego oczach Blanche wcale nie przewyższała go o głowę, lecz była szczupłą trzcinką, a jej piegi rzucały wokół twarzy złotą poświatę. Oczy, niebieskie jak u matki, przypominały przejrzyste wody jeziora, więc nie śmiał się do nich zbliżyć z obawy, że utonie. W jej obecności wycofywał się i milkł. Natomiast Blanche zawsze chodziła wyprostowana, nie wstydząc się wysokiego wzrostu, który u innej kobiety mógłby uchodzić za wadę. Była chłopczycą i fanatyczną miłośniczką sportów. Jeździła świetnie na nartach i nieraz przez dwa lub trzy zimowe miesiące pracowała w Squaw Valley jako instruktor narciarski. Wiosną i latem pływała

i biegła na długie dystanse, o ile oczywiście nie wybrała się na wysokogórską wspinaczkę. Jesienią znajdowała sobie jeszcze inne pobudzające ćwiczenia, żeby spożytkować nadmiar energii.

Melba straciła już nadzieję na to, że córka wyjdzie za mąż jak inne dziewczęta w jej wieku i obdarzy ją wnukami. Blanche wyśmiewała się z programów telewizyjnych, w których występowały idealne rodziny składające się z zadbanych dzieci, ciężko pracującego ojca i matki w szpilkach i z perłami na szyi, piekącej ciasta lub sprzątającej dom odkurzaczem.

Mimo dzielących je poglądów na życie, matka i córka były sobie bardzo bliskie. Blanche bez wynagrodzenia prowadziła u Melby księgi, jednocześnie uczęszczając na kurs biegłych księgowych. Nawet zimą przyjeżdżała raz na miesiąc z Tahoe, żeby uporządkować księgi, wносиła opłatę do Biura Podatkowego, podatek od płac oraz, oczywiście, wypisywała czeki dla pracowników.

Samuel przychodził do baru za każdym razem, kiedy dowiedział się, że ona tam będzie, mimo że w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Była jedną z nielicznych kobiet, które nie zwracają uwagi na wrażenie, jakie wywierają na mężczyznach. Jej obojętność jeszcze mocniej podsyciała żar uczuć Samuela. Czekał cierpliwie, sącząc szkocką z lodem przy okrągłym stole i obserwował ją w lustrze za barem, gdy nachylała się nad księgami, gryzła koniec ołówka, odgarniała niesforny kosmyk włosów. Czasami próbował zwrócić na siebie jej uwagę jakimś banalnym zdaniem, bo nigdy nie Przychodziło mu do głowy nic szczególnie inteligentnego czy seksownego.

Tego dnia poczuł, że mu się poszczęściło.

— Cześć, Blanche, nie widziałem cię od jakiegoś czasu.

Co u ciebie?

— Cześć, Samuelu, nie widziałeś mnie, chociaż siedzę tu już od trzech godzin?

— Rozmyślam. Mam kłopoty.

— Nie omawiaj ich ze mną teraz, jestem bardzo zajęta. Coś ty taki blady? Wyglądasz jak robak. Potrzeba ci trochę ruchu. Może byś ze mną pobiegał w ten weekend?

Zaskoczony Samuel rozważył przerażającą perspektywę wspólnego joggingu oraz drugą ewentualność — że nigdy więcej nie będzie miał takiej okazji przebywania z Blanche sam na sam.

— Nie jestem w tym specjalnie dobry, ale może przeszlibyśmy się w parku Golden Gate. Co ty na to? — wyjąkał.

— Dobrze, spotkamy się przy wiatraku koło plaży, o ósmej, w sobotę. Ja pobiegnę, a ty się przejdiesz. Wrzucimy coś na ruszt u Betty w Haight. Znasz ten bar przy Kezar Stadium?

Melba z zaciekawieniem obserwowała tę konwersację od okrągłego stołu, który okupowała wraz z Excaliburem. Do tej pory trzymała język za zębami i nie odezwała się ani słowem, chociaż bawiło ją niedopasowanie tej pary i ślepotą córki, która nie dostrzegała niezbyt dokładnie ukrytego zainteresowania Samuela jej osobą. Tego wieczoru, kiedy Blanche wychodziła, Samuel ruszył za nią, żeby jeszcze raz wciągnąć w nozdrza jej feromony. Usłyszał przez radio, że to właśnie feromony powodują, że ktoś jest atrakcyjny seksualnie, z czego wyciągnął wniosek, że feromony Blanche są bardzo silne. Z westchnieniem postanowił wyjść o tej samej porze, licząc

szybko w myślach, ile godzin dzieli go od soboty, gdy zobaczy ją w parku.

Gdy mijał okrągły stół, Melba złapała go za rękę.

— Czym mogę służyć? — spytał, wzięty z zaskoczenia.

— Spokojnie, kolego. Siadaj, pogadaj z nami — odparła z uśmiechem. — Excalibur mówił mi, że z was dwojga byłaby niezła para — powiedziała, zachęcając gestem Samuela, żeby zapalił jej papierosa.

Samuel klapnął na sąsiednie puste krzesło z tak posepną miną, że Melba musiała się roześmiać.

— Czemu nie poprosisz jej, żeby zrobiła coś, co nie wymaga takiego wysiłku fizycznego jak bieganie?

— Nie wiem, o czym mówisz, Melbo — wymamrotał, oglądając paznokcie.

— Nie wciskaj mi kitu, Samuelu. Przecież się w niej durzysz.

Samuel poczerwieniał i przez chwilę się nie odzywał.

— To aż tak oczywiste?.

— Nic w tym złego, skarbie. Tylko źle zabierasz się do rzeczy.

— Jak to?

— Jeżeli chcesz mieć coś wspólnego z Blanche, musisz działać na terenie, na którym możesz z nią rywalizować. A do biegania nadajesz się tak jak ja, po kilku krokach padniesz. To cię może zabić — rzekła ze śmiechem i zaciągnęła się papierosem.

Samuel zdążył już wcześniej zapalić papierosa i też się roześmiał. Oboje dostali ataku śmiechu i chichotali niepowstrzymanie, aż wszyscy klienci, którzy jeszcze siedzieli w barze, obrócili się w ich stronę.

— Żałosne, co? — powiedział Samuel.

— Tak, żałosne, ale takie jest życie — odpowiedziała, kaszląc.

* * *

Samuel i Blanche spotkali się w sobotę rano w zachodnim krańcu parku Golden Gate u brzegów Pacyfiku, a dokładniej przy wiatraku Murphy'ego, jednym z dwu dużych holenderskich wiatraków, które wyglądały, jakby przeniesiono je tutaj z Niderlandów. Imponującym konstrukcjom przydałaby się konserwacja — odkąd parę lat temu zaczęły spadać gonty, nie podjęto starań, by uzupełnić braki. Nadal jednak wypełniały swoje zadanie. Wykorzystywano je do pozyskiwania wody do nawadniania parku i zasilania kilku jezior na jego terenie. Dość ciężka praca, zważywszy na to, że park miał przeszło tysiąc akrów powierzchni. Zaprojektował go w latach siedemdziesiątych XIX wieku słynny William Howard Hall, aby zagospodarować smagane wiatrem, nieregularne wydmy porośnięte izolowanymi kępami roślinności, o czym Blanche opowiedziała Samuelowi.

— Prawdziwe cudo zrobił z tych terenów zarządca John McLaren — dodała, gwoli uzupełnienia. — Mieszkał w Chacie McLarena, a zmarł w wieku dziewięćdziesięciu sześciu lat, w tysiąc dziewięćset czterdziestym trzecim.

Było zimno — typowo przybrzeżna pogoda. Mgły jeszcze się nie podniosły, wiatr wiał w stronę miasta, ale nie nanosił piasku z plaży do parku. Przed inwazją piasku chronił rząd cyprysów zasadzonych pomiędzy oceanem a wiatrakami. Drzewa świadczyły o sile wiatru, ponieważ wszystkie rosły przekrzywione na wschód.

Blanche była ubrana w dres i tenisówki, włosy miała ściągnięte do tyłu i zawiązane gumką, słowem sportmenka jak się patrzy. Natomiast Samuel był w mokasynach i tej samej co zwykle, znoszonej beżowej marynarce z wypalonymi w rękawach dziurkami. Zmienił wygląd o tyle, że włożył koszulę z madrasu, zaskakująco uzupełniającą brązowymi odcieniami marynarkę. Taki wynik dała próba przybrania sportowego wizerunku.

— Pomyślałam, że miło będzie przebiec przez park. Tu nie ma ruchu. Możesz truchtać ze mną. Ponieważ jednak dobiegnę pierwsza, zrobię zakupy i spotkamy się u Berty, powiedzmy o dziesiątej — zaproponowała Blanche.

— To za dwie godziny. Myślisz, że tak długo mi to zajmie? — spytał przerażony Samuel.

— Mniej więcej. W porządku. Nigdzie się dzisiaj nie spieszę i z przyjemnością z tobą pogadam.

Samuel westchnął.

— A jeśli będę tam pierwszy?

— Musiałbyś nieźle wyciągać nogi! A gdyby nawet, to rozejrzyj się za mną w Haight. Będę tą dziewczyną w dresach — odpowiedziała z promiennym uśmiechem. I pobiegła.

Samuel usiadł na kamieniu przy chwilowo nieczynnym wiatraku i zapalił papierosa, rozmyślając. Wydarzenia nie potoczyły się tak, jak zaplanował. Zamiast spędzić kilka godzin w miłym towarzystwie Blanche, miał biec jak zbieg, całkiem sam. Kiedy już ułożył sobie wszystko w głowie, powoli wstał, zgasił papierosa, owinął się ciasniej cienką marynarką, żeby osłonić brzuch przed wiatrem, i spacerkiem ciszył w stronę Lincoln Way przy południowym skraju parku.

Począł na autobus jadący do centrum, rozciągając dla rozgrzewki ręce. Kiedy przyjechał autobus numer 72, wskoczył do środka, a potem wysiadł przy Stanyan Street, gdzie park się kończył. Przejechał więc w kierunku wschodnim całą długość parku Golden Gate. Znalazł się teraz naprzeciw Kezar Stadium, na skraju jego węższej części. Kręciło się tam sporo ludzi — to personel odpowiedzialny za stan płyty boiska czynił ostatnie przygotowania przed jutrzejszym meczem drużyny Forty-Niners. Samuel kupił gazetę, wszedł na teren parku i usiadł na ławce. Wyprawa trwała dwadzieścia minut. Znalazł się pośród niepoliczonych drzew, po części bezlistnych, i rozpościerających się pomiędzy nimi trawiastych łąk. Ponieważ była sobota, na placu zabaw pod okiem mam bawiło się mnóstwo maluchów w kolorowych kurteczkach, czapczkach i rękawiczkach.

Siedział na ławce przeszło pół godziny, aż wreszcie Blanche przebiegła nieopodal jakby w transie — ciemnoblonde włosy o brązowym odcieniu miała wilgotne od potu, policzki zaczerwienione, nos czerwony jak u clowna. Wydała mu się jeszcze piękniejsza niż zwykle. Pomyślał, że biega z gracją gazeli mknącej przez afrykańską równinę. Nigdy wprawdzie nie był w Afryce ani się tam nie wybierał, lecz porównanie to bardzo mu się spodobało. Miał nadzieję wykorzystać je w rozmowie z Blanche, jeżeli tylko okoliczności będą mu sprzyjały i zbierze się na odwagę.

Blanche dobiegła do rogu Stanyan i Haight, zatrzymała się, czekając na zmianę świateł, ale nawet stojąc w miejscu, przebierała nogami. Przerwała bieg tylko na chwilę, żeby zrobić skłon. Samuel uznał, że lepiej będzie, jeżeli nie pod-

biegnie do niej, bo musiałby się ze wstydem tłumaczyć, dlaczego tak szybko się tu zjawił. Lepiej było nie poruszać tego tematu. Kiedy światła się zmieniły, Blanche potruchtała przez ulicę i mszyła radośnie ulicą Haight, głównym ciągiem komunikacyjnym dystryktu Haight Ashbury. W tamtych czasach była to po prostu jedna z dzielnic San Francisco. Jeszcze nie pojawili się hippisi, którzy mieli zmienić jej oblicze.

Samuel odczekał, aż Blanche minie bar Betty. Wówczas wstał, poszedł tam i usiadł w kabinie, wyglądając przez okno na ulicę. Wypalił kilka papierosów i czytał właśnie gazetę, pijąc trzecią kawę, gdy poderwał go okrzyk „bu!” i klepięcie po ramieniu. To była Blanche, uśmiechnięta i tryskająca energią.

— Umiesz szybko chodzić — powiedziała.

— Nic trudnego. Zjesz coś?

— Dziękuję. Marchewkę i szklanekę soku pomarańczowego.

Samuel skinął na kelnerkę i złożył zamówienie.

— Nie podajemy marchewek — odparła kelnerka z lekkim uśmiechem.

— Czemu nie? — spytała Blanche.

— Proszę spytać o to właściciela.

— Okay, wobec tego poproszę sok pomarańczowy.

— Coś jeszcze?

— Jeszcze jedną kawę — dodał Samuel.

Porozmawiali o tym i owym i Samuel poczuł, że ich znajomość się rozwija, chociaż z Blanche, niewinną i rozentuzjzmowaną jak golden retriever, trudno było cokolwiek z pewnością orzec.

Samuel rozpoczyna poszukiwania

Melba wprawdzie popychała go we właściwym kierunku, lecz Samuel nie spieszył się z rozpoczęciem śledztwa w sprawie śmierci Reginalda Rockwooda. Przyznał jej rację. Te smokingi były zdecydowanie za drogie. Musiał dostać sporo pieniędzy z innego źródła. Tylko skąd? Zastanawiając się nad tą kwestią, rozważył swoje możliwości i doszedł do wniosku, że biedny sprzedawca ogłoszeń nie ma ich wiele.

Potem przypomniał sobie Charlesa Perkinsa, z którym chodził do college'u. Charles, podobnie jak on, pochodził ze Środkowego Zachodu, a obecnie pracował w biurze prokuratora federalnego i występował w sprawach dotyczących przestępstw federalnych. Na drugim roku studiów Samuel pomógł koledze przebrnąć przez kilka bardzo trudnych kursów literatury, liczył więc na to, że Charles pamięta przysługę sprzed lat i będzie się poczuwał do długu wdzięczności.

Umówił się na spotkanie i poszedł do jego biura w gmachu FBI przy Siódmej Ulicy.

Charles przywitał go w drzwiach. Miał żółtawą cerę i proste włosy koloru słomy. Przedzierał je z boku przedziałkiem, a mimo to zawsze wpadały mu do oczu tłustawe kosmyki. Wyrazista twarz stwarzała pozory życzliwości, ale Samuel znał go jako człowieka małodusznego. Charles był nerwowy, wykonywał szybkie, gwałtowne ruchy, i nie potrafił usiedzieć w miejscu. Miał nieprzyjemny nauczycielski nawyk wskazywania palcem bądź przedmiotów, bądź ludzi. Ta maniera spychała Samuela do defensywy. Charles pracował otoczony papierami, które leżały w stosach w całym biurze. Przekładał je tylko z miejsca na miejsce, nie pozostawiając nigdzie wolnej powierzchni.

Samuel przypomniał sobie, że w college'u kolega był nudziarzem i pedantem. Odniósł wrażenie, że Charles niewiele się zmienił. Wciąż miał w sobie coś z zaniedbanego, nadąsanego nastolatka.

— Co jest, Sam? Wyglądasz, jakbyś się nie wyspał — zauważył Charles.

Samuel zdziwił się. Wprawdzie nie rozstał się ze swoim niechlujnym stylem, to znaczy ubranie miał pogniecione, ale ostatniej nocy spał dobrze i czuł się rześki i skupiony.

— Badam sprawę śmierci Iwa salonowego — wyjaśnił. Dziwny przypadek. Zmarły miał pięć smokingów, a mieszkał w schowku gospodarczym w drukarni Engela, gdzie pracował jako dozorca. Jego śmierć zakwalifikowano jako samobójstwo, ale nie jestem pewien, czy słusznie.

— Chcesz, żeby zajął się tym rząd Stanów Zjednoczonych? — spytał Charles.

— Tak. Wydaje mi się, że miał gdzieś ukryte pieniądze — odparł Samuel.

— Jasne, dlatego mieszkał w schowku. — Charles się roześmiał.

— Nie, nie. Mieszkał w takich warunkach pewnie po to, żeby nie rzucać się w oczy — rzekł Samuel, zastanawiając się, czy naprawdę chce się poddać maglowaniu przez nadętego kolegę, by zyskać dostęp do jego archiwum.

— Jaki masz na to dowód? — chciał wiedzieć Charles.

— Lubił drogie rzeczy. Smokingi sporo kosztują, a on miał najlepsze. Jeżeli stać go było na ubrania takiej jakości, to czemu mieszkał w schowku?

— Może miał nie po kolei w głowie.

— Dobrze go znałem. Zapewniam, że wariatem nie był.

— Wyszujesz domysł, że zdobywał pieniądze nielegalnie? Na przykład szantażem? Czemu miałyby to zainteresować władze federalne? — dociekał Charles.

— Jeszcze nie wiem. Ale ty jesteś jedyną znaną mi osobą, która ma prawo wglądu w finanse tego człowieka. Jeżeli coś znajdziemy, a federalni nie będą mieli nic do roboty, będziesz mógł przekazać sprawę prokuratorowi okręgowemu i wyjdiesz na bohatera — przekonywał Samuel.

— Wątpliwy wątek, stary. Ale coś ci zaproponuję. Poświęcę tej sprawie dwa dni mojego cennego czasu. Przyjdź jutro o dziesiątej. Przynieś spis banków i ewentualnie innych instytucji, gdzie twoim zdaniem mógł ukryć pieniądze. Pomogę ci zlokalizować pieniądze, korzystając z uprawnień rządu federalnego.

* * *

Tego samego popołudnia, nieco później, Samuel poszedł do Camelotu poradzić się Melby. Wyjaśnił, że umówił się nazajutrz z kolegą w biurze prokuratora federalnego i potrzebował jakichś wskazówek.

Melba roześmiała się.

— W latach czterdziestych w filmach klasy B zawsze mówiono *cherchez la femme* — powiedziała z wymownym uśmiechem.

Podbiegł kuśtykający Excalibur, żeby obwąchać przybysza. Samuel skrzywił się.

— Ten pies w końcu odstraszy ci klientów.

— Nic podobnego, wszyscy go lubią i rozpieszczają. Wiesz, że on ma nos bloodhouna? Wytropi każdy ślad.

— Bardzo użyteczna umiejętność — skomentował Samuel.

— Pewnie, że użyteczna. Okaż cierpliwość, przyzwyczaj się do ciebie i zostanie twoim najlepszym przyjacielem. Zauważyłeś, że przestał na ciebie warczeć? Czujność jest oznaką zainteresowania. Chodź tu, dziki wojowniku, usiądź przy mamusi — zawołała łagodnie.

Excalibur siadł przy jej krześle.

— Przejrzałeś wszystkie jego rzeczy, żeby dowiedzieć się, gdzie mógł ukryć pieniądze? — spytała i pociągnęła łyk piwa.

— Jak to? — zdziwił się Samuel.

— Gdzie są jego rzeczy?

— O ile się nie mylę, to w drukarni. Zostało tam wszystko, oprócz ubrania, które miał na sobie w chwili śmierci. Ubranie jest nadal u lekarza sądowego — odparł Samuel.

— Jeżeli miał ukryte pieniądze, musi być jakiś kwit. Może nietypowy. Może rachunek, ale nie na jego nazwisko. Bardzo

prawdopodobne, że schował gdzieś gotówkę — ciągnęła. — Radzę ci zacząć od tych dwóch miejsc. Szukaj jakiejś wskazówki. To może być coś z pozoru całkiem niewinnego.

Samuel wypił jeszcze parę drinków w towarzystwie Melby, rozważając to, co powiedziała, i omawiając z nią możliwości dalszego postępowania. Blanche się nie pokazała, lecz nie śmiał o nią spytać. Kiedy wreszcie wstał i ruszył do wyjścia, Excalibur odprowadził go z nosem przy nogawce spodni.

— Uczy się twojego zapachu — wyjaśniła. — Idź do domu, wyglądasz na zmęczonego.

Samuel nie poszedł jednak do domu, tylko wstąpił do Chop Suey Louie's, usiadł przy kontuarze przed akwariem i zamówił miseczkę klusek. Obserwował kolorowe tropikalne ryby, zwłaszcza te złote, krążące powoli po swoim wodnym królestwie. Przynosiły szczęście barowi, jak twierdził jego właściciel. Przed Samuelem stanęła parująca miseczka. Kuszący zapach obudził w nim wilczy głód, przypominając, że od kilku godzin nic nie jadł, a szkocka whisky zostawiła w ustach kwaśny smak. Na próżno próbował złapać choć jedną kluseczkę. Louie podszedł z widelcem.

— Pewnego dnia ci się uda — rzekł z uśmiechem.

— Na pewno... pewnego dnia.

* * *

Nazajutrz rano Samuel przyszedł do biura prokuratora w gmachu FBI na skrzyżowaniu Siódmej i Mission o godzinie dziesiątej. Żeby tam dotrzeć, wsiadł do tramwaju na Powell Street, podjechał do Market Street i do Siódmej doszedł piechotą.

Charles Perkins był w tym samym garniturze, co poprzedniego dnia. Samuel zwrócił uwagę, że jeden rękaw marynarki jest nieco krótszy i odsłania odbijającą od białej koszuli złoconą spinę.

— Od czego chcesz zacząć dochodzenie, Samuele? — spytał Charles.

— Powinniśmy najpierw udać się do lekarza sądowego i upewnić się, czy czegoś nie przeoczyłem. Potem chciałbym, żebyśmy poszli do pracodawcy Rockwooda. Widziałem tam pudełko pełne ozdobnych zaproszeń, a na niektórych z nich jakieś notatki — odparł Samuel.

Charles włożył plik niewypełnionych formularzy wezwań i nakazów do wysłużonej skórzanej teczki z emblematem Departamentu Sprawiedliwości. Narzucił szary płaszcz, zamotał na szyi niebieski wełniany szalik i skinął palcem na Samuela, żeby wyszedł za nim z biura.

Wyszli z gmachu FBI i na ulicy Siódmej złapali taksówkę. W ten zimny, pochmurny grudniowy dzień ulicami płynął tłum ludzi zmierzających w stronę centrum na przedświąteczne zakupy. Tego roku Jacqueline Kennedy spopularyzowała filcowe toczki, ale w tamtych latach w San Francisco i tak chodziło się w kapeluszach, więc większość kobiet nosiła do płaszczy stylowe nakrycia głowy, ignorując trend podyktowany przez Jackie. Do eleganckich pieszych dołączali nadciągający od strony południowej Mission brudni pijaczkowie i zmęczeni podróżni wychodzący ze stacji autobusów Greyhound po przeciwnej stronie ulicy.

Charles powiedział taksówkarzowi, gdzie chcą jechać, i szybko znaleźli się przed biurem lekarza sądowego, par-

terowym budynkiem z szarego kamienia. Kiedy weszli do środka, Samuel przywitał się z wychudzonym urzędnikiem, z którym miał do czynienia poprzednio, i wyjaśnił, że chce widzieć się z szefem, ponieważ federalni wydali nakaz i chcą obejrzeć dokumentację dotyczącą Rockwooda.

Urzędnik wziął dokument wypełniony odręcznie przez prokuratora i znikł za drzwiami z matową szybą. Po chwili drzwi znów się otworzyły i stanął w nich lekarz w białym fartuchu z plakietką z nazwiskiem.

— A więc mamy dochodzenie, he? Czego konkretnie panowie szukają?

Charles Perkins nadał się.

— Nie mogę omawiać z panem szczegółów, wie pan o tym. Muszę obejrzeć wszystko, co ma związek z Rockwoodem. Może pan to gdzieś powiesić? — Podał mu płaszcz i szalik.

— Proszę się obsłużyć — odparł lekarz, wskazując wieszak przy wejściu. Podrapał się w głowę, mierzwiąc przerzedzone siwe włosy, i zmrużył oczy, ciekaw, czego szuka tu prokurator. — Samuelu, może ty mi pomożesz? — spytał wprost.

— Od gadania jestem ja. On mi towarzyszy — oznajmił Charles.

Samuel wymienił spojrzenia z lekarzem. Nie miał wyboru, musiał znieść obecność tego napuszonego pawia.

— No dobrze — rzekł lekarz, godząc się z tym, że nie zostanie dopuszczony do sekretu. — Proszę przynieść wszystkie rzeczy osobiste pana Rockwooda oraz dokumentację z autopsji i położyć w tamtym pokoju — polecił urzędnikowi. — Ja będę odpowiadał na pytania panów.

— Z pewnością ma pan co innego do roboty — podsunął mu Charles, który wołał pracować bez nadzoru.

— Takie są zasady — odparł lekarz. — Chodzi o łańcuch dowodów. — Gdyby chciał, mógłby zostawić ich samych z rzeczami denata, ale ponieważ Charles mu się nie podobał, nie ruszył się z miejsca.

— No dobrze — poddał się Charles. — Rozumiem, że możemy fotografować, co chcemy.

— Oczywiście, pod warunkiem, że żaden oryginalny przedmiot nie opuści tego budynku. Łańcuch dowodów, rozumie pan.

— Tak, tak, już pan to mówił — wymamrotał Charles.

Lekarz odprowadził ich do tego samego pomieszczenia, które Samuel odwiedził za pierwszym razem. Rozłożyli rzeczy Rockwooda na drewnianym stole i zaczęli przeszukiwać kieszenie jego ubrania. Tym razem Samuela nie poruszył widok niewielkiej sterty — wszystkiego, co zostało po Rockwoodzie. Nabrał przekonania, że nic o nim nie wiedział, że ten człowiek tak naprawdę nie był jego przyjacielem. Wśród rzeczy znalazła się na wpół opróżniona paczka papierosów Philip Morris, z której nie wyniknęła żadna wskazówka, i zapalniczka Zippo, którą Charles pstryknął kciukiem. Zadziałała. Nie zabrakło siedemnastu dolarów i ozdobnego zaproszenia. Portfel zawierał tę samą kartę ubezpieczenia społecznego i zdjęcie Rockwooda w mundurze armii amerykańskiej. Charles wyjął aparat z fleszem i zrobił zdjęcia wszystkim przedmiotom, każdemu z osobna, wyrzucając zużyte żarówki do stojącego w kącie kci — Czy to jego numer opieki społecznej? — spytał Charles.

— Zgadza się, sprawdziłem — odparł lekarz. — I naprawdę służył w wojsku.

— Ciekawe, że nie miał przy sobie kluczy — zauważył Charles.

— To pewnie nic nie znaczy — rzekł lekarz. — Popęłił samobójstwo. Pewnie zostawił klucze w miejscu pracy, gdzie, jak rozumiem, mieszkał. Jeżeli dowiecie się czegoś nowego, powiadomicie mnie o tym. Tak, Samuelu?

— Tak jest — odpowiedział Samuel, rzucając chytre spojrzenie.

Perkins, zły, że nie pozwolono mu pożyczyć żadnego dowodu, puścił mimo uszu te uwagi i skupił się na zaproszeniu.

— Twierdzisz, że pochodzą z drukarni Engela? Skąd to wiesz, Samuelu?

— Widzisz ten znak firmowy na środku dolnej części? Jeżeli przyjrzesz się z bliska, odczytasz nazwisko. Stąd wiedziałem, dokąd pójść.

— A numer, pod którym należało potwierdzić zaproszenie? — zapytał Charles.

— Zadzwoń, ale nazwisko Rockwood nic im nie mówiło — wyjaśnił Samuel.

Przeszukali smoking i najpierw nic nie znaleźli. Ale kiedy Samuel wsunął rękę głębiej do wewnętrznej kieszeni, gdzie Rockwood zapewne nosił portfel, wyciągnął z niej coś, co wyglądało jak połówka kwitu z czerwonymi chińskimi znakami.

— Spójrz na to! — zawołał. — To wygląda na jakiś kwit. Czy któryś z panów zna chiński?

— A jak myślisz? — spytał ze śmiechem lekarz. — Czy te irlandzkie rysy zdradzają kogoś, kto mówi po chińsku?

Charles nie słuchał tej rozmowy, zrobił z bliska zdjęcie kwitu i spróbował odwzorować chińskie znaki na kartce papieru. Po trzech próbach wzruszył ramionami i rzekł:

— Dopóki nie dostaniemy zdjęć, to będzie musiało wystarczyć.

Razem z Samuelem odłożyli wszystko na miejsce.

— Zachowujecie się tak, jakbyście wiedzieli o czymś, o czym mi nie powiedzieliście — rzekł lekarz. — Czy mam poprosić o wszczęcie śledztwa w sprawie przyczyny zgonu?

— Nie wyprzedzajmy faktów — ostudził go Perkins. — Dopiero zaczynamy nasze dochodzenie. Zobaczmy, dokąd doprowadzi, a potem podejmie pan decyzję, co dalej.

Kiedy wychodzili, Charles szepnął do Samuela:

— Ale wkurzyliśmy starego. — Wykrzywił usta w złośliwym uśmiechu zadowolenia z samego siebie. — No to teraz zobaczmy, co znajdziemy u jego pracodawcy, pana Engela.

Wyszli przed nowy gmach sądów przy Bryant Street i złapali taksówkę.

— Drukarnia Engela przy Sacramento Street — powiedział Samuel. — Przy nabrzeżu.

— Bardzo tu wykwintnie — oznajmił Samuel, na nowo podziwiając elegancję saloniku dla klientów Engela. — Właściciel firmy ma dobry gust. To prawdziwe rysunki Piranesiego.

— Kto to jest, do licha, Piranesi? — zdziwił się Charles, oglądając grafiki bez większego zainteresowania.

Sekretarka pamiętała Samuela.

— Przyszedł pan znowu do pana Engela w związku ze stróżem, prawda? — upewniła się. — Chwileczkę. — Wybrała

numer i wezwała szefa, który szybko wyszedł z korytarza przy jej biurku.

— Witam ponownie, panie Hamilton. Szybko pan do nas wrócił.

— Cieszę się, że mnie pan pamięta — odparł Samuel. — A to jest Charles Perkins z FBI. Chciałby obejrzeć rzeczy pana Rockwooda i schowek, w którym mieszkał. Ma nakaz, więc wszystko odbywa się zgodnie z prawem.

— Proszę dać mi chwilę. Zapakowaliśmy wszystko do pudeł. Chcieliśmy się pozbyć tych rzeczy, ale pomyśleliśmy, że ktoś może się po nie zgłosić.

Poszli za nim na tyły budynku, gdzie pan Engel otworzył magazynek. Smokingi wisały w czterech plastikowych workach zaczepione o biegnącą pod sufitem rurę, a obok na podłodze stały jedno na drugim dwa pudła z nazwą drukarni. Pudła były wypełnione po brzegi i ciężkie. Samuel dźwignął je, a Charles zwrócił się do właściciela.

— Czy możemy skorzystać z tego stołu? — spytał, wskazując stół stojący koło drzwi do magazynku.

— Oczywiście — odparł pan Engel. — Jeżeli będą panowie czegoś potrzebowali, proszę dać mi znać. — Poruszył dłonią, jakby zdejmował melonik i poszedł z powrotem do części zakładu od strony frontowej.

Samuel postawił pudła na stole i zaczął wypakowywać z nich pudełka po butach. Charles wyjmował z pudełek zaproszenia. Były ułożone w porządku alfabetycznym. Obejrzał je, rzucając okiem na widniejące na niektórych notatki, ponieważ jednak Samuel mówił mu, że nic znaczącego na nich nie wyczytał, zaufał koledze i nie tracił czasu na dublowanie jego poszukiwań.

— Daj znać, jeżeli natrafisz na bilety na samolot do Maroka — poprosił Samuel.

— A ty czego szukasz? — zdziwił się Charles.

— Nieważne. Będę wiedział, jeżeli je znajdziesz.

Samuel przeszukał kieszenie wiszących smokingów, lecz nic w nich nie znalazł. Wrócił do pudeł, które zaczęli opróżniać. Na dnie jednego z nich leżał pęk kluczy. Potrząsnął nimi, wyciągając je z pudła, żeby zwrócić na siebie uwagę Perkinsa.

— Te klucze mogą się okazać naszym najważniejszym znaleziskiem — rzekł Charles.

— Mam nadzieję — odparł Samuel. Rozłożył je na stole i szukał dalej. Liczył, że natknie się na drugą część kwitu. Znalazł kawałek sztywnego papieru z czerwonymi chińskimi znakami, zatknięty w kieszonkę notatnika, który na okładce miał napis „Pamiętaj, co masz dzisiaj zrobić”, ale w środku czyste kartki. Samuel wygładził przerwana karteczkę i umieścił ją obok kartki, na której Perkins odwzorował znaki w biurze lekarza sądowego. Choć nie mieli oryginału, uznali że znaleźli to, czego szukali.

Charles sfotografował złożone kartki, a potem zawołał:

— Proszę pana, czy mógłby pan tu przyjść na chwilę?

Engel nie odpowiedział, więc Samuel poszedł po niego i przyprowadził do stołu.

— Czy wie pan, skąd pochodzi ten kawałek kwitu? — spytał Charles.

— Niestety, nie. I nikt tutaj nie czyta po chińsku — odparł Engel.

- Czy pan Rockwood wspominał kiedykolwiek o jakichś chińskich przyjaciółach? — chciał wiedzieć Samuel.

— Nie. Mogę spytać pracowników, ale wątpię, żeby coś wiedzieli — powiedział właściciel drukarni. — Stróż był uprzejmy, solidny, ale od pozostałych pracowników trzymał się na dystans. Z nikim się tu nie zaprzyjaźnił.

— Proszę nam opowiedzieć o kluczach — rzekł Charles.

— Ten rozpoznaję, otwiera drzwi wejściowe od frontu. A ten drzwi od zaplecza. Trzeci wygląda na klucz do schowka na szczotki, w którym, jak odkryliśmy, mieszkał. Ten obok otwiera magazynek. Ale nie mam pojęcia, do czego służyły pozostałe dwa. Nie mają nic wspólnego z naszym zakładem.

Charles oddzielił dwa klucze od pozostałych i sfotografował je.

— Wie pan może, czy pan Rockwood miał rachunek w banku?

— Tak, w lokalnym oddziale Bank of America. A przynajmniej tam deponował czeki. To zaraz za rogiem.

— Czy mógłbym zobaczyć jego czeki z wypłatą? — poprosił Charles. — Usiłuję ustalić, gdzie trzymał pieniądze. Czy na swoim koncie, czy na cudzym.

Pan Engel przyniósł czeki wystawione dla Rockwooda i położył je obok innych rzeczy zapełniających stół. Były to typowe czeki z wypłatą dla pracownika, z nazwiskiem i adresem pracodawcy w górnym lewym rogu.

— Zebrałem oddzielnie jego czeki, spodziewając się, że ktoś może o nie spytać — wyjaśnił, czekając na kolejne pytanie.

Charles metodycznie przejrzał dostarczone dokumenty. Wszystkie nosiły identyczny podpis — Reginald Rockwood III — złożony bardzo czytelnie, jakby nazwisko było

przedmiotem dumy jego właściciela. Pod nazwiskiem widniał numer konta oraz adnotacja „Wyłącznie do depozytu”, sporządzona tym samym starannym charakterem pisma.

Charles sfotografował kilka reprezentatywnych czeków z nazwiskiem Reginalda Rockwooda na awersie i jego podpisem na rewersie. Kazał Samuelowi zapisać w notesie numer konta, żeby nie musieli czekać na wywołanie negatywów. Potem złapał klucze.

— Czy możemy zatrzymać te dwa?

— Wolałbym zrobić kopie. Nieopodal jest punkt dorabiania kluczy. Za chwilę wam je dostarczę — rzekł Engel, po czym wezwał pracownika i wysłał go, żeby to załatwił.

— Czy ma pan w ogóle jakiegokolwiek informacje o prywatnym życiu tego człowieka?

— Żadnych. Pan Hamilton może poświadczyć, jak nas zaskoczyło odkrycie, że mieszkał w naszym schowku na szczotki.

— Odnośnie do tego chińskiego kwitu, jeżeli to w ogóle jest kwit, czy orientuje się pan, gdzie go wydano? — spytał Charles.

— Nie mam pojęcia.

— Jesteśmy bardzo wdzięczni za pomoc, jakiej nam pan udzielił, panie Engel. Obyśmy nie musieli już więcej pana niepokoić. Musimy jedynie zabrać ten kwit odbioru z chińskimi znakami. Rozumie pan? To sprawa oficjalna. Prześlę panu jego zdjęcie, a teraz dam pokwitowanie. — Dał Engelowi wypisany wcześniej kwitek.

Rozumiem. Jak długo mam trzymać resztę rzeczy? — Chciał wiedzieć właściciel drukarni.

— Do czasu, aż dam panu znać — pouczył go Charles.

Pracownik Engela wrócił z dorobionymi dwoma kluczami. Była godzina trzecia. Engel przeprosił towarzystwo i oddalił się, a Charles i Samuel zaczęli odkładać rzeczy z powrotem do pudeł, które następnie odnieśli do magazynku. Potem przyjrzeni się połówce kwitu z chińskimi znakami.

— Uda ci się dowiedzieć, na co jest ten kwit i gdzie go wydano? — spytał Charles, wręczając Samuelowi oddarty kawałek kartki z chińskimi znakami wraz z tym, który napisał u lekarza sądowego. — Tak czy siak przyjdź jutro do mojego biura o dziesiątej. Pójdziemy do banku i przekonamy się, ile ten gość odłożył pieniędzy.

* * *

Samuel wiedział, dokąd pójść. Pożegnał się z kolegą, podziękował panu Engelowi i wsiadł do autobusu na Sacramento Street. Wysiadł na Powell i przeszedł kilka przecznic do Chop Suey Louie's. Louie dał mu znak, żeby usiadł tam, gdzie zwykle, przy kontuarze. Samuel potrząsnął głową i wskazał stolik w kącie, zachęcając uśmiechniętego przyjaciela, by do niego dołączył.

— Jak leci, Samuelu? — spytał Louie.

— W porządku, Louie. Możemy się założyć o wynik meczu Forty-Niners. Ile stawiasz?

— Kiepski z ciebie hazardzista, Samuelu. Zawsze przegrywasz — rzekł Louie.

Samuel roześmiał się i wyjął oderwany kawałek kwitu oraz kartkę z notesu, na której prokurator próbował odwzorować chińskie znaki.

— Możesz mi powiedzieć, co tu jest napisane? — poprosił.

Louie z marsem na czole przyjrzał się dwóm kawałkom papieru, usiłując odcyfrować niewprawnego kopistę chińszczyzny. Po dłuższej chwili uśmiechnął się.

— To jest kwit za średni słoć w chińskim sklepie zielarskim.

— O czym ty mówisz? — zdziwił się Samuel.

— Jesteś właścicielem tego, co zawiera słoć na zioła w sklepie bardzo znanego chińskiego uzdrowiciela. Problem w tym, że masz tylko połowę kwitu. Za połowę kwitu niczego nie dostaniesz.

— Po co ludziom słoje na zioła?

Właściciel baru roześmiał się.

— Idź i dowiedz się — rzekł.

Zdumiony Samuel zapalił papierosa i powoli wydmuchał dym nad stolikiem, w stronę pustego krzesła. Spojrzał na Goldie, ulubioną rybkę śmigającą w kolorowym akwarium. Czuł się zmęczony. Od wielu dni źle jadł, a spał też kiepsko. Poprawił się na krzesle, zastanawiając się, jakie zioła trzymał Rockwood w słoju i po co.

— Wiesz, gdzie jest ten sklep? — spytał.

— Pacific, pomiędzy Grant i Kearny. Każdy zna słynnego pana Songa, właściciela sklepu. A on zna wszystkie tajemnice Chinatown.

— Czy ten sklep ma jakąś nazwę?

— O tutaj. — Louie przesunął palcem po czerwonych znakach. — Chińskie Zioła Pana Songa. Masz pierwszą część z napisem Chińskie Zioła. Co do tej drugiej części musiałem się trochę domyślać, patrząc na pismo twojego znajomego, ale chyba dobrze odczytałem.

— To pisał ktoś, kto nie zna chińskiego.
— To oczywiste — odparł Louie ze śmiechem.
— Jestem ci niezmiernie wdzięczny za pomoc — rzekł Samuel. — Pożegnaj ode mnie matkę. Czemu nigdy mnie nie pozdrawia? Innym klientom przynajmniej skinie głową.
— To dlatego, że jesteś rudy. Uważa cię za wcielenie diabła.
— Cholera, czego to się człowiek nie dowie. Dobra, Louie, nie zapomnij, że w ten weekend obstawiam Forty-Niners.
— Goldie przynosi szczęście wszystkim klientom z wyjątkiem ciebie — powiedział Louie ze śmiechem.

Samuel był zbyt zmęczony, żeby pójść do Camelotu i zdać Melbie sprawozdanie z minionego dnia. Wstąpił więc do sklepiku na rogu, kupił bułkę i jabłko i wrócił do domu. Zjadł, położył się do łóżka i myślał o seksie z Blanche tak długo, aż zasnął.

* * *

— Wiem, gdzie Reginald chował swoje rzeczy — poinformował Samuel.

— Dojdziemy do tego — zbył go Charles. — Chodź obejrzyć zdjęcia. Wywołałem je wczoraj wieczorem.

Samuel podszedł razem z Charlesem do małego stolika przy biurku, gdzie leżały rozłożone zdjęcia, ponumerowane w takiej kolejności, w jakiej były robione. Samuel wziął zdjęcie cząstki kwitu, numer 85, i przyłożył do tej, którą wzięli od Engela. Brzegi dokładnie do siebie pasowały.

— Myślę, że to będzie ważne zadanie na dzisiaj — rzekł. — I wiem, dokąd się udamy. Znalazłem pana Songa — pochwalił się, spodziewając się serdecznego klepnięcia po plecach.

— Tak, tak — rzucił zdawkowo Perkins.

— Słyszałeś, co powiedziałem? Wiem, skąd ten kwit. To kwit za słój.

— Nie tak szybko. Uważam, że powinniśmy zacząć od banku, bo tam zwykle ludzie trzymają pieniądze — przerwał Charles, dźgając palcem powietrze przed twarzą Samuela.

— A ja uważam inaczej — zaproponował Samuel, cofając się, żeby nie dostać palcem w oko. — Mówię ci, że powinniśmy zacząć od Chińskich Ziół Pana Songa. Rockwood coś tam ukrył. Może tam znajdziemy wskazówkę, której szukamy. Mamy kwit odbioru — rzekł, potrząsając oddartą połówką.

— Słyszałeś pewnie o przyjemności z opóźnieniem, co? — spytał Charles. — Zrobimy najpierw to, co trzeba zrobić dla porządku, a najlepszy kasek zostawimy na koniec.

— Dobrze — zgodził się niechętnie Samuel.

Uśmiech spełził z jego twarzy, ramiona opadły. Perkins dowodził akcją, bo to on dysponował nakazami.

Znów wyszli razem z gmachu FBI, lecz tym razem przeszli kawałek skosem do Market Street, gdzie złapali taksówkę. Charles polecił taksówkarzowi jechać prosto na Front Street. Prawie w każdym oknie wystawowym stała przystrojona choinka i wszędzie chodzili członkowie Armii Zbawienia w granatowych uniformach i czerwonych otokach na czapkach, podzwaniając piekielnie głośnymi dzwonekami i zachęcając do wrzucania datków do puszek. Dom towarowy Emporium, na rogu Piątej i Market, otworzył podwoje i ludzie tłoczyli się przy wejściu.

Wysiedli z taksówki na Front Street, dokładnie naprzeciw Ferry Building, gmachu widocznym po drugiej stronie auto-

strady Embarcadero. Przecięli Market Street, powędrowali pieszo kilka przecznic dalej do Sacramento i weszli do banku. Rockwood rzeczywiście miał tu konto, tak jak powiedział Engel. Charles przedstawił nakaz i kierownik oddziału przyniósł dokumentację. Wynikało z niej, że co tydzień wpływał czek z wypłatą Rockwooda, a dodatkowo raz na miesiąc czek na sto pięćdziesiąt dolarów. Z konta nie pobrano nigdy pieniędzy czekiem. Ilekroć oszczędności osiągnęły kwotę trzech tysięcy dolarów, wypłacano je gotówką, po czym cały proces rozpoczynał się od nowa. Przejrzenie dokumentów z ostatnich czterech lat wykazało, że ten sam cykl powtarzał się cały czas.

— Wiele nam to nie pomogło — rzekł Charles. — Gość prowadził dość nudne życie, nie widzę tu nic zaskakującego.

— A te sto pięćdziesiąt dolarów miesięcznie? Skąd one się brały?

— Nie wiem. Poprosimy bank, żeby sprawdził źródło tych wpłat i złożył mi sprawozdanie.

— Ciekawe, co robił z gotówką — powiedział Samuel.

— Może nigdy się nie dowiemy. Jak trafimy do sklepu zielarskiego?

— Zaprowadzę cię. Możemy dojść tam pieszo — zapewnił Samuel. — To niedaleko. Góra dwadzieścia minut spacerkiem.

Dzięki pracy wykonanej przez Samuela poprzedniego wieczoru nie tracili czasu na szukanie sklepu i niebawem stanęli przed szyldem z czerwonymi ideogramami oznaczającymi Chińskie Zioła Pana Songa. Przez okna obramowane girlandami z suszonych ziół można było zajrzeć do środka.

Kiedy wchodził, zadźwięczał przyczepiony u góry mały dzwonek, obwieszczając ich przybycie. W ciemnym wnętrzu wybrzuszały się dziesiątki brązowych pojemników wysokich na dobre pół metra i mierzących w najszerszym miejscu jakieś piętnaście centymetrów. Stały na półkach ciągnących się od podłogi aż pod sufit na wysokości pięciu i pół metra, na dwóch z czterech ścian. Na części wschodniej ściany piętrzyły się dwumetrowe półki, też od podłogi do sufitu, z jeszcze większymi słojami. Każdy miał przykrywkę zabezpieczoną żelazną obręczą z dwiema kłódkami. Samuel uznał, że to ochrona zarówno przed trzęsieniami ziemi, jak przed złodziejami. Na każdym widniały czarne chińskie znaki — rodzaj numeracji. Na co najmniej dwudziestu drutach pod wysokim sufitem wisiały wiązki rozmaitych suszonych ziół. Samuela i Charlesa aż przytknęło od mieszaniny ostrych woni.

Około siedmiu metrów w głąb sklepu ciągnął się czarny, błyszczący kontuar z laki z chińskimi scenami na panelach od strony klienta. Kontuar widać było zresztą z ulicy. Za nim, też pod sam sufit, stały setki małych skrzyneczek z przednią ścianką o powierzchni dwudziestu pięciu centymetrów kwadratowych. Każda skrzyneczka była zamknięta na zameczek zabezpieczony kłódką i nosiła znajome chińskie znaki. W kącie stała oparta o skrzyneczki drabina, zapewne umożliwiająca dostęp do słoii. Marnie oświetlenie nie pozwalało dojrzeć, czy nagromadzone przedmioty są zakurzone, czy też po prostu noszą zgaszone barwy ziemi.

Zza zasłony z paciorków, oddzielającej sklep od części mieszkalnej i reszty magazynu, wyszedł człowiek o tak

dziwnym wyglądem, że Samuel i Charles mimo woli wybałuszili oczy — chiński albinos. Popatrzył na przybyszy różowymi oczami spod krzaczastych brwi, głaszcząc cienki biały wąsik i spiczastą bródkę. Cerę miał nienaturalnie bladą i gładką, wyglądał jak porcelanowa lalka, której namalowano rysy transparentną farbą. Nie sposób było określić jego wieku, mógł liczyć sobie równie dobrze pięćdziesiąt jak tysiąc lat. Nosił szary chiński kaftan z szerokimi, zakrywającymi dłonie rękawami, w dyskretny bambusowy wzór wyszyty czarną nicią. Chińczyk skinął lekko głową na powitanie.

— Przyszliśmy zadać kilka pytań na temat tego — wyjaśnił Charles, kiedy opanował zaskoczenie.

Staruszek zmrużył oczy, patrząc na zdjęcie i kawałek kwitu, które podsunął mu Charles, a potem wykonał taki gest, jakby chciał powiedzieć, że nie może im pomóc, bo nie rozumie.

— Chyba nie mówi po angielsku — rzekł Samuel.

Od strony zaplecza wszedł do sklepu niewysoki, przygarbiony mężczyzna w niebieskich spodniach i niebieskiej koszuli bez kołnierzyka. Był to najwyraźniej asystent pana Songa, lecz okazało się, że on także nie mówi po angielsku. Albinos powiedział coś po chińsku do asystenta, który pokuśtykał do drzwi i wyszedł, zostawiając po sobie dźwięczenie dzwonka.

— Rozpoznaje pan kwit na tym zdjęciu? — spytał Charles, wskazując oddarty kawałek kwitu i fotografię drugiej połówki, które położył na kontuarze.

Albinos nie zaszczycił spojrzeniem żadnego ze wskazanych

przedmiotów. Dał już do zrozumienia, że przybysze mają poczekać, i drażniła go niewymownie niecierpliwość i nieuprzejmość białego człowieka.

— Wydaje mi się — zaczął Samuel, lecz złapał go atak takiego kaszlu, że wyjął chusteczkę, żeby odkrztusić flegmę.

Charles spojrział na niego krzywo, natomiast zielarz obrócił się i popatrzył z zainteresowaniem.

Kilka minut później dzwonek znów zadźwięczał i do sklepu weszła młoda, świeża Chinka, a za nią niski asystent. Dziewczyna była ubrana w spódnicę w szkocką kratę klanu Gordon, sięgającą tuż za kolano, i wykrochmaloną białą bluzkę z emblematem na lewej kieszeni. Środek emblematu zajmowała pagoda, którą otaczał napis „Chińska Szkoła Baptistów, San Francisco, Kalifornia”. Najbardziej uderzającą cechą dziewczynki były wystające jak u bobra zęby. Przywitała się z albinosem z wielkim szacunkiem i przez chwilę rozmawiała z nim z ożywieniem w języku, w którym mieszkający w Chinatown Samuel rozpoznał dialekt południowochiński. Potem zwróciła się do Samuela i

— Pan Song poprosił mnie o pomoc. Chce się dowiedzieć, czego panowie sobie życzą.

Samuel otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale Charles wyszedł przed niego i wysunął władczo palec.

— Powiedz mu, że jestem prokuratorem z FBI. Prowadzimy dochodzenie w związku ze śmiercią Reginalda Rockwooda. Mamy podstawy przypuszczać, że trzymał tu wartościowy depozyt.

Dziewczyna przetłumaczyła wypowiedź panu Songowi, na którym palec Charlesa nie zrobił najmniejszego wrażenia.

— To jest sklep zielarski. Sprzedajemy zioła ludziom, szukającym leku na najrozmaitsze dolegliwości — odpowiedział Song za pośrednictwem tłumaczki. Mówił ledwie słyszalnym, monotonnym głosem.

— A może nam pan powiedzieć, czy ten kwit można wymienić na coś, co pan tu przechowuje dla pana Rockwooda? — spytał Charles.

— Widzę tylko oddartą połowę kwitu — przetłumaczyła dziewczyna słowa pana Songa, który uniósł krzaczaste brwi.

— Proszę mu powiedzieć, że na zdjęciu, które tu leży, widać drugą połówkę — nie dawał za wygraną Charles.

— Pan Song mówi, że to nie wystarczy. W Chinatown jest takie powiedzenie „nie ma kwitu, nie ma prania”. — Dziewczyna parsknęła śmiechem, jakby usłyszała bardzo zabawny żart.

Albinos uszczypnął ją, sprowadzając na ziemię.

Charles poczerwieniał. Samuelowi udzieliła się wesołość dziewczyny i z trudem tłumił śmiech. Spodobało mu się, że pan Song żartuje sobie z aroganckiego Charlesa Perkinsa.

— Powiedz panu Songowi, że reprezentujemy rząd Stanów Zjednoczonych i za nieposłuszeństwo wobec naszego nakazu mogę go wtrącić do więzienia! — zagroził Charles.

Przestraszona dziewczyna przetłumaczyła jego słowa, historycznie gestykulując, ale pan Song odpowiedział niewzruszenie, ze skrzyżowanymi na piersi rękoma i dłońmi schowanymi w rękawach.

— Mówi to samo. Nie ma kwitu, nie ma prania. Nie obchodzi go, czy reprezentuje pan prezydenta Stanów Zjednoczonych.

Samuel pociągnął Charlesa za rękaw i szepnął:

— Nie rób sobie z niego wroga. Nie widzisz, że tu jest coś w rodzaju prywatnego składu depozytów? Popatrz na te podwójne kłódki na słojach i skrzynkach. On chroni swoich klientów. Możemy sprowadzić tu lekarza sądowego z drugą połówką kwitu. Wtedy nie rozejdzie się wieść, że ustąpił pod naciskiem.

— Niech mi pan powie przynajmniej jedno, panie Song — zażądał Charles, pokazując dwa klucze, które dostali od Engela. — Czy któryś z tych kluczy otwiera coś, co należy do pana Rockwooda?

Pan Song wziął do ręki połówkę kwitu i potrząsnął nią przed twarzą Charlesa.

— Dobrze, mój panie. Przyniesiemy drugą połówkę. Tylko niech pan nic nie robi z rzeczami należącymi do pana Rockwooda. Wrócimy jutro — zapowiedział wściekły Charles.

Wepchnął nakaz do teczki i pociągnął Samuela do drzwi. Kiedy już wychodzili, dziewczyna zawołała za Samuelem.

— Mój czcigodny wuj — powiedziała z uśmiechem — mówi, że bardzo brzydko pan kaszle od papierosów. Polepszy się panu, jeżeli zechce pan przyjmować ten chiński lek trzy razy w tygodniu przez miesiąc. Wuj ostrzega też, że jeżeli nie rzuci pan palenia, umrze pan młodo. — Podała mu półlitrową butelkę z chińskim napisem.

Samuel skinął z wdzięcznością głową i wyjął portfel, by zapłacić, lecz albinos machnął ręką.

— Spytaj pana Songa, czy chciałby wykupić ogłoszenie w mojej gazecie — poprosił Samuel.

Dziewczyna przetłumaczyła odpowiedź.

— Żaden Chińczyk nie czyta pańskiej gazety, a poza tym ogłoszenie nie wpłynęłoby korzystnie na interesy. Gdyby klienci przeczytali ogłoszenie w prasie, uznaliby, że interes kiepsko idzie, i przestaliby przychodzić. To nie jest dobre rozwiązanie.

— Wielka szkoda. — Samuel westchnął, chowając butelkę z lekarstwem do kieszeni kurtki.

Po wyjściu na ulicę przystanęli na chodniku. Charles okazał niezadowolenie, a Samuel zaczął go przekonywać, że robią postępy.

— Już ja ściągnę tu tego cholernego lekarza nakazem jutro z samego rana i będzie musiał przynieść ze sobą kwit — rzekł Charles. — I zobaczymy, czy temu dupkowi nadal będzie się chciało ze mnie kpić. — Powiedziawszy to, odwrócił się i ruszył Pacific w stronę Montgomery.

* * *

Gdy nazajutrz Samuel stawiał się przed sklepem zielarskim pana Songa, nie mógł uwierzyć własnym oczom. Na chodniku stał Charles, ubrany w to samo co poprzedniego dnia ubranie, nieogolony, a obok dwóch szeryfów federalnych. Zdenerwowany lekarz sądowy chodził w tę i z powrotem, wyklócając się z nim o coś. Chiński elegant w garniturze od Brooks Brothers opierał się o front sklepu, z jedną nogą zaczepioną obcasem o niski parapet podtrzymujący tafłę szyby ze znakiem pana Songa. Wyglądał na jedyne, któremu w tym towarzystwie się nie spieszyło.

— Nie musiał pan robić tego w ten sposób! — krzyknął lekarz, poczerwieniały i zdyszany.

— Nie chciał pan współpracować — odparł Charles. — Dlatego nie położyłem się spać, tylko przygotowałem długie oświadczenie, które potem zaniósłem do sędziego. I teraz mam nakaz rewizji.

— Musiał mi go pan doręczyć o szóstej rano? — spytał lekarz, piorunując wzrokiem Perkinsa.

— Potrzebuję kwitu odbioru, nie mogę tracić tyle czasu. Gdyby mi pan go dał, kiedy prosiłem, obaj byśmy się porządnie wyspali — rzekł Charles.

— Ale przecież ja nie byłem potrzebny! — zawołał lekarz.

— Na pewno pamięta pan argument o łańcuchu dowodów — przypomniał szydlerzo Charles.

Punktualnie o dziesiątej asystent pana Songa otworzył od wewnątrz co najmniej pięć zamków, odsunął się na bok i wpuścił do środka Charlesa, lekarza sądowego, dwóch szeryfów, eleganckiego Chińczyka i Samuela. Dzwonek na drzwiach rozbrzmiewał rozgłośnie, witając wchodzących.

Kiedy wszyscy znaleźli się w środku, asystent pokuśtykał za zasłonkę z niebieskich paciorków i po kilku minutach pojawił się pan Song z filiżanką gorącej herbaty. W czasie spotkania podnosił przykrywkę filiżanki, wdychał aromat i pociągał łyżeczek płynu. Czarny strój ze stójką uwydatniał jego białą cerę. Na głowie miał przylegającą chińską czapkę. Skłonił się lekko i wymamrotał coś w swoim języku — Pan Song wita panów i wyraża nadzieję, że będziecie

obdarzeni wieloma synami i długim życiem — zaczął Chińczyk w garniturze, przedstawivszy się jako oficjalny tłumacz federalny.

— Proszę powiedzieć, że przyszliśmy zbadać zawartość słoja. Mamy obie połówki kwitu odbioru — oświadczył Charles.

— Proszę położyć je tutaj, pan Song je obejrzy — rzekł tłumacz.

Charles skinął na lekarza, żeby podszedł do kontuaru. Razem położyli połówki kwitu, każdy swoją. Pan Song wyciągnął z rękawa okulary o grubych soczewkach w drucianej oprawie i uzbroił w nie różowe oczka. Wywołało to niesamowity efekt powiększenia, nasuwając skojarzenie ze strusiem. Pan Song dłuższą chwilę oglądał dwa kawałki papieru, podczas gdy obserwatorzy usiłowali opanować zniecierpliwienie.

— To jest kwit odbioru numer osiemdziesiąt pięć. Teraz potrzebny jest klucz — powiedział, posiłkując się tłumaczem.

— Cholera! — zaklął Charles.

— Myślę, że mamy klucz. To jeden z tych, które skopiował dla nas pan Engel — wyjaśnił Samuel, grzebiąc w szarej kopercie z teczki Charlesa i wyciągając dwa klucze.

Asystent przyciągnął drabinę do środkowej części półek z glinianymi słojami na wschodniej ścianie. Pan Song długim kościstym palcem wskazał numer 85.

— Pan Song mówi, że trzeba wejść na drabinę i sprawdzić, czy jeden z kluczy otwiera pokrywkę. To drugi słoje, na lewo od tamtego ostatniego.

Mężczyźni popatrzyli po sobie, a ponieważ nikt się nie zgłosił, Samuel sam wdrapał się na skrzypiącą drewnianą drabinę. Zaczął próbować klucze przy obejmie przytrzymującej przykrywkę słoja, co nie było wcale takie łatwe, bo drabina się ruszała i trzęsły mu się ręce. Nie lubił przebywania na wysokości. Z początku nie radził sobie z żadnym z dwóch kluczy, ale kiedy się uspokoił i ponowił próbę uważniej, jeden klucz udało mu się dopasować. Potem zabrał się do metalowej taśmy przytrzymującej słoje przy ścianie. Powstrzymał go ostry krzyk pana Songa. Albinos machał rękoma przed twarzą jak szalony, mówiąc do tłumacza.

— Nie, nie — rzekł tłumacz. — Pan Song mówi, że reszta sam się zajmie.

— Czemu od razu nie zdjął pan słoja z półki? — spytał Charles.

— Gdybyście nie mieli klucza otwierającego słoje, nie trzeba by go było zdejmować, bo nie byłby waszą własnością — odparł pan Song przez tłumacza.

Samuel szybko zszedł na dół. Asystent przyniósł zza zasłony z paciorków wielki pęk kluczy na kółku. Pan Song przerzucił klucze i wybrał jeden, który podał asystentowi. Asystent z zadziwiającą jak na jego wiek zręcznością wspiął się po skrzypiącej drabinie, rozpiął taśmę przytrzymującą słoje przy ścianie, zniósł go na dół i postawił na kontuarze. Pan Song upewnił się, że wybrano właściwy numer, po czym się cofnął.

— Mogą panowie obejrzeć zawartość, należy do was — zachęcił tłumacz.

— Nie, nie — zaprotestował Charles. — Chcemy, żeby on stworzył słoje. Może to jakaś pułapka.

Ta uwaga wywołała chwilową wesołość tłumacza i asystenta. Pan Song też się lekko uśmiechnął, odsłaniając na krótką chwilę rząd spiczastych zębów. Wreszcie asystent zdjął pokrywkę, przechylił słoje, kładąc go bokiem na kontuarze i zaczął opróżniać. Najpierw wyciągnął ze środka jakieś zielsko. Sporo tego było, o dziwnym, stęchłym odorze.

— Co to jest? — spytał nieufnie Charles. — Czy to jakiś narkotyk? — Wziął odrobinę i powąchał podejrzliwie.

— Pan Song mówi, że to chińskie zioło o nazwie chai ju, używane do leczenia chorób wątroby — wyjaśnił tłumacz. — Po angielsku bupleurum.

Następnie asystent wyjął ze słoja kilka pakunków. Jedna paczuska była zawinięta w białą bibułę i ciasno przewiązana sznurkiem. Było tam także pięć plików studolarowych banknotów, owiniętych kruszącymi ze starości gumkami.

Samuel patrzył czujnie, czy nie ma w słoju biletów na samolot, ale niczego takiego tam nie schowano.

Lekarz sądowy, który stał nadąsany w kącie, z głową wciśniętą w ramiona, ożywił się, słysząc o ziele na wątrobę. Pobrane z ciała Rockwooda próbki tkanek do zbadania pod mikroskopem wykazały daleko posunięte patologiczne zmiany w wątrobie. Odkrycie ziół w słoju wzmacniało podejrzenie co do przyczyny śmierci. Wyglądało jednak na to, że cała ta sprawa jest bardziej skomplikowana, niż można było przypuszczać, a zatem musiał nadal przechowywać zwłoki.

— Zbadam materiał roślinny, jeżeli pan sobie życzy — zaproponował.

— Proszę bardzo — odparł Charles.

Zajął się paczuszką w białej bibułce. Ostrożnie ją odwinął, odstawiając obite aksamitem pudełeczko. W środku znalazł trzy połyskliwe zielone kamienie, jeden wielkości ziarna fasoli i dwa mniejsze.

Charles zagwizdał.

— Szmaragdy! I, sądząc z wyglądu, dobrej jakości. Na pewno są warte tysiące dolarów. Jakim cudem znalazły się w posiadaniu nocnego stróża? Ile tam jest pieniędzy?

Lekarz przeliczył studolarowe banknoty.

— Dziesięć tysięcy.

— I podobna kwota w kamieniach — dodał Charles. — Ile warte jest lekarstwo?

— Pan Song mówi, że zioła są warte około trzydziestu dolarów — rzekł tłumacz.

— Trzydzieści dolarów za trochę trawy. W jakich my czasach żyjemy! — krzyknął Charles.

— Chwileczkę! — zawołał Samuel. — Widzicie tę kartkę owiniętą wokół paczki banknotów? Coś tu jest wydrukowane. Tak jakby część adresu. Widzę numer osiemset trzydzieści osiem i nic więcej. — Wziął notes i zapisał numer.

— To nic nie znaczy — rzekł lekarz. — Użyto po prostu tej kartki do przytrzymania banknotów.

— Nigdy nie wiadomo — odparł Samuel.

Charles nadał się tak, jak tylko mógł, mimo zmęczenia.

— W imieniu narodu Stanów Zjednoczonych Ameryki przejmujemy w posiadanie niniejsze dowody. Umożliwia nam to ten dokument.

Pokazał nakaz rewizji tłumaczowi, który podał go panu Songowi.

— Możecie panowie przejąć całą zawartość słoja — przekazał pan Song poprzez tłumacza — ponieważ okazaliście kwit odbioru. Słoja jednak wziąć nie możecie, ponieważ należy do sklepu.

— Bardzo mi przykro, panie Song, lecz musimy go zabrać — rzekł Charles. — Będziemy w nim trzymać dowody do czasu, gdy rozpoznamy, czy popełniono przestępstwo w świetle prawa federalnego. Jeżeli nie będzie powodu, by go przetrzymywać, oddamy go panu.

— Rzeczy znajdujące się w słoju nie są moje, lecz wasze — odparł pan Song przez tłumacza. — Ale słój należy do sklepu Chińskie Zioła Pana Songa i nie opuści go.

— Możemy za niego zapłacić — zaproponował Samuel.

— Nie jest na sprzedaż — powtórzył pan Song, który stracił przysłowiową chińską cierpliwość i zmarszczył brwi.

— Dam panu pokwitowanie na słój od rządu Stanów Zjednoczonych — rzekł Charles.

Wyjął z teczki druk z nagłówkiem departamentu sprawiedliwości i szczegółowo wyliczył rzeczy, które zabiera ze sklepu. Tłumacz odczytał listę panu Songowi.

— Czy ten biały człowiek jest głuchy, czy obłąkany? — spytał pan Song.

Tłumacz uznał, że lepiej nie przekładać jego pytania dosłownie. Udzielił natomiast wyjaśnienia:

— Pan Song jest niepocieszony, ponieważ jeśli przechodnie na ulicy zobaczą, że panowie wynoszą jego słój, wieść o tym się rozejdzie i jego dobre imię bardzo ucierpi. Jak można zaufać panu Songowi, skoro pozwala pierwszemu lepszemu białemu człowiekowi wejść do sklepu i wynieść pod pachą jeden ze słojów?

— Proszę posłuchać, panie Song — przerwał Charles. — Oto pokwitowanie na wszystko, co wynosimy. Proszę je zachować aż do zamknięcia sprawy. Potem to, co jest pana własnością, zostanie panu zwrócone. — Trzepnął ręką o kon-tuar, kładąc na nim kartkę.

Wyczerpany dał znać lekarzowi, dwóm szeryfom i tłumaczowi, żeby wyszli za nim ze sklepu, jednocześnie klnąc pod nosem albinosa, jego asystenta i piekielne dzwonki nad drzwiami, nie przestające hałasować.

— Zadzwoń do mnie jutro, Samuelu. Teraz nie jestem w stanie zebrać myśli — powiedział.

Rafael w tarapatkach

Samuel poszedł do Camelotu o nieludzkiej porannej porze, ponieważ Melba obudziła go wiadomością o aresztowaniu Rafaela. Zobaczył Blanche w szortach i roboczych butach, noszącą skrzynki z piwem z magazynku do baru. Robiła to bez widocznego wysiłku. Kiedy jednak chciał jej pomóc, skrzynki okazały się dla niego za ciężkie. Melba wyszła z biura. Wydzwaniwała do ważnych klientów baru, szukając pomocy.

— Co się stało? — spytał Samuel.

— Mówiłam mu tysiąc razy, żeby nie nosił na głowie tej cholernej siatki! — krzyknęła Melba.

— Za to go aresztowali?

— Nie, złapali go z kradzionym urządzeniem. Nie wiem jakim, ale zdaje się cennym. Przeszukali bar i jego mieszkanie. Matka nie posiadała się z gniewu — wyjaśniła Blanche.

— Co możemy zrobić?

— Potrzebuje adwokata. Ma prawo do obrony — zauważyła Blanche.

— Kto za to zapłaci? — spytał Samuel.

— Zobaczymy. To trzeba szybko wyjaśnić — rzekła Melba.

— Zakładając, że jest niewinny — zaznaczyła Blanche.

— Nie myślisz chyba, że Rafael jest złodziejem, dziecko!
— krzyknęła Melba.

* * *

Kilka dni później Samuel patrzył na sędziego sądu miejskiego, siedzącego w czarnej todze na podium. Sędzia zastukał młotkiem.

— Woźna będzie wywoływać sprawy. Proszę podawać w przybliżeniu przewidywany czas. Mamy dziś wypełnioną wokandę.

Senna woźna przejrzała leżące przed nią kartki.

— Stan Kalifornia przeciw Rafaelowi Garcii, numer sprawy pięćdziesiąt cztery trzydzieści dwa siedemnaście zero dwa.

* * *

Egzekutor sądowy wyprowadził z celi z boku sali sądowej zakutego w kajdany Rafaela w kombinezonie więzienia okręgowego San Francisco. Tymczasem siedzący obok Samuela adwokat w drogim dwurzędowym garniturze od Waltera Fonga spojrzął na zegarek i wyjął z kieszeni marynarki terminarz. Był mocno zbudowany, miał kręcone włosy, kartoflowaty nos i porcelanowe korony na zębach, bielutkie jak nowa wanna. Cały czas się uśmiechał, by je eksponować, bo z pewnością dużo na nie wydał. Podszedł do podium wewnątrz ogrodzenia

i wahadłowych drzwi oddzielających obserwatorów od osób biorących udział w codziennych przesłuchaniach.

— Hiram Goldberg z kancelarii adwokackiej Hiram Goldberg. Reprezentuję oskarżonego Rafaela Garcję.

Był jednym z najlepszych adwokatów kryminalnych w mieście. Stał, czekając, aż postępujący powoli więzień, ze skutymi rękami i nogami, dotrze do niego pod eskortą zastępcy szeryfa.

Rafael, po dotarciu na wyznaczone miejsce, popatrzył podejrzliwie na adwokata. Widział go po raz pierwszy w życiu. Potem rozejrzał się szybko po sali sądowej, dostrzegł z tyłu Samuela i pozdrowił go lekkim uśmiechem. Domyślił się, że to właśnie Samuel załatwił stojącego obok wymuskanego adwokata, więc się trochę uspokoił.

Sędzia sądu miejskiego, rumianolicy i słynący z porywczości, popatrzył bez współczucia znad okularów na oskarżonego. Z zasady nie ufał Meksykanom ani innym kolorowym imigrantom.

— Czy oskarżony przyznaje się do paserstwa, przestępstwa opisanego w rozdziale czterysta dziewięćdziesiątym szóstym kodeksu karnego Kalifornii?

— Oskarżony nie przyznaje się do popełnienia zarzucanego mu czynu, wysoki sędzie, rezygnuje z przyśpieszonego trybu oraz prosi o zmniejszenie kaucji z pięciu tysięcy dolarów do tysiąca pięciuset. Jesteśmy przygotowani do przekazania kwoty tej wysokości w dniu dzisiejszym.

— To nie pan jest oskarżony o popełnienie przestępstwa, panie Goldberg. Oskarżony powinien sam odpowiedzieć na zadane mu pytanie — upomniał adwokata sędzia. — Panie

Garcia, czy nie przyznaje się pan do winy i rezygnuje z przyspieszonego trybu?

Rafael poszeptał z adwokatem, a potem zamilkł prawie na minutę. Przyglądający się temu z pewnej odległości Samuel domyślił się, że o coś się spierają. Bardzo to było niefortunne, że Hiram nie mógł porozmawiać ze swoim klientem przed rozprawą.

— Mówi pan po angielsku, młody człowieku? — spytał zniecierpliwiony sędzia. — Mam dziś pełną wokandę, a ta sprawa spadnie, jeżeli potrzebuje pan tłumacza.

— Rozumiem wszystko, co pan sędzia powiedział, z wyjątkiem tego przyspieszonego trybu. O to właśnie pytałem. Nie chce pan sędzia chyba, żeby ktoś wyrażał zgodę na coś, czego nie rozumie, prawda? — rzekł z sarkazmem Rafael.

Hiram szturchnął Rafaela na znak, żeby nic więcej nie mówił, lecz niepokorny Rafael wyprostował ramiona i rzucił czujne spojrzenie w stronę stołu sędziowskiego. Bał się, ponieważ nigdy do tej pory nie stał przed sędzią. Wiedział, że ma kłopoty, lecz chciał pokazać sędziemu, że jest samodzielnym mężczyzną.

— Przesuniemy sprawę — zdecydował sędzia. — Musi się pan skonsultować z adwokatem.

Gdy Hiram trzepnął terminarzem o udo, rubin w sygnecie na małym palcu błysnął odbitym światłem fluorescencyjnej lampy pod sufitem. To mu rozbijało cały przedpołudniowy rozkład zajęć. Teraz musiał czekać do końca przesłuchania. Szepnął coś do ucha Rafaelowi i przypomniał sędziemu:

— Mam zaplanowane wystąpienia w wydziałach piętnastym, szesnastym i siedemnastym, wysoki sędzie.

— W porządku. Zobaczymy się o jedenastej. Oskarżony nie opuści sali.

Szurającego skutymi nogami Rafaela odprowadzono do pobliskiej celi, a tymczasem Hiram przeszedł szybko przez wahadłowe drzwi oddzielające główną część sali sądowej od widowni. Skinął na Samuela, żeby wyszedł z nim na korytarz.

— Wymądrzający się Meksykanin — podsumował z niezadowolaniem.

— To mój przyjaciel — oznajmił Samuel. — Melba chce go wyciągnąć z więzienia. Dlatego mnie tu przysłała i wynajęła pana.

— Jestem adwokatem, nie magikiem — rzekł Hiram.

Tłuste policzki wylewały mu się poza wysoki, sztywno nakrochmalony kołnierz białej koszuli. Miał złotą, podobnie jak spinki do mankietów, szpilkę do krawata. Samuel poczuł przyływ antypatii.

— Z przemądrzałymi Meksykanami trudno dojść do ładu. Utrudniają mi pracę nawet wtedy, kiedy ich na mnie stać. Tu smarem jest wazelina. Melba sporo mi zapłaciła, żebym wyciągnął kutasa z opresji, a on się wypytuje o każdy cholerny szczegół i chce wiedzieć, co się wokół niego dzieje. Nie mam na to czasu. Niech pan pogada z tym meksem i wytłumaczy mu, jakie prawa rządzą w tym mieście. Meksykanie są na szarym końcu, razem z pedałami. Tu liczą się Żydzi, Irlandczycy i Włosi, jeżeli pan nie zauważył.

— Niech się pan uspokoi — przerwał mu Samuel. — To dobry chłopak. Wie pan, że nie będę mógł z nim porozmawiać, aż do zakończenia rozprawy. Niech pan tylko doprowadzi do zmniejszenia kaucji, żebyśmy mogli go stąd zabrać.

— Teraz to już nie będzie takie łatwe. Podważył autorytet sędziego, a nie należy do liczących się w tym mieście. Być może sam siebie załatwił — podsumował Hiram.

— Ja to naprawię. Pan niech tylko doprowadzi do przesłuchania w sprawie przyznania kaucji. Mamy świadków, którzy wystawią mu dobre świadectwo. Jest ciężko pracującym obywatelem i nie ma ryzyka, że ucieknie — rzekł Samuel.

— Muszę iść. Do zobaczenia o jedenastej — odparł Hiram i podreptał korytarzem.

Samuel, kładąc rękę na wahadłowych drzwiach, krzyknął za nim:

— A może kupi pan ogłoszenie w mojej gazecie? Wyprowadzam sobie żyły, próbując coś sprzedać. A pan wygląda na takiego przy forsie!

— Chryste, człowieku, w tym stanie adwokaci nie mogą zamieszczać ogłoszeń — rzucił Hiram przez ramię i znikł w innej sali sądowej, za kołyszącymi się drzwiami.

Gdy Hiram wrócił o jedenastej, sąd wyznaczył termin w sprawie przyznania kaucji Rafaelowi na czwartek o wpół do trzeciej.

* * *

Kiedy sąd ponownie zebrał się na posiedzenie, Hiram Goldberg wszedł z dużą świtą. Towarzyszyła mu Melba, jej córka Blanche, matka Rafaela, jego brat i dwie siostry, Sofia, ksiądz z lokalnej parafii i Samuel. Wszyscy byli gotowi zeznać, że jest człowiekiem dobrym i solidnym, zgodnie ze starannie przygotowanym przez Hiram scenariuszem.

Sędzia przywołał zebranych do porządku, woźnia wywołała sprawę.

— Wysokość kaucji wynosi obecnie pięć tysięcy dolarów. Pan Garcia jest oskarżony o posiadanie kradzionego aparatu rentgenowskiego wartego przeszło dziesięć tysięcy dolarów. Z jakiego powodu stan Kalifornia miałby obniżyć kaucję? — spytał sędzia, patrząc na oskarżonego spod przymrużonych powiek.

— Z kilku powodów — odparł Hiram, dźwigając się ociężale. — Po pierwsze, stan Kalifornia nie ma żadnego dowodu na to, że oskarżony ukradł aparat. Prokurator może mu jedynie zarzucić, że znajdował się w pobliżu aparatu w momencie przybycia policji.

— Wysoki sędzie — przerwał mu asystent prokuratora okręgowego, który wstał ze swojego miejsca przy stole obok podium, gdzie Hiram udzielał pouczającej odpowiedzi sądowi. Miał twarz fanatyka, wychudłą, o zapadłych policzkach i głębokich cieniach pod oczami. — Panu Goldbergowi trudno będzie podważyć udział pana Garcii w tym przestępstwie, ponieważ aparat rentgenowski znajdował się w ciężarówce wynajętej na jego nazwisko. Jedyne, czego nie wiemy, a oskarżony nie chce nam powiedzieć, to skąd miał to urządzenie i dokąd je wiozł. Wiemy natomiast, skąd pochodziło i z pewnością nie znalazło się w posiadaniu pana Garcii w wyniku uczciwej transakcji.

— Zanim mi przerwano, wysoki sędzie — rzekł Hiram — miałem właśnie wyjaśnić sądowi, że nie jest moim zamiarem rozpoznanie sprawy w chwili obecnej. Chciałem jedynie wskazać na słabość dowodów przeciwko mojemu klientowi. Ważniejsze jednak jest zaprotokołowanie, że pan Garcia nigdy nie był notowany w kartotekach policji. Wręcz przeciwnie,

jest filarem społeczności i nie ma ryzyka, że ucieknie. Ma od lat stałą pracę u Melby Sundling, notabene tego samego irlandzkiego pochodzenia co wysoki sędzia, znanej i szanowanej menedżerki baru, która jest obecna i może to potwierdzić. Pan Garcia jest mocno zaangażowany w działalność lokalnego kościoła katolickiego, o czym zaświadczy ksiądz z jego parafii. Ponadto wspiera finansowo matkę i troje rodzeństwa, czego nie mógłby robić, gdyby trafił do więzienia.

— Zanim obciążymy protokół długimi zeznaniami — powiedział sędzia, patrząc na licznych świadków wypełniających salę sądową i obliczając w myślach, przez ile godzin będzie ich musiał wysłuchiwać — chcę się spotkać z przedstawicielami obu stron w gabinecie i proszę także przyprowadzić kuratora.

Zaproszeni udali się do gabinetu sędziego.

— Sądząc po ilości świadków, pan Goldberg jest przygotowany, by zasypać nas zeznaniami — zwrócił się sędzia do prokuratora. — Dlaczego wyznaczył pan tak wysoką kaucję?

— To poważne przestępstwo — odparł chudy prokurator, szykując się do wygłoszenia przygotowanej mowy na temat powszechnie znanych złych skutków kradzieży.

— Chwileczkę! Nie jesteśmy na sali sądowej — zaprotestował głośno Hiram. — Przyszliśmy tu tylko po to, aby omówić kaucję.

— Nie ma dymu bez ognia, wysoki sędzie — oświadczył prokurator, a wąskie usta aż mu drżały z pogardy i dla Hiram, i dla Rafaela.

— Co za bzdury. Dawno nie miałem takiej gównianej sprawy — wtrącił Hiram. — Chce pan tylko przypiec panu

Garcii stopy, licząc na zdobycie dowodów istnienia dużej złodziejskiej szajki. Tu nic takiego nie ma. Ten chłopak był po prostu w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie. Jeszcze się pan o tym przekona.

— Co ma do powiedzenia kurator? — spytał sędzia.

— Na pewno nie ma ryzyka, że ucieknie — odparł kurator. — Jest zrównoważony, a z rodziną łączą go naprawdę silne więzi.

— Nie przyszedłem tu słuchać pochwał na temat więźnia — wtrącił prokurator. — To pospolity złodziej, który powinien zostać za kratkami. Proszę pamiętać, panie sędzio, że pańskim zadaniem jest ochrona mieszkańców miasta, a nie hołubienie kryminalistów.

— Dość tego! — przerwał sędzia. — Panowie zaczekają na zewnątrz. Chcę sam to przemyśleć. A pana, panie kuratorze, proszę o zostawienie raportu. Zapoznam się z nim, a potem dołączę do akt.

Prawnicy opuścili gabinet sędziego. Hiram ruszył przejściem do sztucznego źródła z wodą za wahadłowymi drzwiami wyjściowymi. Mijając Samuela, mrugnął.

W ciszy opustoszałego gabinetu sędzia przekartkował pozostawiony dokument. Nie lubił wybrylantowanych meksów, jak po cichu ich nazywał, lecz postanowił obniżyć kaucję do dwóch tysięcy dolarów. Nie wiedział, czy więzień będzie mógł je wpłacić, lecz był pewien, że prędzej czy później i tak wyląduje za kratkami.

Xsing Ching poddaje się

Xsing Ching nacisnął mocno dzwonek mieszkania Virginii Dimitri przy Grant Avenue. Spociły mu się dłonie, umięśnione ramiona zgarbiły, gdy całą uwagę skupił na przycisku. Nie pamiętał, żeby kiedykolwiek w życiu miał tak napięte nerwy. Usiłował zapanować nad targającymi nim emocjami. Rzeźbione drzwi wydawały mu się wielkie w świetle dnia. Kiedy poprzednio odwiedzał Virginie — a zdarzyło się to już sześć czy siedem razy — zawsze było ciemno. Spotkania odbywały się w coraz bardziej intymnej i przyjemnej atmosferze, niepozbawionej jednak pewnej oficjalnej otoczki. Dziś po raz pierwszy złamał sztywne zasady odwiedzin ustalone przez Virginie. W żadnym wypadku nie powinien zaangażować się w ten związek. Jego życie już i tak się skomplikowało. Ostatnią rzeczą, na jaką mógł sobie pozwolić, był namiętny romans, niemniej miał z Virginie wiele wspólnego. Oboje byli zmysłowi, wyrafinowani i ambitni. Virginia nigdy o nic go nie

prosiła. Czego taka piękna kobieta mogła od niego chcieć? Przy okazji trzeciej wizyty przyniósł torebkę z krokodylej skóry, bardzo kosztowną. Podziękowała mu ceremonialnie, a później, po akcie miłosnym, poprosiła, żeby nigdy więcej nie przynosił jej prezentów. „Bardzo cię lubię, Xsing, uszczęśliwiasz mnie. Niczego od ciebie nie chcę oprócz twojej obecności. Wolę, żebyś nie dawał mi prezentów, ponieważ to zmienia ton naszej znajomości. Odbieram to tak, jakbyś chciał mi zapłacić”.

Najpierw poczuł się urażony. Ale kiedy się nad tym zastanowił, zrozumiał, że ma rację. Od tego momentu inaczej na nią patrzył.

Po trzecim dzwonku jednoręki służący, Fu Fung Fat, uchylił drzwi.

— Czy zastałem panią Virginie? Muszę z nią porozmawiać — powiedział Xsing po mandaryńsku.

Fu Fung Fat chłodno wysłuchał chińskiego pobratymca.

— Pani nie przyjmuje gości, którzy nie byli wcześniej umówieni na wizytę. Wydała wyraźne polecenie.

— To pilne. Powiedz jej, że przyszedłem, niech sama zadecyduje — odpowiedział Xsing z taką pewnością siebie, że służący nie mógł nie usłuchać tej prośby.

Czekając, Xsing chodził w tę i z powrotem. Czy Virginia była z innym mężczyzną? Poczul się idiotycznie. Była przecież wolna, mogła robić, co chciała, tak jak on. Mimo to zazdrość, która go przeszyla, pozostawiła mu w ustach cierpki smak. Wyjął białą chusteczkę, wytarł lepkie dłonie i spotniałe czoło.

Minęło dobrych kilka minut, zanim Fu Fung Fat powrócił. Znowu uchylił drzwi, ale tak jak przedtem zostawił małą szparę.

— Pani prosi, żeby pan przyszedł o trzeciej — przekazał i zamknął drzwi, zanim Xsing Ching zdołał przywołać jakikolwiek argument przemawiający na jego korzyść.

Xsing Ching chodził ulicami otumaniony, aż nadeszła właściwa pora. Punktualnie o trzeciej zjawił się znów pod drzwiami Virginii i ciężką ręką nacisnął dzwonek. Był bardziej opanowany, niż kiedy przyszedł wcześniej tego dnia, ale podkoszulek pod drogim garniturem miał mokry od potu.

Służący otworzył drzwi, odpiął łańcuch i z uśmiechem zaprosił gościa do środka. Miłe powitanie należało się temu, kto był umówiony. Idąc korytarzem, Xsing świeżym okiem popatrzył na ogromne wazy. Spostrzegł szczegóły, które umknęły mu w wieczornym oświetleniu. Słońce wpadające przez świetlik iluminowało kolekcję stojących w niszach figur z nefrytu. Ale nawet głęboka wiedza o antykach nie skłoniła go, by przystanąć przy którejś z nich, myśli miał bowiem zajęte czym innym.

Służący zachęcił go, by usiadł, i poszedł po Virginie. Pół minuty później wyszła z sypialni, świeża jak niewinna dziewczyna. Jeżeli była z innym kochankiem w tym czasie, gdy on szwendał się po ulicach, nic na to nie wskazywało. Była ubrana w czarne spodnie toreadora, sięgające kolan i przewiązane szarym jedwabnym pasem, kapcie baletki i białą męską koszulę. Nie ozdabiała jej biżuteria ani zauważalny makijaż. Xsing Ching powstał szybko, by ją powitać. Przemknęła mu myśl, żeby zrobić z niej kochankę, zabrać do Nowego Jorku i urządzić w mieszkaniu z oknami wychodzącymi na Central Park, jak królową, którą obdarzałby taką miłością, na jaką oboje zasługiwali. Ale teraz najważniejsza była pilna sprawa, która go tutaj sprowadziła.

— Bardzo mi przykro, Xsing, że nie mogłam się z tobą spotkać przed południem. Czemu nie zadzwoniłeś? — spytała Virginia.

Podszedł do niej i pocałował ją w czoło.

— Dziękuję, że mnie przyjąłeś, Virginio.

— Fu Fung Fat przekazał mi, że to coś pilnego — powiedział, prowadząc go pod rękę do sofy, na której razem usiedli.

— Tak, muszę z tobą porozmawiać. — Ręce drżały mu ze zdenerwowania. — Koniecznie muszę z tobą porozmawiać. Mój syn jest w San Francisco. Sprowadziłem go, ponieważ jego stan się pogorszył, a lekarze w Nowym Jorku powiedzieli mi, że tylko w Kalifornii leczy się białaczkę przeszczepem szpiku kostnego. Nie spodziewaliśmy się takiego obrotu sprawy, bo ostatnio miał się lepiej, choroba była w remisji. Ale teraz boję się, że jest naprawdę poważnie chory.

— Och, Xsing! Jak mogę ci pomóc? — krzyknęła Virginia. — Gdzie on jest? Jak ma na imię?

— Ren Shen Ching. Jest teraz w szpitalu dziecięcym na California Street. Proponowałeś kiedyś, że skontaktujesz mnie z tutejszymi lekarzami... — głos mu się załamał.

Virginia pogłaskała go po szyi. Xsing spostrzegł, że jest tak samo poruszona jak on.

— Natychmiast się tym zajmę — obiecała. — Zaczekaj chwilę.

Weszła do sypialni i zamknęła za sobą drzwi. Te kilka minut, kiedy jej nie było, wydawały się Chingowi nieskończonością. Kiedy wróciła, siedział na sofie z rozstawionymi nogami, łokciami opartymi na kolanach, chowając twarz w dłoniach — obraz rozpacz. Przyklękła obok i objęła go.

— Xsing, rozmawiałam przed chwilą z doktorem Stephenem Rolandem. Masz się z nim spotkać w szpitalu dziecięcym o wpół do piątej. Mniej więcej za pół godziny. To wybitny specjalista od białaczki, autorytet. Przedstawiłam mu sprawę. Obiecał, że zrobi wszystko, co w jego mocy, żeby pomóc twojemu synowi. Spotka się z jego lekarzem prowadzącym, żeby rozpatrzyć, czy jest dobrym kandydatem do przeszczepu. Wspomniał jednak, że ten sposób leczenia nadal znajduje się w stadium eksperymentalnym.

— Rozumiem, Virginio, ale musimy spróbować. To ostatnia deska ratunku.

Mimo trawiącego go niepokoju Xsing Ching spostrzegł, że Virginia płacze. Łzy spływały jej po policzkach i kapały na koszulę. Czyżby jego nieszczęście aż tak poruszyło tę zdawałoby się zimną kobietę?

— Co się stało? Myślisz, że Ren umrze?

— Nie, nie o to chodzi, Xsing. Będzie w najlepszych rękach, myślę, że go uratują. Są przypadki cudownych uzdrowień po przeszczepie.

— Więc dlaczego płaczesz?

— Kilka lat temu, z powodu choroby, straciłam jedyne dziecko. Wywołałeś bolesne wspomnienia. Dobrze wiem, co czujesz. Dlatego jestem szczęśliwa, że mogę ci pomóc.

— Nie wiem, jak ci dziękować, Virginio. — Uścisnął ją mocno i zapłakali razem.

* * *

Kilka dni później do tego samego mieszkania przyszedł Mathew. Kiedy zobaczył Virginie, chwycił ją wpół, podniósł

i pocałował w usta. Odepchnęła go i wygładziła ubranie. Nie lubiła wylewnego okazywania uczuć.

— Je nam z ręki — rzekł Mathew, zdejmując marynarkę i poluzniając krawat. — Jest gotów zrobić interes na moich warunkach. Dał do zrozumienia, że nie podzieli transportu dzieł sztuki i da mi pierwszeństwo wyboru przed innymi klientami. Niesamowite! Jak tego dokonałaś? Wydaje się zimny jak krab, a przy tobie stracił głowę. Czyżby się w tobie zakochał?

— Nie sądzę, żeby to miało cokolwiek wspólnego z miłością.

— Więc co to jest?

— Wdzięczność.

— Wdzięczność za co?

— Znalazłam lekarza specjalistę dla jego syna chorego na białaczkę. Robią testy całej rodzinie, żeby znaleźć odpowiednie dawcę szpiku kostnego.

— Skąd o tym wiedziałaś? Jak znalazłaś tego lekarza? — spytał Mathew.

— Powiedzmy, że to stary przyjaciel. Wystarczyło zadzwonić i przypomnieć mu o razem spędzonych chwilach.

— Był twoim kochankiem? Szantażowałaś go?

— Nie twoja sprawa. Dałam ci to, czego chciałeś. Jak tego dokonałam, to moja rzecz.

Mathew wzruszył ramionami. Metody Virginii go nie obchodziły, dopóki osiągała wyznaczone cele, za to jej przecież płacił. Był zaintrygowany i trochę zazdrosny. Virginia pociągała go swoją tajemniczością, lecz od dawna nie byli kochankami. Ponieważ współpracowali przy ubijaniu wielu interesów, lepiej

było nie mieszać do tego miłości ani seksu. Virginia spostrzegła zgrubienie w beżowych gabardynowych spodniach partnera i uśmiechnęła się do siebie. A więc miała władzę nad tym mężczyzną. Przewidywała, że prędzej czy później będzie zmuszona jej użyć.

— Masz jakieś wiadomości od Xsing Chinga? — spytał Mathew.

— Tak. Zadzwoił dziś rano z podziękowaniem, że tak szybko załatwiłam mu pomoc. Lekarz robi nadzieje, że chłopiec przetrwa kryzys. Xsing Ching powiedział, że jak tylko synowi się polepszy, odwiedzi mnie, żeby to uczcić.

— Świetnie. Zawrzemy umowę na całą dostawę i wyliczysz sobie prowizję. Gratuluję, jak zwykle spisałaś się na medal — rzekł Mathew.

Wstał z sofy, pochylił się, pocałował Virginie w policzek i ruszył do drzwi. Fu Fung Fat odprowadził go. Mathew odniósł wrażenie, że dziwny służący traktuje go z lekką pogardą, ale nie miał powodu do narzekań, bo wywiązywał się ze swojej roli, a Virginia darzyła go całkowitym zaufaniem.

* * *

Po wyjściu Mathew Virginia poszła szybko do sypialni, otworzyła szafę, sięgnęła głęboko na dno i wyciągnęła pudełko przepasane dwiema czarnymi gumkami. Wysunęła szufladę komódki i z kasetki z biżuterią wyjęła kwit z numerem 120 oraz klucz do kłódki. Zawołała do sypialni Fu Fung Fata.

— Wiesz, co masz zrobić — powiedziała. Fu Fung Fat skinął głową, schował klucz i kwit do kieszeni marynarki,

a pudełko włożył do torby, którą przerzucił przez ramię. Skierował się do tylnych schodów i wyszedł na jedną z wąskich uliczek Chinatown.

Dzwonek obwieścił jego przybycie. Asystent pana Songa przywitał go jak starego znajomego i wezwał pryncypała. Fu Fung Fat pokazał kwit. Pan Song odnalazł odpowiedni klucz na dużym kółku z kluczami i polecił asystentowi zdjąć słoję numerem 120. Asystent wspiął się na drabinę, otworzył zewnętrzną obejmę, zszedł ze słojem i zaniósł go do oddzielnego kotarę pomieszczenia za zasłonką z niebieskich paciorków. Fu Fung Fat wszedł do pokoiku, otworzył kłódkę przy słoju i otworzył pudełko, które przyniósł ze sobą z mieszkania Virginii. Przełożył pieniądze z pudełka do słoja, nałożył obejmę, przekręcił klucz w kłódce i oznajmił, że skończył operację. Zgarnął puste pudełko i odebrał ten sam kwit od pana Songa. Potem popatrzył, jak asystent pana Songa wdrapuje się na drabinę, umieszcza słoję na właściwym miejscu i zabezpiecza go. Wtedy dopiero schował klucz i kwit do kieszeni, wrzucił puste pudełko do torby, złożył uszanowanie i wyszedł przez hałaśliwe drzwi.

Brakująca strona

W sobotnie popołudnie na początku stycznia 1961 roku Samuel siedział przy okrągłym stole w Camelocie, rozmawiając z Melbą. Leżący pod stołem Excalibur nie tylko dawno już przestał na niego warczeć, ale chodził przy jego nodze. Teraz zabrał się za obgryzanie sznurowadeł. Samuel wyciągnął mu sznurowadło z pyska.

— Nie ufam temu cholernemu psu. Najpierw mnie atakuje, a teraz obślinia. Czy mogłabyś nad nim zapanować?

— Nie przyszedłeś tu chyba po to, żeby omawiać psią etykietę — odparła Melba.

Przed Samuelem leżał segregator z przegródkami na dokumenty. Papiery wysypały się na dębowy blat, zakrywając plamy po rozmaitych, rozlanych na stół przez dziesiątki lat alkoholach.

Samuel trzymał w ręku jednostronicowy policyjny raport.

— Zobacz, Melbo, to zastanawiające.

- Co takiego?
- Ten raport nie ma normalnego zakończenia, jest jakby urwany.
- Może tak było. Może ktoś się pozbył reszty — podsunęła Melba.
- Nie można tego zrobić. To oficjalny dokument.
- Melba uśmiechnęła się z wyższością.
- Jesteś taki naiwny, Samuelu. W tym mieście dzieją się różne grandy. Wszystko zależy od tego, kto ma jakie wpływy. Zawsze tak było.
- Wiesz równie dobrze jak ja, że Rockwood nie miał wielkich wpływów. Zlituj się, przecież mieszkał w schowku gospodarczym — przypomniał jej Samuel, odsuwając nogę tak, żeby sznurowadło znalazło się poza zasięgiem pyska Excalibura. Wziął ze stolika serwetkę, wytarł oślizgłe, zaślinione sznurowadło i zawiązał but.
- Nie mówię o Rockwoodzie. On nie żyje! To przecież nie on zacierałby ślady, prawda? Zrobiłby to ktoś, kto go zabił. Dam głowę, że coś się za tym kryje, musisz tylko jeszcze trochę powęszyc — przekonywała.
- Posłuchaj, jak opisany jest wypadek — rzekł Samuel.
- Jaki wypadek? — spytała Melba.
- Pamiętasz, zginął w wypadku. Potracił go trolejbus, tuż przy General Hospital.
- Pamiętam. No to przeczytaj ten opis. — Odłożyła papierosa do popielniczki, w której leżało już kilka niedopałków, wydmuchała nosem dym i pociągnęła łyk piwa ze szklanki.
- „Ofiara i dwie inne osoby znalazły się dokładnie na

wprost. Było ciemno, a oni pojawili się nagle, ni stąd, ni zowąd. Nacisnąłem hamulec, ale nie zdołałem się zatrzymać. Potrąciłem ofiarę. Tamci dwaj uskoczyli". To wszystko — powiedział Samuel.

— Kto to mówił? — spytała Melba.

— Na pewno kierowca trolejbusu, ale nie widzę żadnego podpisu.

— Czyjego nazwisko jest wymienione w raporcie?

— Tak, u góry.

— No to, mój geniuszu, pójdz do niego z tym raportem i pogadaj z nim.

— Już o tym pomyślałem, ale lubię najpierw omówić wszystko z tobą, zanim do czegoś się zabiorę — odparł Samuel.

Zaczął upychać papiery w segregatorze, a potem wszystko razem wcisnął do pękatej teczki. Pożegnał się z Melbą i kilkoma bywalcami, spoglądając w głąb sali, za kontuar, w nadziei, że dostrzeże Blanche, której nie widział od kilku dni. Zerkał na próżno. A te dni dłużyły mu się jak lata.

Wskoczył do tramwaju i podjechał do Market. Nastawił zegarek według zegara na Ferry Building, wsiadł do trolejbusu numer pięć przy MacAllister, przejechał obok ratusza i placyku z bezlistnymi drzewami, a potem dalej, aż do wznoszącego się na szczycie wzgórza wielkiego kościoła Świętego Ignacego. Przeszedł na piechotę obok wydziału prawa Uniwersytetu San Francisco do Grove Street, gdzie po stronie południowej ulicy trafił pod adres, którego szukał. Był to typowy miejski dom bliźniak, podzielony na mieszkania, z wykuszowymi oknami na parterze i na piętrze. Dzwonił kilka razy do

drzwi na górze, aż wreszcie otworzyła mu atrakcyjna Murzynka po trzydziestce. Trzymała dziecko na ręku.

— Przepraszam panią za to najście — powiedział Samuel. — Czy zastałem pana Butlera?

— A pan to kto?

— Samuel Hamilton z miejscowej gazety.

Kobieta obróciła się i krzyknęła w stronę schodów:

— Jim, przyszedł tu jakiś gość i chce z tobą porozmawiać.

— Kto chce ze mną rozmawiać? — zapytał głos z głębi mieszkania.

— Dziennikarz z gazety — wyjaśniła kobieta.

Przestraszone głośną rozmową dziecko rozplakało się.

— Czego chce? — spytał głos.

— Sam musisz się dowiedzieć, Jim. Dziecko płacze. Po śpiesz się!

Kobieta zaczęła wchodzić po schodach, zostawiając Samuela pod drzwiami.

— Dobrze, już, dobrze. — Na szczycie schodów stanął masywny Murzyn w czerwonej koszuli z Pendleton i w luźnych dżinsach na szelkach. — Czego pan chce? — dopytywał się głośno, spoglądając podejrzliwie z wysokości na obramowanego framugą drzwi Samuela w pogniecionej sportowej marynarce khaki i jego podniszczoną wypchaną brązową teczkę.

— Chciałbym z panem porozmawiać o oświadczeniu, które złożył pan na policji w związku z wypadkiem przy General Hospital — wyjaśnił Samuel.

— Reprezentuje pan tego, który zginął? — rzucił szorstko Jim Butler. — Jeśli tak, to niech pan się zwróci do śledczego

w urzędzie komunikacji albo do prokuratora miejskiego. Zabroniono mi rozmawiać z kimkolwiek o tym wypadku bez ich zgody.

— Nie, nie, nikogo nie reprezentuję. Przeczytałem tylko policyjny raport i chciałem go panu pokazać — odparł Samuel, mając nadzieję, że nie będzie musiał pokonywać biurokratycznych barier, które raptem przed nim wyrosły.

— Niby skąd mam wiedzieć, że nie przysłał pana jakiś prokurator, żeby podstępnie zmusić mnie do powiedzenia czegoś, czego nie powinienem powiedzieć?! — ryknął z góry Jim.

— Proszę, oto moja wizytówka. Czy mogę wejść na chwilę?

Jim Butler przyglądał mu się chyba przez minutę, aż w końcu uznał, że Samuel nie wygląda groźnie i z nikogo podstępem niczego by nie wycisnął.

— Niech pan tam zostanie. Schodzę. — Ruszył, stąpając ciężko po schodach i wprawiając w drżenie cielsko ważące dobre sto dwadzieścia kilo. Kiedy znalazł się na dole, przytłoczył Samuela wysoką posturą. Wziął kartkę z raportem i obejrzał ją uważnie.

— Tu na górze to ja. Pewnie tak mnie pan znalazł.

— Zgadza się — oparł Samuel. — Ale to zeznanie jest bardzo krótkie, a ja miałem nadzieję, że było tego więcej.

— Słusznie się pan domyśla — rzekł Jim Butler. — Jak się pan nazywa?

— Samuel Hamilton.

— No więc, panie Samuele, to jest tylko połowa z tego, co miałem do powiedzenia. Żaden urzędnik nie zabroni mi o tym mówić. Brakuje jednej strony!

— Czy pan ją ma? — spytał zaskoczony Samuel.

— Nie, ale mogę powiedzieć, co na niej było — powiedział Jim Butler. — Przez ulicę przechodziło trzech facetów. Raptem znaleźli się przede mną. Nie miałem kiedy zahamować. Uderzyłem tylko tego białego, w smokingu. A tamci dwaj to byli Chińczycy. Nie chcieli go puścić, a sami w porę uskoczyli. Po mojemu to wyglądało tak, jakby przytrzymali gościa w smokingu aż do ostatniej chwili.

— Uważa pan, że starali się go przytrzymać?

— Tego nie wiem. Mogli go też popchnąć. Nie widziałem dokładnie. I to właśnie powiedziałem policjantowi.

— A mówił pan o tym jeszcze komuś? — spytał Samuel, myśląc o śladach palców na ramionach Rockwooda leżącego w kostnicy.

— Pewnie. Nic innego nie robię, tylko o tym opowiadam. Można sobie wyobrazić, jak się przestraszyłem. Tego samego wieczoru złożyłem oświadczenie dla śledczego z urzędu komunikacji. Przepisali je na maszynie i na drugi dzień je podpisałem — rzekł Jim Butler.

— A więc oprócz policyjnego raportu jest jeszcze pisemne oświadczenie.

— Tak jest.

— Czy policjant podpisany pod raportem przyjął także pierwsze zeznanie? — Samuel pokazał ponownie jednostronicowy dokument.

Jim Butler przyjrzał mu się uważnie. Samuel zwrócił uwagę, że kierowca nie używa okularów, a zatem musiał mieć dobry wzrok.

— Tak, Brian Foley, numer odznaki dwa tysiące trzydzieści osiem, to on.

— Dziękuję panu za pomoc, panie Butler. Będę w kontakcie — rzekł Samuel.

— Nie, nie. Jeżeli chce pan jeszcze o coś pytać, to proszę się kontaktować przez urząd transportu — odparł Jim Butler.

* * *

Samuel jechał z powrotem do centrum zamyślony. Zastanawiał się, czy skontaktować się najpierw z Charlesem Perkinsem, czy też udać się wprost do Briana Foleya i spytać go o brakującą kartkę. Skończyło się na tym, że poszedł na kolację do Chop Suey Louie's. Louie powitał go od drzwi uśmiechem, jak zwykle, natomiast jego matka popatrzyła na Hamiltona z odrazą.

— Cześć, Samuelu, mamy dziś wspaniałą specjalność dnia, chiński podsmażany ryż z krewetkami. Idź przywitać się z Goldie, pytała o ciebie. Chce wiedzieć, czemu nie poświęcasz jej już tyle uwagi, co przedtem.

— Ta rybka nie przynosi mi szczęścia.

— W miłości czy w pracy?

— Ani w tym, ani w tym. Blanche zapomniała o moim istnieniu i od kilku dni nie sprzedałam ani jednego ogłoszenia. Jak tak dalej pójdzie, będziesz musiał za mnie poręczyć, żebym nie umarł z głodu. Na dodatek prowadziłem na własną rękę śledztwo, a rezultaty mam mizerne. Ta sprawa jest bardziej skomplikowana niż kołtun starej wiedźmy. Nie chciałbym oczywiście urazić twojej matki — dorzucił, skinięciem głowy wskazując miejsce, z którego obserwowała go starsza pani.

— Jeżeli chcesz, żeby Goldie przyniosła ci szczęście,

musisz ją trochę rozpieścić, Samuelu. Kupiłem dla niej karmę w sklepie z artykułami dla zwierząt. Wejdź na drabinkę przy akwarium i nasyp jej trochę. Tylko nie za dużo.

— Tyle? — spytał Samuel.

— Mniej. Chcesz, żeby panna Goldie utyła?

— Skąd wiesz, że to ona a nie on?

— Poznałem po tym, jak tkliwie na ciebie patrzy — rzekł Louie i zaczął się śmiać.

Samuel wspiął się na drabinkę i nasypał szczyptę karmy do akwarium.

— No, Goldie, postaraj się, żeby los się do mnie uśmiechnął. Mam dość pecha, moja zła passa za długo trwa.

* * *

Na drugi dzień rano, czując, że zaniedbał się w pracy, Samuel poszedł do redakcji. Położył teczkę na krześle i przejrzał najnowsze wiadomości i prośby. Od tygodnia nie sprzedał ogłoszenia. Martwił się, że lada moment zadzwoni szef, żeby go zwolnić, miał jednak szaloną nadzieję, że kiedy ta chwila nadejdzie, będzie mógł się pochwalić rozwiązaniem dużej zagadki kryminalnej. Wówczas szef awansuje go na reportera. Zajmie się wtedy działką policyjną, wiedziony instynktem bloodhouna wytropi każdą aferę i zdobędzie sławę. Nawet Blanche sama przyjdzie do niego i będzie błagać na kolanach o miłość. Klepnął się dłonią w czoło, starając się skupić na pracy, lecz myśl o śmierci Reginalda Rockwooda Trzeciego powracała obsesyjnie.

Zatelefonował i dowiedział się, że policjant Foley jest na zmianie popołudniowej, co dawało mu kilka godzin na właś-

ciwą pracę. Zadzwoił do kilku niezainteresowanych jego ofertą, potencjalnych klientów, usiłując namówić ich, żeby wykupili ogłoszenie, ale udało mu się sprzedać tylko jedno, mało ważne, dotyczące materacy. To bezowocne i monotonne zajęcie złagodziło jego poczucie winy i przywróciło jasność umysłu.

Punktualnie o godzinie czwartej włożył sportową marynarkę i wybiegł z pracy. Kiedy dotarł do nowego gmachu sprawiedliwości przy Bryant Street, poszedł od razu na komendę policji i spytał o policjanta Foleya. Nie spodziewał się, że zobaczy kogoś tak młodego. Brian Foley wyglądał na przyszłego nastolatka.

— Samuel Hamilton — przedstawił się. — Zobaczyłem pańskie nazwisko na tym raporcie policyjnym — powiedział, podając mu kartkę. — Pamięta pan ten wypadek?

Policjant przeczytał zapis na kartce wraz z widniejącym u dołu własnym nazwiskiem.

— Tak, proszę pana, to sporządzony przeze mnie raport. Ale gdzie są pozostałe strony? Pamiętam, że były trzy, dwie z tekstem i jedna z wykresem.

— To wszystko, co mam — odparł Samuel. — Czy mógłby pan zajrzeć do archiwum i sprawdzić, czy jest tam reszta raportu?

Foley wyszedł na kilkanaście minut, a po powrocie potrząsnął głową.

— Nie ma. Proszę zwrócić się do mojego przełożonego. Przekazuję mu wszystkie swoje raporty, a on je podpisuje na samym końcu. Dlatego na tej kartce nie ma jego podpisu.

— Pamięta pan ten wypadek? — spytał Samuel.

— Pamiętam go dobrze. To był mój trzeci. Wiedziałem, że mnie przerasta. Jestem nowy i na początek skierowano mnie na ulicę. Niech pomyślę — rzekł Foley, drapiąc się w pryszczatą brodę. — Było trzech mężczyzn, dwóch Chińczyków i jeden ubrany w smoking biały, który zginął. Chodziło o to, czy ci Chińczycy wepchnęli tamtego pod trolejbus. Pamiętam też, jak kierowca wspomniał, że jeden z Chińczyków miał coś nie tak z twarzą. Musiał wyglądać naprawdę okropnie, jeżeli kierowca zauważył to w takiej chwili. Mój przełożony miał przeanalizować fakty i przekazać właściwemu wydziałowi. Musi pan jego spytać, czego się dowiedział i co zrobił ze zdobytymi informacjami.

— Kto jest pańskim przełożonym?

— Sierżant Maurice Sandovich.

— Gdzie go mogę znaleźć?

— Wrócił do obyczajówki. Przerzucili go na dyżury dzienne.

— Jak to wrócił do obyczajówki?

— Ja o tym nie decydowałem. Musi pan zwrócić się z tym do niego. Przykro mi, ale już w niczym więcej nie mogę panu pomóc — powiedział Foley, odprawiając Samuela pożegnalnym gestem.

* * *

Samuel wiedział, że działając na własną rękę, nie wydobędzie żadnych informacji z komendy policji, więc na drugi dzień poszedł poprosić o pomoc prokuratora FBI.

Charles Perkins był bardzo z siebie zadowolony. W gazecie, dla której pracował Samuel, ukazał się duży artykuł przed-

stawiający go jako prokuratora odpowiedzialnego za skazanie gangu przemytników narkotyków z Ameryki Środkowej. Kiedy więc Samuel pojawił się u niego niezapowiedziany, Charles przyjął go w dobrym humorze. Gabinet był zastawiony pudłami z dokumentacją ukończonych spraw, a na biurku leżały sterty zaległej poczty. Charles siedział na obrotowym krześle, opierając nogi na biurku.

— Cześć, Charles. Widzę, że jak zwykle jesteś bardzo zajęty — powiedział Samuel.

Patrzył prosto na dziurę w podeszwie pamiętającego lepsze czasy prawego czarnego półbuta Charlesa. Znoszone buty pasowały do wymęczonego garnituru w zgaszonym granatowym kolorze. Te szczegóły w wyglądzie wzbudziły w Samuelu pewną dozę współczucia dla aroganckiego kolegi.

— To znowu ty. Nie odzywałeś się ostatnio. Myślałem, że może ta twoja sprawa została już odłożona ad acta — powiedział charakterystycznym tonem wyższości, podtrzymując prawą ręką filiżankę kawy.

— Niezupełnie — odparł Samuel. — Coraz bardziej się komplikuje. Pamiętasz ten jednostronicowy policyjny raport?

— Tak, prosty, nie dający do myślenia — ocenił Charles. — Krótki opis zdarzenia.

— Z początku ja też tak myślałem, ale dowiedziałem się, że brakuje dwóch stron — rzekł Samuel.

— Naprawdę? — zdziwił się Charles, zdejmując nogi z biurka i siadając prosto na krześle. — Jak się o tym dowiedziałeś?

— Rozmawiałem z kierowcą trolejbusu i policjantem, który spisał raport.

— I..?

— Policjant był żółtodziobem i przekazał raport przełożonemu. Pamiętał jednak ten wypadek, poszedł do archiwum odszukać cały raport, ale go nie znalazł — powiedział Samuel.

— Kto był jego przełożonym?

— Maurice Sandovich.

Charles zerwał się na równe nogi. Wylał połowę kawy na papiery na biurku.

— Chyba żartujesz!

— Wcale nie. Skąd ten pomysł?

— Maurice Sandovich to jeden z najbardziej nieuczciwych policjantów, jakich prześwietlałem, odkąd tu pracuję. Tkwie po uszy w aferach związanych z Chinatown. Opowiedz mi o tym jednostronicowym raporcie.

— Kierowca powiedział policjantowi, że dwaj Chińczycy mogli wepchnąć Rockwooda pod trolejbus — wyjaśnił Samuel.

— A co z tym wszystkim miał wspólnego Sandovich? — spytał Charles.

— Miał przyjąć raport i umieścić go w aktach, ale dwie trzecie zniknęło.

— Gdzie jest teraz Sandovich?

— Wrócił do obyczajówki.

Charles przeklął.

— Nie mogę uwierzyć, że przenieśli drania z powrotem do obyczajówki. Założę się, że znowu wkręcił się w patrolowanie Chinatown i znów pracuje dla tamtejszych gangsterów. Kto mógł to zatwierdzić? W gruncie rzeczy to nie ma znaczenia — dodał po chwili. — Musimy udowodnić, że maczał w tym

palce i coś zrobił z raportem. Ale przede wszystkim trzeba ustalić powód, dla którego to zrobił.

— Od paru dni myślałem o tym, żeby do ciebie przyjść — rzekł Samuel. — I już wiem, dlaczego przyszedłem.

— Dlaczego?

— Bo ty zawsze umiesz postawić właściwe pytanie.

— Przyszedłeś w odpowiednim momencie. Jeszcze wczoraj nie mógłbym nic zrobić. Czytałeś o mnie w dzisiejszej gazecie? — spytał triumfalnie.

— Pewnie — skłamał Samuel, przewidując, że Charles z przejęciem i dokładniej niż opisano to w gazecie, opowie mu o tym, co się wydarzyło.

Nie mylił się. Przez następne pół godziny — Samuel zerkał co chwila na zegar ścienny — podekscytowany Charles relacjonował swoje sądowe zwycięstwo.

— Co teraz zrobimy? — chciał wiedzieć Samuel, kiedy Charles wreszcie skończył mówić.

Gdy wrócił na ziemię, przez minutę się zastanawiał.

— Musimy stąpać ostrożnie, żeby nie nadepnąć na odcisk miejscowym organom ścigania. Należy zachować stan delikatnej równowagi pomiędzy komendą policji San Francisco a FBI. Musimy uszanować ich terytorium. Jeżeli tego nie zrobimy, to później, kiedy będziemy w potrzebie, odmówią współpracy. Myślę, że najlepiej będzie udać się do szefa policji i wyjaśnić, w czym rzecz. Oczywiście, jeżeli znajdzie się niewinne wytłumaczenie zniknięcia części raportu bądź okaże się, że został niewłaściwie zarchiwizowany, wówczas Sandovich dostanie cynk, że mamy go na oku.

— Na dobrą sprawę to nie ma znaczenia — rzekł Samuel.

— Jak to? — zdziwił się Charles.

— Jeżeli ten policjant jest aż tak zdeprawowany, jak mówisz, to jeżeli nie zostanie złapany przy tej sprawie, wpadnie przy czymś innym, więc warto zaryzykować. Poza tym to nie FBI prowadzi śledztwo. To ja przez przypadek wpadłem na trop. W razie czego zwalisz wszystko na mnie.

Charles roześmiał się i odgarnął kosmyk jasnych włosów z czoła.

— To mi bardzo odpowiada. Nie ma cienia wątpliwości, że to podły glina. Dam głowę, że ma więcej na sumieniu, niż to, o co go w tej chwili podejrzewamy. Musimy jednak działać ostrożnie, żeby nie obudzić jego czujności, bo może zaatakować jak skorpion.

* * *

Charles zatelefonował w kilka miejsc. Parę dni później udał się z Samuelem na spotkanie z zastępcą komendanta policji, sierżantem Sandovichem i policjantem Foleyem. Charles Perkins zagaił.

— Obecny tu pan Hamilton zainteresował się nagłą śmiercią Reginalda Rockwooda Trzeciego, który zginął pod koniec listopada, potrącony przez trolejbus w późnych godzinach wieczornych, przed General Hospital. Policjant Foley sporządził kilkustronicowy raport o tym wypadku. Jego bezpośrednim przełożonym i opiekunem był w owym czasie sierżant Maurice Sandovich, który siedzi tu z nami. Policjant Foley przekazał raport sierżantowi i więcej go nie widział. Na prośbę pana Hamiltona policjant Foley udał się do archiwum, lecz znalazł tam jedynie pierwszą stronę, co jest powodem dzisiejszego spotkania.

— Sierżancie Sandovich, zechce pan wyjaśnić panu Perkinsowi procedurę — polecił zastępcą komendanta.

— Tak jest, panie komendancie — odpowiedział Sandovich.

Był dużym mężczyzną o krótko ostrzyżonych siwych włosach. Nalane policzki i plamista cera zdradzały zamiłowanie do alkoholu, lecz stalowy błysk w niebieskich oczach budził niepokój. Obserwował czujnie, niczego nie zapomniał i nie był zadowolony, że wzięto go w obroty.

— Oto jak to jest zorganizowane. Funkcjonariusz policji drogowej, pan Foley, jako nowicjusz podlegał mojemu nadzorowi. Nie przypominam sobie dokładnie tego wypadku, więc ograniczę się do ogólnego opisu postępowania. Czytam raport razem z policjantem, który był na miejscu zdarzenia i jeżeli wszystko jest w porządku, podpisuję u dołu drugiej strony lub dalszej, jeżeli stron jest więcej. — Obrócił powoli głowę, rozglądając się po pokoju tak, żeby z każdym obecnym nawiązać kontakt wzrokowy.

— Chwileczkę — wtrącił Charles. — A gdyby była tylko jedna strona?

— Tak by było, gdyby ktoś przyszedł na posterunek i nie byłoby policjanta na miejscu zdarzenia. W takim przypadku nie byłby potrzebny nadzorujący przełożony — odparł Sandovich. — Przy poważniejszym wypadku drogowym raport zawsze liczy co najmniej dwie strony. Proszę pamiętać, że zawsze jest dołączony rysunek. Gdyby to był duży wypadek, można mieć pewność, że były co najmniej dwie strony raportu. Po przejrzaniu go zdecydowałbym, czy jest konieczne dalsze dochodzenie, a jeżeli tak, przekazałbym sprawę odpowied-

niemu wydziałowi wewnętrznemu, w przeciwnym zaś razie umieściłbym raport w archiwum.

— W archiwum nie ma raportu, sierżancie — przypomniał zastępca komendanta.

— Może przekazałem go do któregoś z wydziałów — rzekł Sandovich. — Jakie obrażenia poniósł poszkodowany?

Charles przystąpił do ataku.

— Poszkodowany zmarł, a policjant Foley mówi, że kierowca trolejbusu, niejaki pan Butler, powiedział mu, że Rockwood został wypchnięty przed pojazd przez dwóch Chińczyków albo przytrzymany przez nich do ostatniej chwili.

— Nie pamiętam ani tego wypadku, ani raportu — oświadczył Sandovich. — Jeżeli jednak istniało podejrzenie zabójstwa, zapewne przekazałbym raport wydziałowi zabójstw — dodał spokojnie, wzruszając ramionami.

— Wydział zabójstw nie ma akt tej sprawy, nie zarejestrowano także, by ktokolwiek się z nimi kontaktował — rzekł zastępca komendanta, wyraźnie zdenerwowany.

— Nie wiem, co odpowiedzieć, panie komendancie. Nic nie pamiętam w związku z tą sprawą, miałem ich wtedy bardzo dużo — odparł Sandovich i odchylając się w tył na krześle, przybrał pozę lekko znudzonego.

Samuel cały czas śledził rozmowę, zwracając uwagę na chłodną pewność siebie, z jaką Sandovich traktował rozmówców, jakby nikt nie mógł mu nic zrobić. Wszystkich traktował z jednakowym lekceważeniem. Było oczywiste, że wie więcej, niż gotów jest powiedzieć. Zachowywał się jednak tak, jakby dokładnie zatarł ślady i trudno byłoby go na czymś złapać.

Samuela zmroziła myśl, że bezkarny jest ktoś, kto gwałci prawo, mimo że ma za zadanie pilnować jego przestrzegania.

— Dobrze, panowie — powiedział zastępca komendanta. — Policjancie Foley, zaniesiecie ten jednostronicowy raport do wydziału zabójstw i wyjaśnicie, że brakuje co najmniej jednej strony. Powiecie tyle, ile zapamiętaliście z tego, co było dalej. A pan, jak rozumiem, przekaze wszystko, co wie — dodał, patrząc na Samuela.

— Chętnie pomogę — rzekł Samuel, tłumiąc gniew. — Butler złożył zeznanie pod przysięgą przed śledczymi z miejskiego wydziału komunikacji.

Zastępca komendanta poprosił Sandovicha o pozostanie. Kiedy wszyscy już wyszli, Samuel zatrzymał się jeszcze pod drzwiami, zapalając papierosa, i usłyszał fragment rozmowy.

— Nie podoba mi się to, Maurice. Wyciągnąłem cię z obyczajówki i rewiru chińskiej dzielnicy, bo robiłeś śliskie interesy. Darowano ci stare winy i wróciłeś do tej samej roboty, ale z tego, co widzę, nurzasz się znowu w gównie. Wyleż z niego. Ostrzegam, nie będę tolerował twoich

— Nie ma się czym przejmować, szefie, jestem czysty — odpowiedział Sandovich, patrząc prosto w oczy zastępcy komendanta.

Potem wstał i pośpiesznie wyszedł z pokoju.

* * *

Samuel pojechał z Charlesem taksówką na Stockton Street w Chinatown. Na ulicy tłoczyli się robiący zakupy Chińczycy, a wśród nich przeciskał się czasem polujący na okazję biały bądź cała grupa turystów z aparatami na szyi. Na straganach

piętrzyły się góry owoców i warzyw, wszystko świeże i kolorowe, pory obok botwinki, najrozmaitsze grzyby i wiele innych produktów. Handlujący rybami wystawiali na ulicę zbiorniki z wodą, w której ryby i owoce morza czekały na swoją kolej. Gdy tylko kupujący dokonał wyboru, sprzedawca ryb zanurzał w wodzie siatkę i wyciągał towar. Olbrzymie homary ze związanymi szczypcami wierciły się, jakby czuły, co je czeka. W witrynach sklepów rzeźniczych i restauracji wisiały kaczkę po pekińsku i inne smakowitości, które można było kupić na wieczorny posiłek albo spałaszować w porze lunchu. W powietrzu unosiły się aromaty imbiru, liści kolendry i pieczonego drobiu.

Samuel namówił Charlesa na skosztowanie dzieł sztuki kulinarnej w Chop Suey Louie's. Uważał ten bar za najlepszy, głównie dlatego, że nie miał go z czym porównać. Przecisnęli się przez tłum i weszli do środka, gdzie o tej porze było pełno ludzi i głośniejsze niż zwykle, gdyż liczni amatorzy wyścigów konnych, słuchając sprawozdania przez radio, krzyczeli z emocji. Obstawianie wyników gonitw u właściciela baru było jedną z przyciągających klientów atrakcji.

Louie powitał ciepło nowych gości i jakoś ich wcisnął pomiędzy innych klientów przy kontuarze. Samuel złożył zamówienie i bardzo szybko postawiono przed nimi talerze z daniami, których Charles nie potrafił rozpoznać.

— Wiem, co masz na myśli. Sandovich to kłamliwy skurwysyn. Co z tym zrobimy? — spytał Samuel z pełnymi ustami.

— Teraz to już nie jest takie ważne, skoro prawda wyszła na jaw i sprawa trafiła do wydziału zabójstw. Poszedłem tam dzisiaj, żeby nastraszyć Maurice'a, bo wtedy na pewno popełni

jakiś błąd. Drań jest mi sporo winien. Przy odrobinie szczęścia uda mi się go przyskrzynić — powiedział Charles.

— Odniosłem wrażenie, że jest bardzo pewny siebie. Gdybyśmy wiedzieli, kogo osłania, moglibyśmy rozwiązać tę sprawę — rzekł Samuel.

— Mnie interesuje, czy popełniono przestępstwo federalne. W przeciwnym razie nie mogę się zaangażować w sprawę.

— Jeżeli dwóch gości wepchnęło człowieka pod trolejbus, to nie jest przestępstwo federalne. To chcesz powiedzieć?

Charles roześmiał się.

— Miałem ciężki dzień, stary. Teraz trzeba poczekać, aż Sandovichowi powinie się noga.

— Skoro jest taki cwany, to skąd ta pewność, że popełni błąd?

— Znam drania. Ręce same mu się wyciągają po pieniądze. Dam głowę, że nieźle mu zapłacono za schowanie tego raportu — oznajmił Charles. — Teraz ten, kto mu zapłacił, albo zażąda zwrotu pieniędzy, albo większej skuteczności.

Król buław

Kilka tygodni później, w kolejne niedzielne popołudnie Samuel wszedł do Camelotu i zobaczył, że przy okrągłym stole siedzi razem z Melbą Roberto, hrabia Maestro de Guinesso Bacigalupi Slotnik de Transylwania.

— Co za niespodzianka, Maestro Bob. Gdzie cię lichy nosiło? — spytał Samuel.

— Dobre pytanie, młody człowieku. Mógłbym owijać w bawełnę, ale będę z tobą szczerzy. Byłem na odwyku — wyznał Maestro ze słowiańskim akcentem.

— Na odwyku? Nie wiedziałem, że masz z tym problem.

Samuel usiadł obok. Maestro miał na sobie stary czarny garnitur w prążki i wykrochmaloną na sztywno koszulę, która dawno straciła śnieżną biel i miała lekko postrzępione mankiety. Wąsy wyrosły mu na tyle długie, że mógł je podkrecać, ale prawie całkiem osiwiiał. Samuel pomyślał, że jest śmiertelnie chory albo przeżył jakąś straszliwą traumę, po której

człowiek siwieje w ciągu jednej nocy. Zauważywszy tę różnicę, Samuel wskazał jego głowę i rzekł:

— Wyglądasz inaczej.

— Odrosły mi. Mam dość farbowania. — Maestro westchnął. — Dużo się o sobie nauczyłem u Duffy'ego, w tej klinice odwykowej.

Leżący pod stołem Excalibur wstał i wsunął łeb między nogi Samuela. Samuel próbował go odepchnąć, ale pies zaczął z wielkim oddaniem lizać mu rękę.

— Odejdź ode mnie, przeklęty kundlu— skarcił go Samuel. Ale ponieważ pies był tak blisko, zaczął go drapać w kikut ucha.

— Jak długo tam byłeś? — spytała Melba.

— Osiem tygodni.

— To dość długo — zdziwił się Samuel.

— Wcale nie, jeśli alkohol zapanował nad twoim życiem — rzekł Maestro. — Musiałem oczyścić organizm z trucizny i przestawić swoje życie na nowe tory.

— To musiało kosztować majątek — zauważył Samuel.

— Na szczęście pewien miły klient dołożył się do rachunku. Sam nie dałbym rady go zapłacić — powiedział Maestro ze łzami w oczach.

— Kim był ten dobry samarytanin? — dopytywał się Samuel.

— Nie znasz go — wtrąciła pospiesznie Melba, a Samuel dostrzegł, jak wymienia spojrzenia z Maestrem.

— Bardzo mnie zaskoczyłeś. Nigdy nie myślałem o tobie jako o pijaku.

— Każdy przeżywa chwile ciemności, przyjacielu. Nie mogłem związać końca z końcem. Moje magiczne sztuczki

nie wystarczyły na opłacenie rachunków i nikt nie przychodził do mnie jako do notariusza, więc zacząłem kupować tani tokaj gallo i w krótkim czasie nałóg wypełnił mi życie.

— Poza tymi siwymi włosami świetnie wyglądasz — oceniła Melba. — Jesteś już całkiem wyleczony?

— Niestety, całkiem wyleczyć się z tego nie da, trzeba walczyć przez całe życie. Muszę się pilnować i trzymać z daleka od alkoholu dziś, jutro, pojutrze — westchnął Maestro.

— Jesteś pewien, że przebywasz we właściwym miejscu? Tu trudno uciec od pokusy — zauważył Samuel, wskazując butelki za barem.

— To otoczenie to jakby mój dom. Nie mam dokąd pójść. Tu mam przyjaciół — rzekł Maestro. — Jak dotąd radzę sobie.

— Pilnujemy, żeby pił tylko wodę sodową. Nikt nie poda Bobowi alkoholu — zapewniła Melba.

— A co jest w tym małym czarnym zawiniątku? — spytał Samuel.

— Karty do tarota — odparł Maestro. — Nauczyłem się je wykładać w klinice. To bardzo stary sposób przepowiadania przyszłości — dodał, rozwijając czarną chustkę.

— Co to znaczy bardzo stary? Sprzed stu lat? — dopytywał się Samuel, patrząc na piękne wzory na kartach. Wyobraził sobie Cyganki na Dzikim Zachodzie, siedzące pod szyldem przed nędzną szopą i zgadzające się powróżyć za pięć centów albo dolara, zależnie od uległości klienta.

— Ta sztuka liczy sobie setki, a może nawet tysiące lat — wyjaśnił Maestro. — Wymyśliłem sobie, że skoro moje dwa interesy nie idą dobrze, to w wolnych chwilach pouczę się

czegoś nowego, żeby stworzyć sobie jeszcze jedno źródło dochodów.

— Jak długo się uczyłeś? — spytał Samuel, z ciekawości dotykając kart.

— Prawie cały czas, kiedy tam przebywałem. Była tam wróżka, też na odwyku. Miała zapasową talię kart, a ja znalazłem w bibliotece Duffy'ego trzy książki o pochodzeniu i znaczeniu tarota. Wróżka bierze pieniądze za odczytywanie kart. Tamta powiedziała, że będąc magikiem, mam wrodzone predyspozycje. Umie kombinować. Potrafię odczytać karty w ciągu pół godziny. Mogę to robić szesnaście razy dziennie, bez problemu, i brać po dwa dolary za sesję. Dam sobie radę.

— Pod warunkiem, że będziesz miał szesnastu chętnych. — Melba zaśmiała się.

— Dwa dolary, hę? — zainteresował się Samuel. — Mnie też postawisz za taką cenę?

— Naturalnie, młody człowieku. Przejdźmy tam, dalej od tłumy.

— Zanim wyjdiesz, Samuelu, chcę z tobą porozmawiać. Mam dla ciebie wieści — zapowiedziała Melba, po czym wstała i ruszyła do baru.

Obaj mężczyźni usiedli na tyłach sali, przy stoliku wciśniętym w kąt. Maestro przetasował karty do tarota. Były większe od normalnych kart do gry i na każdej widniała ludzka postać bądź połączenie postaci ludzkiej i zwierzęcej.

— Zrozumiesz więcej, kiedy pomogę ci rozwikłać tajemnice twojego życia — powiedział Maestro z taką powagą, że Samuel nabrał przekonania, iż zostanie wystrychnięty na dudka.

— Rozdziel karty na trzy części i potasuj, ale nie w taki sposób jak tasujesz karty do gry, tylko delikatnie, żeby pozostała na nich twoja energia — polecił magik, zdejmując marynarkę.

— A teraz wybierz z tego półkola, które tu ułożyłem, dziesięć kart — dodał, rozpościerając karty na kształt wachlarza. — Tylko uważaj, żebyś podawał mi je w takiej kolejności, w jakiej je wybrałeś.

Samuel wybrał karty i podał je Maestro Bobowi, który zaczął je rozkładać na jedwabnym obrusie.

— Jak widzisz, kartę numer dwa kładzie się w poprzek karty numer jeden. Interpretowanie kart tarota to pewien proces, Samuelu. Każde odczytanie jest podróżą przynoszącą odkrycia. Tylko ty możesz poznać prawdziwe znaczenie tego, co obaj widzimy przed sobą. Ja jestem tylko po to, by ci w tym pomóc.

— Niech ci będzie — rzekł sceptycznie Samuel. — Słucham.

— Pierwsza karta to król buław.

Samuel zobaczył imponującą postać w czerwonej szacie i z koroną na głowie. Król siedział na złotym tronie pośród zielonej łąki, trzymając w lewej ręce zapaloną pochodnię.

— Ta karta zwykle oznacza olbrzymi przyływ twórczej energii. Ona drzemie pod powierzchnią twojej świadomości, ale jeszcze się nie wyklarowała. Czy coś ci zaczyna świtać?

— Jeszcze nie wiem, mów dalej — zachęcił go zaciekawiony Samuel.

— Karta numer dwa jest kartą poprzeczną.

Maestro wskazał kartę z wieżą. Widać na niej było potęż-

nego mężczyznę w koronie, wyłaniającego się z morza z trójzębem w dłoni. Przed nim, na niewielkiej wyspie, zaczynała walić się w gruzy wieża.

— To jedyna karta z widoczną budowlą. Reprezentuje to, co nie pozwala ci czerpać z twoich prawdziwych sił twórczych. Może to być twoja obecna praca. Chodzi o to, że to co robisz, twoja obecna praca, jest czymś stałym, daje ci poczucie stabilności, którego nie chcesz utracić — rzekł Maestro Bob.

Samuel gwizdnął. Magik trafił w jego czuły punkt. Nigdy nie zdradził się przed nim, że marzy o pracy reportera, a na to zdawała się wskazywać wyłożona karta. Sprzedawanie ogłoszeń w gazecie nie przynosiło dużego dochodu, lecz trzymał się tej pracy, bo zapewniała mu regularny zarobek.

— Obudziłeś moje zainteresowanie, Maestro — przyznał z westchnieniem.

— Karta numer trzy to rycerz pentakli. Oznacza, że jesteś pracowity i sumienny w swoich przedsięwzięciach. Nie znam cię dobrze, ale wyobrażam sobie, że jesteś podobny do psa, który jak złapie kość, to jej nie puści. Najważniejsze, co przekazuje ta karta, to zapewnienie, że ktoś nad tobą czuwa i pomoże ci osiągnąć cel, do którego dążysz.

— Co dalej?

— Karta numer cztery przedstawia istotę sprawy. Tą kartą jest król pentakli. Wskazuje ona, że wykonujesz jakąś misję lub też, że ktoś zjawi się w twoim życiu, by pomóc ci rozwinąć ten szczególny talent, który w tobie drzemie, i podążyć ku wyższym ideałom. Zresztą wcale bym się nie dziwił, gdyby się okazało, że osoba, która nad tobą czuwa, jest jednocześnie tą osobą, która popycha cię ku środkowi sceny.

To może być tylko Melba, stwierdził z entuzjazmem Samuel. Gdyby nie pchnęła go na właściwą ścieżkę, błędziłby w kółko, nie widząc nikąd zbawczego światła.

— Karta numer pięć to trójka pucharów. Wskazuje wpływy przeszłości. To karta zerwania z przeszłością. Oznacza, że musisz zmienić kierunek swojego życia, czy to w sprawach zawodowych, czy sercowych, musisz zerwać z przeszłością i ruszyć nową drogą. A teraz zrobimy małą przerwę. Zamów mi, proszę, wodę sodową.

Samuel zapalił papierosa i podszedł do baru.

— Szkocką z lodem i wodę sodową — poprosił Melbę, patrząc na swoje odbicie w lustrze za jej plecami.

Kiedy postawiła przed nim szklanki, pod wpływem impulsu ujął jej dłoń i pocałował.

— Do diabła, co z tobą? Upiłeś się?

— Nie masz pojęcia, co mi wyszło w kartach!

Wrócił szybko do stolika. Maestro Bob czyścił sobie paznokcie małym scyzorykiem. Samuel zwrócił uwagę, że magik nie ma już takich zadbanych, wypolerowanych paznokci jak dawniej. Naprawdę się zmienił.

— Gotów ruszyć dalej? — spytał Maestro, wypiwszy jednym haustem pół szklanki wody. — Numer sześć to diabeł. Nazywamy tę kartę kartą nadchodzących wpływów.

Karta wyglądała groźnie. Przedstawiony na niej stwór był na poły człowiekiem, na poły zwierzęciem z rogami i kopytami, przebywającym w mrocznych podziemiach. Groteskowa postać trzymała małe figurki ludzkie na smyczach i jednocześnie dęła w muszlę.

— Nie podoba mi się to, co widzę — rzekł Samuel.

— Ta karta ma kilka znaczeń. Może oznaczać zetknięcie się z podejrzanymi, zepsutymi ludźmi, dosłownie pochodzącymi z podziemnego świata.

— Czy grozi mi niebezpieczeństwo? — zaniepokoił się Samuel.

— To możliwe, więc lepiej uważaj. Możliwe też, że budzą się w tobie skonfliktowane siły, na przykład miłość i pożądanie.

Co ten magik mógł wiedzieć o jego znajomości z Blanche? Konflikt miłości i pożądania — tak wynikało z głupiej karty. Zawsze mu się wydawało, że Blanche budzi w nim raczej uczucie miłości niż przyziemne pożądanie, musiał jednak przyznać, że element seksu też dawał o sobie znać, zwłaszcza nocą, kiedy puszczał wodze fantazji, marząc o Blanche.

— Co jeszcze mówią o tej kobiecie karty tarota? — dopytywał się.

— Nie można przejść przez rzekę, nie zamoczywszy nóg. To słowiańskie przysłowie. Innymi słowy, musisz być bardziej aktywny, jeżeli chcesz ją mieć. Kim jest ta kobieta?

— Na razie jeszcze nikim. Rozmawiamy o przyszłości, prawda?

— Karta siódma, giermek pucharów, to twoje obecne położenie. W twoim życiu dzieje się coś nowego. Ale to dopiero początek.

Samuel zgodził się z kartami. Z pewnością nadeszła pora na zmiany. Musiał wyrwać się z sutereny w siedzibie gazety, Musiał umówić się znowu z Blanche, musiał też zadbać o swoje zdrowie, zmieniając tryb życia. Za dużo pił i palił, Powinien też przestać jeść w kółko rogaliki i chińskie zupki. Słowem, powinien przestać żyć jak bezrozumne zwierzę.

— Powiedz, Maestro, czy każdemu mówisz to samo?

— Ja nic nie mówię. Ty wybrałeś karty i to karty mówią. Każda ma przypisane sobie znaczenie. To znaczenie jest ich mową — rzekł Maestro. — A to czwórka mieczy. Wyraża nadzieje i lęki. Ukazuje ciebie w czasie cichej zadumy i refleksji, w miejscu, gdzie się zastanawiasz, niespiesznie rozważasz decyzję, w którą stronę masz się udać. Wygląda to tak, jakbyś zbierał siły.

— Masz rację. Ostatnia karta przedstawia sąd. Co oznacza sąd? — spytał Samuel, patrząc na złotowłosą kobietę zasiadającą na tronie z koroną na głowie, mieczem w jednej ręce i wagą sprawiedliwego osądu w drugiej. — Czy czeka mnie rozprawa w sądzie?

— Nie, nie, numer dziesięć dotyczy ostatecznego rezultatu. To dla ciebie dobra karta. Nie znaczy, że zawsze jest dobra, to zależy. Ale uporasz się z tym, co w przeszłości cię powstrzymywało. Jakbyś dotarł do końca jakiegoś rozdziału w swoim życiu i był gotów rozpocząć następny.

— Co jeszcze?

— Na razie to wszystko — zakończył Maestro Bob.

— Zapracowałeś na swoje dwa dolary i jeszcze jeden dolar napiwku, nie mówiąc o wodzie sodowej — powiedział Samuel, kładąc pieniądze na stół.

Zaraz też zamówił dla wróżbity wodę.

* * *

Samuel podszedł z powrotem do okrągłego stołu, przy którym siedziała Melba, wyglądając przez duże okno na park i widoczną w tle zatokę. Jak zwykle sączyła piwo.

— Chciałaś ze mną porozmawiać, Melbo? — zagadnął, siadając przy niej.

Excalibur chciał wstać, ale Melba przytrzymała go za obrożę.

— Mam dla ciebie wiadomość — powiedziała.

— Naprawdę?

— Chodzą słuchy, że wprawieś w zakłopotanie Maurice'a Sandovicha.

— Za tą sprawą kryje się coś większego, Melbo. Sandovich pozbył się paru kartek policyjnego raportu. A z tych kartek wynikało, że Rockwood mógł paść ofiarą morderstwa.

— Spokojnie, Samuelu — rzekła Melba. — Nie przejmuj się zanadto Maurice'em Sandovichem. To płotka. Od dawna bierze łapówki w Chinatown. Jeżeli coś zrobił, to na polecenie kogoś, kto złapał go za jaja albo ma udział w jednym z przekrętów, w których Sandovich macza palce.

— Jak to w jednym z przekrętów?

— Maurice ochrania wiele ciemnych interesów w Chinatown. Pracuje w obyczajówce. To może być prostytutka, handel narkotykami, ale najprawdopodobniej chodzi o hazard. Nie masz pojęcia, ile na tym małym kawałku miasta uprawia się hazardu. Maurice dobrze z tego żyje. Ale musi się odwdzięczać. To nie Maurice jest tym człowiekiem, którego szukasz. Być może zresztą stoi za tym więcej niż jeden człowiek — wyjaśniła Melba. — Radziłabym poszukać w Chinatown.

Pili chwilę w milczeniu, Melba piwo, a Samuel resztkę szkockiej. Obiecał sobie, że nie będzie pił więcej niż dwa drinki dziennie, a dopijał już drugą whisky.

— Miałaś jakąś wiadomość od Blanche? — spytał Samuel, siląc się na niedbały ton.

— Od jutra będzie tu codziennie. Powiedziała, że do momentu, aż zostanie załatwiona sprawa Rafaela, chętnie mi pomoże.

— Sprzątać bar?

— Nie. Rafael jest tu z nami, ale przecież nie wiemy na jak długo. Robi wiele innych rzeczy, a ja pewnie nie dam rady przejąć po nim wszystkich obowiązków. Potrzebuję czyjś wsparcia. To nie jest praca dla samotnej kobiety.

— Możesz liczyć na mnie, jeżeli mógłbym ci w czymś pomóc — zaofiarował swoje usługi Samuel.

— Tak. Wiem, że mogę liczyć na ciebie, kiedy tylko pojawi się Blanche — odparła ze śmiechem Melba.

— Nie wyśmiewaj się ze mnie, Melbo. Twoja córka traktuje mnie z góry.

— Musisz zmienić podejście, kolego. Słyszałam, że nie poszło ci najlepiej, kiedy wybrałeś się z nią na bieganie do parku.

— Opowiedziała ci o tym?

— Musisz znaleźć coś, co by was łączyło, a nie byłoby związane z uprawianiem sportu. Coś, co wam obojgu sprawiałoby przyjemność, a ciebie nie wystawiało na pośmiewisko.

— Lubi muzykę?

— Zależy jaką — odrzekła Melba.

— Może symfoniczną, ale jest trochę trudna w odbiorze — zastanowił się Samuel.

— Dla was obojga trudna w odbiorze. A może wybralibyś-

cie się do Blackhawk? Często gra tam Dave Brubeck, świetny jazzman, a Blanche go lubi — podsunęła Melba.

— Ja też go lubię.

— Od czegoś trzeba zacząć, a słuchając takiej muzyki, nie wyjdiesz na głupca. Niedaleko, na Larkin, jest kino, w którym pokazują zagraniczne filmy. Tego też możesz spróbować. Nie chowałam mojej córki na kulturalnej pustyni — powiedziała Melba.

Samuel poszedł do swojej kawalerki, rozmyślając o kartach tarota.

Szczęście opuszcza Rafaela

W ostatecznym starciu na rozprawie w sądzie, gdzie rozstrzygał się los Rafaela, Hiram wykorzystał wszystkie sztuczki, jakie miał w zanadrzu. Włożył ciemny garnitur, skropił się lawendową wodą kolońską i zdjął złote łańcuszki i spinki od mankietów, aby obudzić w ławie przysięgłych współczucie dla wywodzącego się z nizin społecznych klienta. Przepelniony entuzjazmem niemal lewitował nad podłogą, a w którymś momencie zbliżył się do przysięgłych tak, że sędzia ostrzegł go, by nie siadał im na kolanach. Lamentował, wznosił prośby i przypochlebiał się, usiłując przedstawić dowody na korzyść klienta, niczym wykretny jezuita, z melodramatycznym zacięciem przedstawił ciężki los chorej matki, rodzeństwa chowającego się bez ojca i ciężarnej żony. Uronił nawet kilka łez, koniec końców jednak, gdy przyszło do osądzenia czynu, Rafaela uznano winnym paserstwa.

Rafael nie miał złudzeń. Znał swoje pochodzenie i wiedział,

jakie miejsce ludzie tacy jak on zajmują w społeczeństwie. Zresztą nie był mazgajem. Złapano go z kradzionym towarem, tego nie można było zmienić. Kurator sądowy na próżno namawiał go do mówienia. Rafael nie miał zamiaru nikogo wsypać, choć gdyby dzięki niemu złowiono grubszą rybę, mógłby dostać lżejszy wyrok lub nawet zyskać oddalenie zarzutów. Cała społeczność, której był częścią, wiedziała, że gdyby posunął się do tego, poniósłby poważne konsekwencje.

Stał przy ławie oskarżonych razem ze swoim adwokatem, czekając, aż sędzia ogłosi wyrok. Salę sądową wypełniała rodzina i przyjaciele. Zauważył, że brat Juan przyszedł bez wypomadowanych włosów i bez łańcucha u pasa, za to w garniturze i pod krawatem. Z pewnością tak mu poradził adwokat. Obok matki i sióstr siedziała jego żona Sofia w widocznej ciąży. Melba przyszła razem z córką Blanche, której na krok nie odstępował Samuel. Zjawili się także, aby udzielić mu wsparcia, koledzy z sąsiedztwa. Wymagało to od nich odwagi. Byli podenerwowani koniecznością pokazania swoich twarzy, ponieważ nieustannie kryli się przed policją. Dla nich, tak jak dla niego, honor był ważniejszy niż konsekwencje publicznego pokazania się przed obliczem nieprzyjaźnie do nich nastawionych przedstawicieli prawa.

— Ogłaszam rozpoczęcie posiedzenia sądu najwyższego stanu Kalifornia, w mieście i okręgu San Francisco, pod przewodnictwem Guida Carduloniego — obwieściła woźna.

Przez jedne z dwojga drzwi w głębi sali wszedł młody człowiek w czarnej todze i zajął miejsce na podium. Był średniego wzrostu, miał krótkie ciemne włosy i był starannie ogolony. Silnym zarysem szczęki przypominał trochę boksera.

ale z jego brązowych oczu wyzierała życzliwość. Sędzia Carduloni przewodniczył rozprawie, na której sądzono Rafaela. Znał wszystkie szczegóły sprawy i wczytał się w raport kuratora sądowego. Trzymał teraz ten raport w jednej ręce, a w drugiej akta sądowe opatrzone własnymi uwagami.

Hiram i Rafael stali przy stole obrony, a zastępca prokuratora okręgowego siedział przy stole obok ławy przysięgłych.

— Jak panu wiadomo, panie Garcia — zaczął sędzia — w dniu dzisiejszym przewidziano ogłoszenie wyroku. Zakładam, że pański adwokat objaśnił panu całą procedurę i udostępnił raport kuratora sądowego, aby mógł go pan przeczytać.

— Tak, wysoki sędzie — odparł Rafael, stojąc z wysoko uniesioną głową.

— Czy chciałby pan coś powiedzieć przed ogłoszeniem wyroku?

— Nie, wysoki sędzie.

— Czy obrona widzi jakiś powód, dla którego nie można w tym momencie ogłosić wyroku?

— Nie, wysoki sędzie, nie ma takiego powodu — odparł Hiram.

— Bardzo dobrze — rzekł sędzia. — Panie Garcia, nie powinien pan znajdować się na tej sali, lecz ława przysięgłych zadecydowała, że pogwałcił pan prawo obowiązujące w tym stanie. Prokurator okręgowy zgodził się na zmniejszenie wyroku, a ja byłem skłonny przychylić się do jego opinii, pod warunkiem jednak, że dostarczyłby pan informacji o osobie lub osobach, które ukradły aparat rentgenowski, za co mogłyby być pociągnięte do odpowiedzialności. Odmówił pan nawet

rozmowy na ten temat. W związku z tym zarówno kurator, jak prokurator okręgowy stoją na stanowisku, że powinien pan otrzymać najwyższy wyrok przewidziany dla tego typu przestępstw. Czy rozumie pan, jakie zalecenia otrzymałem?

— Tak, wysoki sędzie — odpowiedział Rafael.

— Czy chciałby pan teraz złożyć jakieś oświadczenie dotyczące udziału innych osób lub dostarczyć prokuratorowi okręgowemu żądanych przez niego informacji? Jeżeli tak, będę kontynuował przesłuchania.

— Wysoki sędzie, czy mógłbym zamienić kilka słów z moim klientem? — spytał Hiram Goldberg.

— Oczywiście — odparł sędzia. — Zarządzam pięć minut przerwy. — Sędzia włożył okulary, wstał z miękkiego siedziska, złapał dwie teczki akt i wyszedł z sali.

Hiram nachylił się i szepnął Rafaelowi do ucha.

— Jeszcze klamka nie zapadła, Rafaelu. To twoja ostatnia szansa, żeby wydać tych, którzy cię w to wrobili. Sędzia chce ci pomóc, ale prokurator żąda informacji. To głupota osłaniać jakichś gangsterów. Oni by tego dla ciebie nie zrobili.

— Nie ma mowy. Moje życie byłoby głównie warte, gdybym pisnął choć słówko — rzekł Rafael. — Takie rzeczy się zdarzają. Jedziemy dalej z tym przedstawieniem.

Hiram wzruszył ramionami i dał znak zastępcy szeryfa. Po chwili sędzia wrócił na swoje miejsce.

— Mój klient nie ma nic do dodania.

Sędzia odłożył okulary.

— Kurator sądowy oraz prokurator okręgowy poprosili o wydanie wyroku skazującego na cztery lata więzienia. Uważam, że to surowy wyrok, zważywszy na to, że nie był

pan do tej pory karany i pod każdym innym względem jest pan dobrym obywatelem. Dlatego skazuję pana na trzy lata pobytu w więzieniu stanowym. Ponieważ nie złożył pan apelacji, wykonanie kary zacznie się bezzwłocznie. Proszę zastępcę szeryfa o odprowadzenie więźnia do aresztu.

Niektórzy ze zgromadzonych wzdychali zawiedzeni, ponieważ spodziewali się surowszej kary, a rozpaczliwe jęki wyrwały się przyjaciółom i rodzinie liczącej na znacznie łagodniejszy wyrok.

— Wysoki sędzie — rzekł śpiewnie zastępca prokuratora okręgowego. — Naszym zdaniem wyrok jest zbyt łagodny. Ten człowiek został skazany i nie okazał skruchy.

— Znam pańskie zdanie, panie prokuratorze. Wyrok pozostaje w mocy. Szeryfie, proszę wyprowadzić więźnia.

— Następna sprawa!

Rafaela zabrano do więzienia. Hiram wyszedł powoli z sali, otoczony jego przyjaciółmi i krewnymi.

— To był dość surowy wyrok — powiedziała Melba, starając się jednocześnie pocieszyć Sofię, która szlochała ze spuszczoną głową.

— Mógł być surowszy — odparł Hiram. — Przyłapano go z towarem i nie chciał nikogo wydać.

— Czy nic nie możemy zrobić? — spytał Samuel.

Stał razem z Blanche w korytarzu, tak samo jak ona przygnębiony.

— Odwiedźcie go w San Quentin, kiedy go tam odwiozą, i powiedzcie, żeby udzielił informacji. Wtedy prokurator zgodzi się na zmniejszenie wyroku — odpowiedział Hiram.

Samuel pomyślał, że przynajmniej będzie miał blisko do

Rafaela, co ułatwiało odwiedziny. Nie spodziewał się jednak, żeby przyjaciel kiedykolwiek zechciał wyjawic to, co chciał z niego wyciągnąć prokurator i sąd. Próbował pocieszyć matkę Rafaela, ale cóż mógł jej powiedzieć. Syn, który zarabiał na utrzymanie rodziny, nie dopuszczając, by dokuczył jej niedostatek, miał zniknąć za kratkami na całe trzy lata. Jakże mieli dać sobie radę bez niego?

— Czemu Rafael był taki honorowy, skoro wie, co oznacza jego nieobecność dla najbliższych? — spytał Samuel.

— Dla tych *cholos* honor jest najważniejszy — odparł z westchnieniem Hiram i odszedł.

* * *

Już w roku 1961 San Quentin sypało się. Widać było, że więzienie ma przeszło sto lat. Budynki stały poniżej nowego mostu Richmond San Rafael, z oknami wychodzącymi na zatokę San Francisco, głównie na południe, gdzie widać było wschodnią część półwyspu Tiburon i przylądka Richmond. W bezchmurny dzień z dobrą widocznością można było dojrzeć Berkeley i Oakland. Co za widok! Problem jedynie w tym, że z za krat i drutów kolczastych.

Rafael siedział ze skutymi rękoma i nogami w autobusie szeryfa San Francisco. Autobus dojechał autostradą 101 do powiatu Marin, a potem skręcił na wschód w bulwar Sir Francis Drake'a. Po opuszczeniu autostrady, na krętej wąskiej drodze silnik grał głośniejsze i zgrzytała skrzynia biegów. Rafael zobaczył w oddali otynkowane na żółto, poszarzałe zabudowania więzienne i uderzył go kontrast ponurej budowli z soczystymi zielonymi wzgórzami, na których kwitły wielobarwne

dzikie kwiaty i pomarańczowe kalifornijskie maki. Gdy autobus zbliżył się do głównej bramy, zwolnił i stanął. Na skałach siedziało dwóch chłopców z bambusowymi wędkami. Spokojne wody zatoki toczyły łagodne fale rozpryskujące się o skały, a chłopcy zarzucali wędki i co chwila wyławiali duże przegowane strzępiele. Rafael pomyślał, że któregoś dnia przyjdzie tu z synem, żeby łowić ryby tak jak ci chłopcy.

— To jak strzelać do kaczek pływających po stawie — zauważył kierowca, masywny, przysadzisty zastępca szeryfa, widząc pagórek z ryb obok młodych wędkarzy.

Rafael odwrócił się i popatrzył na niego przez oddzielającą ich gęstą drucianą siatkę. Nagle poczuł wrywający mu się z piersi szloch. Zacisnął zęby.

Brama powoli się otworzyła. Rafael widział strażnika na wieży, który celował karabinem w dół i patrzył na nich przez lornetkę. Autobus zatrzymał się przed izbą przyjęć. Przyjechało nim dziesięciu skutych więźniów, trzech strażników i kierowca. Na zewnątrz czekało dalszych siedmiu uzbrojonych po zęby strażników.

Drzwi autobusu otworzyły się. Więźniowie wysiadali niezdarnie, bo ze skutymi nogami wcale nie było to łatwe. Kiedy już wszyscy stanęli na ziemi, zostali ustawieni w szeregu, przeszukani, a potem jeden za drugim, pojedynczo, zaczęli wchodzić przez drzwi izby przyjęć.

Rafael, szurając nogami, też tam wszedł. Znalazł się w pokoju z trzema wyrośniętymi białymi strażnikami. Wszystkie okna były okratowane, zabezpieczono też kratą drzwi, przez które wszedł. Rozkuto go i poddano dokładnej rewizji osobistej. Zajęło się tym dwóch strażników, podczas gdy trzeci

przyglądał się czujnie, cały czas trzymając palec na spuście. Wydano Rafaelowi niebieski płócienny strój więźnia San Quentin z namalowanym na plecach koszuli przydzielonym mu numerem. Potem go sfotografowano i zdjęto odciski palców.

— W porządku — rzekł wielki sierżant ze stalowej klatki, z której przyniesiono uniform. — Nie muszę ci mówić, gdzie jesteś, bo wiesz. Mamy tu swoje zasady, do których musisz się dostosować, żeby jakoś żyć. Rozumiesz?

— Tak jest.

— Tutaj masz słuchawki, prześcieradło, ręcznik i koc. O dziesiątej gasimy światła w bloku, ale nie w samej celi. Dzięki temu mamy cię na oku — ostrzegł, wskazując Rafaela palcem. Gest ten, powtarzany setki, jeśli nie tysiące razy, zrobił zupełnie odruchowo, bezmyślnie. — Możesz przez całą noc słuchać radia, jeżeli jesteś jednym z tych, co mają nieczyste sumienie i nie mogą spać. Ale jutro idziesz na rozmowę i dostaniesz jakiś przydział pracy. A kiedy dostaniesz pracę, masz się codziennie stawiać w wyznaczonym miejscu i robić, co do ciebie należy. Więc lepiej nie słuchaj całą noc byle czego. Co dwa tygodnie zabieramy prześcieradło i ręcznik do prania. Jeżeli ich nie oddasz, będziesz miał przesrane. Rozumiesz wszystko, co do ciebie mówię?

— Tak jest.

— Oczekujemy po tobie dobrego sprawowania. Za dobre sprawowanie dostaniesz przywileje, na przykład trochę ruchu na dziedzińcu. Jeżeli nawalisz, nie tylko stracisz pracę, ale trafisz do takiego specjalnego miejsca, które mamy przygotowane, a tam nie jest przyjemnie. Zrozumiałeś?

— Tak jest.

— Damy ci do celi takiego jednego Meksykanina z Kalifornii Południowej. Żeby nie było powodu do narzekania na dyskryminację rasową. Żadnych problemów z tobą mieć nie chcemy. Zrozumiałeś, brudasio? — powiedział sierżant, patrząc twardo na więźnia spod ściągniętych brwi.

— Tak jest.

— Idź za nim!

Pierwszy strażnik otworzył zaryglowane drzwi i ruszył korytarzem. Rafael poszedł za nim. Nozdrza podrażnił mu zapach zionącego stęchlizną starego budynku i wielu mężczyzn żyjących razem na ograniczonej powierzchni. Za nim szedł drugi strażnik. Żaden nie był uzbrojony. Przeszli przez kilka budynków, aż znaleźli się pod wielką bramą, której strzegło z góry dwóch uzbrojonych strażników na pomoście niepołączonym schodami z niższym poziomem. Strażnicy przechadzali się po pomoście, niedostępni dla nikogo, jakby przebywali we własnym, wyodrębnionym środowisku. Zabrzęczał elektroniczny czujnik, otwierając wielką kratę. Rafael zobaczył blok z celami, gdzie miał zamieszkać.

Dwaj strażnicy, z Rafaelem wciśniętym w środek, mszyli przejściem, aż doszli do celi numer 677. Jeden z uzbrojonych mężczyzn na pomoście nacisnął guzik i znów odezwał się brzęczyk. Wówczas strażnik przed Rafaelem uniósł sztabę blokującą drzwi celi i otworzył kluczem zamek.

— To twój nowy dom, brudasio — oznajmił drugi strażnik. — Bierzesz górną pryczę. Twój amigo już sobie zajął dolną. Wróci o czwartej trzydziści. Pracuje w pralni. Po starajcie się dogadać. Jeżeli będziecie mieli jakieś pytania,

przygotujcie listę. Byle nie za długą. Naczelnik nie ma czasu na bzdury. Kapujesz?

— Tak jest — odparł Rafael.

Obrócił się, położył prześcieradło i koc na pryczy, powiesił ręcznik przy małej umywalce, nad którą za lustro służyła wypolerowana metalowa płytką, i podłączył słuchawki do gniazdka przy jednym z dwu małych stolików w celi.

— Chcesz się codziennie golić? — spytał pierwszy strażnik.

— Tak jest.

— Codziennie rano dostaniesz brzytwę. Ale nie spodziewaj się ciepłej wody. To nie hotel, będziesz się musiał golić w zimnej. Jak tylko skończysz, brzytwę ci zabierzemy, więc nic nie kombinuj, nie wolno używać ostrza do niczego oprócz golenia. Gdyby coś ci strzeliło do głowy, stracisz przywileje, rozumiesz? — powiedział większy ze strażników, żując tytoń.

W sprawnym poruszaniu się przeszkadzał mu brzuch zwieszający się nad pasem.

— Tak jest — odparł Rafael.

* * *

Trzasnęły drzwi celi. Rafael zobaczył opadającą sztabę i usłyszał głuchy brzęk. Strażnicy odeszli. Rafael chwycił za pręty krat i wyglądał przez nie, aż zbiełały mu kłykcie, ale niewiele zobaczył. Dochodziły go odgłosy otwieranych i zamykanych cel, lecz nie był pewien których, bo jeszcze nie miał wyćwiczonego ucha. Słyszać też było kroki na metalowym podeście powyżej — tam musieli chodzić strażnicy. Przymuszczał, że przyzwyczai się do nich, słysząc je we dnie

i w nocy. Dobiegały go także stłumione głosy rozmawiających ludzi, lecz nie mógł rozróżnić słów.

Podszedł do pryczy, pościelił sobie, położył się i długo wpatrywał się w sufit. Myślał o Sofii i dziecku. Łzy gniewu i rozpacz popłynęły mu z kącików oczu na baczki, skapując z płatków uszu na poduszkę. Kwadrans później wstał, wytarł twarz i wydmuchał nos w kawałek papieru toaletowego. W kącie stał biały sedes z chromowaną rączką, bez deski, widoczny od przodu celi. Spuścił wodę, spłukując papier i położył się z powrotem na pryczy, patrząc w sufit. Przyrzekł sobie, że nigdy więcej nie uroni łzy.

Za dwadzieścia pięć piąta do celi zbliżyły się kroki. Zadrżyczał brzęczyk, zagrzechotała sztaba, zazgrzytał klucz w zamku i do środka wszedł, wprowadzony przez strażnika, niski Meksykanin z krótko ostrzyżonymi ciemnymi włosami i uciekającymi w bok oczami królika. Miał ciemną cerę i nosił wąsy. Rękawy więziennej koszuli podwinął, odsłaniając pokryte bliznami i tatuażami przedramiona.

— *Orale pues, carnal, me llamo Pancho Alarcon. Soy de Canta Ranas. Mówili mi o tobie, vato z San Francisco, tak?*

— Tak. Mam na imię Rafael — powiedział, wyciągając rękę. — Gdzie jest Canta Ranas?

— Chyba żartujesz. Wy *vatos* z północy nic nie wiecie. Canta Ranas jest tuż przy Los Nietos, niedaleko granic Los Angeles. Podobno przyskrzynili cię z aparatem rentgenowskim. *Que cabron*. Po coś, kurwa, jeździł w biały dzień z *pinche maquina* wielką jak słoń?

— A ty skąd o tym wiesz? — spytał Rafael, spostrzegając niebieską kropkę wytatuowaną pod prawym okiem Pancha.

— *Oh, alaha, carnal*, tu nie ma żadnych tajemnic, a jak który molestował dzieci, to go załatwiamy. Wszyscy wiedzą, że jesteś dobrym *vato*. Wzięłeś cięgi za innych *cabrones*, nie pisałeś słówka. Masz za to punkty, *mano*.

— I żyję — odparł Rafael ze śmiechem.

Całe popołudnie i wieczór przegadał z Pancho, który udzielił mu cennych rad, jak przeżyć w nieprzyjaznym środowisku, w którym się znalazł. Spostrzegł ze zdziwieniem, że za kratkami zasady są podobne jak na wolności, główna różnica polegała na tym, że gdyby tutaj coś spieprzył, zawsze wiadomo było, gdzie go szukać. Pancho był starym wyjadaczem, wiedział co i jak. Warto było go posłuchać.

Na drugi dzień posłano Rafaela do komisji zatrudnienia więźniów. Usłyszał, że kwalifikuje się do trzech miejsc pracy. Mógł pracować w warsztacie, gdzie produkowano stanowe tablice rejestracyjne. Mógł pracować w więziennej bibliotece. Ale najbardziej zainteresowała go trzecia możliwość — praca w gabinecie lekarskim.

Przyjął zatem propozycję zostania pomocnikiem lekarza. Podobała mu się myśl, że będzie się zajmował ludźmi, którzy potrzebują pomocy z powodu fizycznych dolegliwości. Miał zostać Piętaszkiem doktora. Miał zapisywać pacjentów na wizyty i udzielać podstawowej pierwszej pomocy. Miał także dostęp do biblioteki. Wprawdzie podręczniki i opracowania były w większości przestarzałe, ale mógł je sobie czytać w wolnym czasie. Wyobraził sobie, że kiedy odsiedzi wyrok, będzie dostatecznie przygotowany, by złożyć podanie do szkoły pielęgniarek i zdobyć dyplom w tym zawodzie. Pomyślał jednak, że zbyt wybiega w przyszłość i powstrzymał się przed snuciem dalszych planów.

Lekarz polubił go od razu. Rafael świetnie się prezentował, a jego meksykańskie pochodzenie było dodatkowym atutem. Należało się spodziewać, że dogada się z rosnącą hiszpańskojęzyczną populacją w więzieniu, zwłaszcza że wielu jego pobratymców nie mówiło po angielsku. Miał pracować razem z pielęgniarzem Murzynem, który przychodził spoza więzienia, więc etnicznie we dwóch reprezentowali większość swoich pacjentów.

Rafael spotkał się także z księdzem, który wiedział już o dobrych stosunkach Rafaela z Kościołem, ponieważ otrzymał list pochwalny z jego parafii Mission Dolores. Rafael zaoferował księdzu swoją pomoc, zarówno podczas mszy, jak przy nauczaniu katechizmu, bądź w innym zakresie, gdyby zaszała taka potrzeba. Ponieważ ksiądz nie przychodził do San Quentin codziennie, a miał zaufanie do Rafaela, nauczył go, jak pod jego nieobecność pomagać więźniom przechodzącym duchowy kryzys.

* * *

Po kilku tygodniach Rafael miał już uregulowany tryb życia, pracował w gabinecie lekarskim i pomagał księdzu sprawować opiekę duszpasterską. Zaprzyjaźnił się z Pancho, ale innych znajomości nie szukał, ponieważ wolał studiować stare podręczniki medycyny i czytać pożyczone w bibliotece książki, czasem nawet romans, jeśli udało mu się go zdobyć.

Współmieszkaniec celi nie był szczególnie bystry, ale Rafael lubił go, ponieważ docenił jego lojalność i podzielił się bezcennymi informacjami o funkcjonowaniu więzienia. A zawsze znajdzie się coś nowego, czego można się nauczyć.

Pewnego wieczoru po kolacji, kiedy siedzieli we dwóch i rozmawiali, z sąsiedniej celi dobiegł łomot krat i okrzyk.

— Hej, Pancho, Cerdo cię woła.

— Dzięki, *carnal* — odpowiedział Pancho.

Wstał z pryczy, podszedł do drzwi celi i wyjął z kieszeni małe lusterko.

— Co robisz? — spytał Rafael.

— Porozumiewam się z braćmi, *carnal*.

— Lusterkiem?

— Tak. Patrz.

Pancho wystawił lusterko przez kratę poza celę, a potem na wprost lusterka wytknął dwa palce, ustawiając je pionowo. Następnie obrócił palce bokiem, równoległe do podłogi. Wpatrywał się uważnie w lusterko, aż otrzymał odpowiedź na swój sygnał z dalszej celi w tym samym rzędzie. Potem cofnął lusterko i schował je z powrotem do kieszeni.

— Myślałem, że posiadanie lusterek jest zabronione — rzekł Rafael.

— Kogo to obchodzi, *carnal*. To wolny kraj.

— Niby tak.

— Chcesz *yesca*?

— Nie. Dziękuję, nie używam — odmówił Rafael.

— Nie przeszkadza ci, że ten *vato* parę razy się sztachnie, *ese*?

— Rób, na co masz ochotę, *carnal*, ty też tu mieszkasz.

Pancho zdjął but i trzy razy uderzył nim w ścianę za toaletą. Potem uniósł materac, złapał metalowy wieszak, rozprostował go i na końcu zrobił haczyk.

Rafael chciał coś powiedzieć, ale Pancho powstrzymał go:

— Szsz, zaraz będzie akcja.

Podbiegł do toalety, wepchnął drut jak najgłębiej się dało, zagiętym końcem naprzód. Przyłożył palec do ust, prosząc o ciszę. Obaj usłyszeli, że nad nimi spuszczone wodę i po paru sekundach Pancho wyćwiczonym ruchem wyciągnął z toalety mały nieprzemakalny woreczek przyczepiony do długiego sznurka. Wycisnął wodę ze sznurka, a potem zawinął go w ręcznik i wyżył. Następnie powiesił sznurek za wezłowiec pryczy, żeby wysechł w niewidocznym zza drzwi celi miejscu.

Otworzył woreczek i pomacał marihuanę palcami. Uniósł ją do nosa i powąchał.

— Dobry towar, jak cholera, *carnal*. Na pewno nie chcesz zapalić ze swoim *compadre*?

— Nie, dziękuję, *mano*, to nie dla mnie — bronił się Rafael.

Pancho wziął ze swojego stolika bibułki papierosowe Zig Zags, zwinął skręta i zapalił. Położył się na pryczy, delektując się dymem, który unosił się potem wyżej, ku pryczy Rafaela i sufitowi.

— Dobrze jest żyć, *carnal* — powiedział po trzecim zaciągnięciu się skrętem.

Coś się szykuje

Xsing Ching, zaspokojony po miłosnym zbliżeniu, wylegiwał się na wygodnej kanapie Virginii Dimitri. Spod rozpiętej pod kołnierzykiem koszuli wyzierał bezwłosy tors. Jak na człowieka, który zawsze ma się na baczności, Xsing Ching wyglądał na całkowicie zrelaksowanego. Virginia weszła do pokoju w granatowych spodniach dzwonach. Poły miękkiej białej koszuli zawiązała w węzeł, odsłaniając akurat tyle nagiego ciała, by podziwiać na zmysły patrzące— Dolać ci, Xsing? — spytała.

— Nie, dziękuję. Nie trzeba mi więcej.

— Mathew będzie lada chwila. Zawsze się spóźnia.

Usiadła obok i pogłaskała go po kolanie.

— Jak tam Ren?

— Kryzys minął, jak wiesz. Doktor Rolland jest gotów do wykonania przeszczepu szpiku kostnego, jeżeli zajdzie taka

konieczność. Nie wiem, jak ci się odwdzięczę za to, co zrobiłaś dla mojego syna, Virginio.

— Nawet nie próbuj mi się odwdzięczać, Xsing. Są rzeczy, na które nie ma ceny. Czasami trzeba się pogodzić z tym, że jest się dłużnikiem — powiedziała żartem, całując go w szyję.

Usłyszała klucz obracający się w drzwiach. Mathew przeszedł korytarzem do holu otwierającego się na mieszkanie, bacznie obserwowany przez Fu Fung Fata stojącego w milczeniu w drzwiach kuchni.

— Burbon z sodą — wydał polecenie Mathew.

Pocałował Virginie w policzek i wyciągnął rękę do Xsing Chinga.

— Przepraszam za spóźnienie. Za dużo się wokół mnie dzieje. Ale jestem pewien, że nie tęskniliście za mną. Virginia przekazała mi, że chciał pan się ze mną widzieć.

— Tak, panie O'Hara, musimy porozmawiać. Wie pan, że konieczna jest dyskrecja.

— Tutaj możemy rozmawiać swobodnie. Virginia jest moim partnerem.

— Oczywiście, nie miałem na myśli pani Dimitri. Jak pan zapewne wie, kontaktowałem się już z innymi klientami i dostałem kilka ofert. Byłoby z mojej strony wielką nieuprzejmością, gdybym je zignorował.

— Myślę, że przekonałam pana Chinga, żeby ubił interes tylko z nami, Matt. Im mniej ludzi wie o dostawie, tym mniejsze ryzyko — powiedziała Virginia.

— Zgadzam się z Virginią. Tak jest najrozsądniej — rzekł Mathew. — Obaj jesteśmy ludźmi interesu, panie Ching. Nie będzie żadnych problemów. Obaj mamy doświadczenie i wie-

my, że w takich przypadkach nieodzowna jest dyskrecja. Zapewniam, że nikt nigdy się nie dowie, skąd przybyły te przedmioty ani w jaki sposób się tu dostały.

— Zwykle nie sprzedaję całego transportu jednej osobie. Staram się subtelniej rozproszyc towar tak wysokiej jakości, sprowadzony w jednym czasie do tej samej części kraju — wyjaśnił Xsing.

— Rozumiem pańskie zatroskanie, obstaję jednak przy swojej chęci zakupu całego transportu. Virginia wyjaśniła panu moje motywy i jak rozumiem, przystał pan na moją propozycję — rzekł Mathew.

— Owszem, postanowiłem sprzedać panu cały transport. Pragnę podkreślić, że robię to, ponieważ pani Dimitri wydaje się bardzo na tym zależeć. Mam wobec niej dług wdzięczności. Dzięki niej może uda się uratować życie mojego syna.

— Oczywiście!

— Sama najlepiej wie, co to dla mnie znaczy, bo straciła dziecko — powiedział Ching, kładąc dłoń na dłoni Virginii.

— Virginia? Dziecko? — Mathew był zdezorientowany.

— Nie rozmawiajmy o tym. To strata, z którą nie umiem się pogodzić — wtrąciła Virginia, rzucając Mathew ostrzegawcze spojrzenie.

— Musimy zachować ostrożność — rzekł nerwowo Ching. — Wie pan, że musiałem zapłacić dużą sumę, żeby zachować dyskrecję?

— Jak to? — spytał Mathew.

— Zaszantażowano mnie.

— Niemożliwe!

— Do mojej organizacji zgłosili się anonimowi szantażyści,

którzy wiedzieli, że do Stanów Zjednoczonych dotrze duży transport. Musieliśmy kupić ich milczeniem. Działając zakulisowo, ustaliliśmy, kto kierował szantażem. Na szczęście zajęto się już tą osobą. Musi pan jednak zrozumieć, że mamy powody do zdenerwowania i wstrzymujemy się z działaniem w obawie przed innymi niespodziankami.

— Skąd mam mieć pewność, że ta osoba już nam nie zagraża? — zdenerwował się Mathew.

— Możemy polegać na naszych źródłach informacji. Jeżeli mówię, że to zostało załatwione, może mi pan wierzyć.

— Nie ucieszyła mnie ta wiadomość, panie Ching. Lubię robić czyste interesy, bez komplikacji. Muszę wiedzieć, że nie sprawi nam kłopotów żaden intruz. A właściwie kto to był?

— Nie poznałem nazwiska szantażysty, wiem tylko, że już nas nie będzie niepokoił. Ma pan na to moje słowo, panie O'Hara.

— Jak dawno to było? — spytał Mathew.

— Na tyle dawno, że wiemy, że nie będzie żadnych następstw.

Ten nowy obrót rzeczy przyniósł nowe ryzyko, które Mathew musiał rozważyć. Szantaż? Ile tamten człowiek wiedział? W jaki sposób Ching go wyeliminował? Interes nie był już całkiem czysty, choć nadal korzystny. Teraz następowało najtrudniejsze, ustalenie ceny.

— Czy dobrze rozumiem, że sprzeda mi pan cały transport za trzysta tysięcy dolarów?

— O nie, panie O'Hara, cena wynosiła zawsze siedemset tysięcy!

Mathew podskoczył.

— To ponad dwukrotnie więcej niż oczekiwałem! — wykrzyknął.

— Został pan źle poinformowany, panie O'Hara. Cena wynosi siedemset tysięcy. Kiedy zobaczy pan te przedmioty, przekona się pan, że są warte o wiele więcej — odparł Ching, starając się zapanować nad gniewem.

— Proszę przekazać kontrahentom, że podwyższę ofertę do trzystu pięćdziesięciu tysięcy i ani centa więcej — rzekł Mathew. — Proszę też powiedzieć, że mają kilka dni na zastanowienie się. Spotkamy się znowu tutaj w sobotę wieczorem.

— Przekażę pańską wiadomość moim klientom, ale już teraz zapewniam, że nie możemy zaakceptować tak niskiej ceny — zastrzegł się Xsing Ching. — Proszę pamiętać, że słono zapłaciliśmy za uciszenie szantażysty.

— I to ja mam teraz za to zapłacić?

— Mamy innych bardzo zainteresowanych kupców — odparł Xsing Ching.

— Może dostanie pan więcej, podzieliwszy towar, panie Ching, ale będzie to dla pana trudniejsze i bardziej ryzykowne. Proszę też pamiętać, że zabierze więcej czasu. Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu, jak powiadają. Poza tym we mnie ma pan pewnego klienta. Możemy w przyszłości robić dalsze interesy, bo przecież to nie są jedyne przedmioty, które zamierza pan sprzedawać w tym kraju, prawda?

— O tym nie mogę z panem rozmawiać. To nie zależy tylko ode mnie.

— To moja oferta. Może pan ją przyjąć lub nie — rzekł Mathew.

* * *

Po wyjściu Xsing Chinga Mathew okazał irytację.

— O czym on mówił, do cholery?

— Skłamałam. Żeby go zmiękczyć, powiedziałam, że straciłam dziecko — wyjaśniła Virginia.

— Nie o tym mówię. O co chodzi z tym szantażem?

— Nie wiem. Dopiero teraz o tym usłyszałam. Ale powiedział, że to już załatwione, tak czy nie?

— Wierzysz mu? Nie możemy być pewni.

— Powiedział, że możemy mu wierzyć na słowo. On ryzykuje więcej od nas i ma więcej do stracenia. Nie dziwi mnie, że osobiście zajął się szantażystą.

— Powiedział, że nie wie, kto to był — rzekł Mathew.

— A czego się spodziewałeś? Że poda nam imię i nazwisko?

— Nie wiem, Virginio. Coś mi tu śmierdzi. Nie możemy ruszać ze sprawą, jeżeli czyhają na nas szpiedzy, którzy chcą nas zdemaskować. — Mathew otarł czoło wierzchem dłoni.

— Uspokój się i postaraj się jasno myśleć, Matt. Cała ta historia z szantażem daje ci pewną przewagę, bo Ching czuje się jak na widelcu. Zamiast szukać nowych klientów, woli na pewno pozbyć się towaru. Wykorzystaj to, co się wydarzyło, do negocjowania ceny, ale za bardzo nie naciskaj. Nie możemy się teraz wycofać, stawka jest zbyt duża — powiedziała oschle.

* * *

Mathew O'Hara przez kilka dni nie spał. Zamknął się w swoim gabinecie i wykręcił setki numerów telefonicznych, przeczesując swoje kontakty, aby ustalić, kto próbował prze-

szkodzić w ubiciu interesu i jak mu się udało tak dobrze to zaplanować. Trzy dni trwały poszukiwania. W sieci kontaktów, rozbudowywanej przez lata prowadzenia nielegalnych interesów, znalazł wreszcie informatora związanego z Chinatown. Umówił się z nim na spotkanie w Camelocie o szóstej wieczorem w piątek.

Mathew przyszedł na miejsce wcześniej i nerwowo popijał drinka przy barze. Minęła godzina szósta, ale nikt się nie pokazał. Mathew dokończył jednego drinka i zamówił następnego, porozmawiał chwilę z Melbą. W końcu, piętnaście po siódmej, przyszedł do Camelotu niski Chińczyk w dwurzędowym ciemnoszarym garniturze z Hongkongu, w kapeluszu głęboko nasuniętym na czoło. Mimo słabego światła i maskującego kapelusza, rzucał się w oczy, nie tylko jako jedyny Azjata w barze, lecz również z powodu pokrytej bliznami twarzy. Albo miał ślady po poparzeniu, albo ciężko przechorował ospę, wywnioskował Mathew. I to na tego właśnie człowieka czekał godzinę i piętnaście minut.

Mathew patrzył spokojnie, jak przybysz się zbliża, ale Excalibur zareagował bardzo szybko — obnażył zęby i doskoczył do intruza. Warcząc groźnie, już miał ukąsić dziwnego gościa, gdy Melba złapała go za obrożę i odciągnęła.

Rozwścieczony mężczyzna wyrzucił stek chińskich przekleństw i wycofał się w kierunku drzwi. Miał krzywe nogi i stawał stopy lekko do środka. Mathew zatrzymał go koło drzwi i przedstawił się. Mężczyzna poprawił marynarkę, podniósł kapelusz, który zgubił w trakcie ucieczki, i kipiąc gniewem ruszył za Mathew do biura Melby.

— A nie mówiłam, że Excalibur jest wspaniałym psem obronnym? — powiedziała Melba, nie puszczając psa, który się rzucał, wisząc na obroży.

Wprowadziwszy swojego gościa do biura, Mathew zamknął drzwi i zapalił światło. Mężczyzna zajrzał do wszystkich zakamarków i dopiero, kiedy się upewnił, że nikt się tu nie schował ani nie podłożył mikrofonu, zamknął drzwi na klucz i usiadł na wskazanym przez Mathew miejscu.

— Co wiesz? — zaczął bez ogródek Mathew.

— Gdzie pieniądze? — spytał mężczyzna.

— Na to jeszcze czas. Najpierw przekonamy się, co wiesz.

— Nie ma pieniędzy, nie ma informacji — odparł tamten.

— Skąd mam wiedzieć, że masz informacje, które są mi przydatne? — dopytywał się Mathew.

Odpowiedziało mu lekceważące wzruszenie ramion. Obaj mężczyźni mierzyli się wzrokiem. Chińczyk wetknął palec do ucha, podłubał starannie, po czym obejrzał lepką woszczykę, którą udało mu się wydobyć. Najwyraźniej nigdzie mu się nie spieszyło. Mathew zwrócił uwagę na jego nieproporcjonalnie wielkie ręce i doszedł do wniosku, że ma przed sobą gangstera. Był to zapewne jeden z tych twardzieli, których można tanio wynająć w Chinatown do brudnej roboty. Wyglądał na prostaka, za mało wyrafinowanego, by zostać oszustem. Mathew wyciągnął kopertę z wewnętrznej kieszeni i podał mężczyźnie. Ten wziął ją, otworzył i zaczął przeliczać studolarowe banknoty. Przeliczył je dwukrotnie, a potem schował do kieszeni, zsunął kapelusz z czoła i uśmiechnął się. Miał bardzo brzydkie zęby. Pokryta bliznami twarz i okropne zęby przestraszyłyby najodważniej-

szego człowieka. Mathew zadrżał. Nie przywykł do robienia interesów z ludźmi tego pokroju.

— Był człowiek który sprawić dużo kłopot chińskiemu kupcu. Wysoki biały człowiek, który ubiera smoking. Zapłacić dużo za milczenie — rzekł ze śmiechem, który przypominał szczekanie psa.

— Co to znaczy dużo?

— Pięćdziesiąt tysięcy dolarów!

Mathew cofnął się gwałtownie, otwierając oczy ze zdziwienia. Duża suma pieniędzy. Jeżeli Xsing Ching zapłacił aż tyle, sytuacja była poważniejsza, niż przypuszczał. Oznaczało to, że szantażysta mógł udowodnić, że zna szczegóły dotyczące przemytu.

— Człowiek za chytry. Już nie sprawi kłopot — powiedział Chińczyk, przesuwając palcem po szyi.

— Co to znaczy? — spytał Mathew. — Zabięś go?

— Koniec spotkania, dobranoc panu.

Chińczyk otworzył drzwi i ruszył szybko do wyjścia, zostawiając Mathew przyrośniętego do podłogi. Po chwili O'Hara odzyskał panowanie nad sobą, pobiegł za krzywonogim Chińczykiem i dogonił go na ulicy, przed wejściem do baru.

— Chwileczkę, kolego. Mam jeszcze kilka pytań.

— Chcesz więcej odpowiedzi, zapłać więcej.

— Czy ten człowiek działał sam, czy z innymi? — spytał Mathew.

— Sto dolarów. — Chińczyk wyciągnął rękę.

— Nie tak się umawialiśmy. Zapłaciłem za informacje o szantażyście.

— I dostał pan informację. Człowiek w smokingu. Chce pan więcej, trzeba więcej zapłacić!

Wściekły Mathew zrozumiał, że jeżeli ten człowiek zniknie, już nigdy więcej go nie zobaczy.

— Dobrze — rzekł, odliczając pięć dwudziestek z pliku, który miał ze sobą.

Mężczyzna szybko przeliczył banknoty i wepchnął je do tej samej kieszeni. Mathew na wszelki wypadek odwrócił głowę, bo nie chciał znów oglądać zębów tamtego.

— On działać sam. Nigdy z nikim się spotykać, kontaktować. Wiele razy za nim chodziłem.

Mathew zdążył już połączyć te informacje ze śmiercią Reginalda Rockwooda. Słyszał o jego śmierci, lecz mimo to zapytał:

— Co się stało z człowiekiem w smokingu?

— Zajęto się nim. Zlikwidowano. Skończyliśmy na dziś. Dobranoc — pożegnał się Chińczyk i znikł w mrokach wiosennego wieczoru.

A to drań z tego Reginalda, pomyślał Mathew. Skąd on w ogóle wiedział o istnieniu Xsing Chinga? Muszę się dowiedzieć, skąd miał informacje. Dupek!

* * *

Chociaż raz Mathew zjawił się w apartamencie przy Grant Avenue wcześniej. Miał podkrążone oczy. Wszedł do salonu i krzykiem ściągnął Virginie.

— Wiedziałaś, że Reginald szantażował Xsinga i dostał pięćdziesiąt tysięcy dolarów?

Virginia uniosła lewą brew.

— Nie wiedziałam, że w ogóle się znają.
— Moje źródła podają, że to Xsing się nim zajął.
— To znaczy, że go zabili? — spytała Virginia, wzdrygając się.

— Powiedzmy, że ten człowiek już nam nie wadzi. Nie chcę wiedzieć więcej.

— Jaki ta wiadomość ma wpływ na dobiecie targu?

— To zależy od tego, jakiej gwarancji może udzielić Ching na to, że nikt więcej nie maczał w tym palców — rzekł Mathew.

W tym momencie zadzwonił dzwonek u drzwi. Kilka sekund później wszedł Xsing. Był w ciemnoszarym garniturze i żółtym krawacie, z żółtą chusteczką w kieszonce.

— Dobry wieczór — powiedział i usiadł w fotelu na wprost sofy, na której siedziało tamtych dwoje.

Nawet jeśli zaskoczył go niedbały wygląd Mathew, nie skomentował tego ani słowem.

— Incydent z szantażem skomplikował nasz układ — oświadczył Mathew, starając się zapanować nad złym humorem i nerwami.

— Nie ma potrzeby niczego komplikować, panie O'Hara. Zapewniam pana, że wszystko jest w jak najlepszym porządku.

— Przeprowadziłem wywiad na własną rękę i podejrzewam, że kryje się za tym ktoś jeszcze. Dowiedziałem się, że zapłacił pan majątek. Tych pieniędzy nie odzyskano, prawda?

— Niefortunny szczegół. Moi informatorzy szukali wszędzie. Zważywszy na wartość transakcji, powiedzmy, że była to prowizja od sprzedaży — rzekł z sarkazmem. — Z tego co

wiem, federalni odzyskali część tej sumy, ale nikt nie wie, gdzie jest reszta. Czemu to pana niepokoi?

— Skąd pan wie, co odzyskali federalni?

— Jak już mówiłem, mam dobrych informatorów.

— Zmieńmy temat — zaproponował Mathew. — Czy przekazał pan moją ofertę kontrahentom?

— Tak. Chętnie sprzedadzą towar za sześćset tysięcy dolarów. Nie może pan narzekać, panie O'Hara. To spora obniżka.

— Ale ja proponowałem co innego — przypomniał mu Mathew. — A teraz, kiedy pojawił się trup, nie jestem pewien, czy chcę doprowadzić tę transakcję do końca.

Virginia słuchała uważnie rozmawiających, zapamiętując ich wypowiedzi. Wyczuła, że Mathew za chwilę straci głowę. Zawołała Fu Fung Fata i poprosiła o przyniesienie drinków. Krótka przerwa i alkohol uspokoiły atmosferę, po czym podjęto negocjacje od nowa.

— Oto moja propozycja, Xsing. Jestem gotów podwyższyć ofertę do czterystu pięćdziesięciu tysięcy.

— Niestety, to za mało.

— Pańska wypowiedź mnie nie zadowala. Ile oni naprawdę chcą? — spytał Mathew, zaczynając się znów niecierpliwić.

— Będę musiał zadzwonić — odparł Xsing Ching. — Czy mogę skorzystać z telefonu?

— Tak, oczywiście. Zadzwoń z sypialni, będziesz się tam czuł swobodnie — powiedziała Virginia.

Xsing wyszedł z pokoju.

— Nie poznaję cię, Mathew. Zwykle nie jesteś taki impulsywny.

— Nie trzymam w ręku wszystkich sznurków. Nie wiem, co się dzieje za moimi plecami. Udają niedostępnych. O co im właściwie chodzi?

— Trafieś na graczy tak dobrych jak ty. Spokojnie, musisz po prostu blefować jak w pokerze, a w tym jesteś mistrzem, Mathew. Wykorzystaj Rockwooda.

— Jak?

— To oczywiste, że go zabili. Jak ci mówiłam, Xsing Ching zrobi wszystko, żeby doprowadzić transakcję do końca i wyjechać stąd. A ty możesz grać na zwłokę. Zdenerwuj go — poradziła.

Niebawem Xsing Ching wrócił z sypialni. Nieprzenikniony wyraz twarzy niczego nie zdradził, lecz Virginia nauczyła się odgadywać jego nastroje. Ujęła go za rękę i poprowadziła do stołu w jadalni.

— Zjedzmy coś — zaproponowała i zadzwoniła jadeitowym dzwonkiem.

— Wolałbym najpierw skończyć negocjacje — zaproponował Xsing Ching.

— O nie. Mamy dość czasu, żeby z przyjemnością się posilić — rzekł Mathew, zdejmując krawat i rzucając go na oparcie krzesła.

Virginia zaprosiła ich, by usiedli. Kilka minut później Fu Fung Fat przyniósł do stołu pierwsze danie — halibuta duszonego w koprze i białym winie, zawiniętego w liście banana. Bardzo dobrze radził sobie z serwowaniem dań jedną ręką, ale musiał kilka razy obracać do kuchni, przynosząc po jednym talerzu. Potem podał wino. Wiedział, że Xsing Ching pije tylko chablis. Virginia przedłużyła kolację o dodatkowe

trzy kwadransy, prowadząc błąhą rozmowę, podczas gdy Ching robił się coraz bardziej spięty, zgodnie z jej przewidywaniami. Odmówił zjedzenia deseru, lecz musiał cierpliwie czekać, aż tamtych dwoje powoli i ze smakiem skończy lody.

— Kawę wypijemy w salonie — zarządziła Virginia.

Xsing Ching był bliski załamania nerwowego. Virginia dała dyskretny znak Mathew, który powrócił do właściwego tematu spotkania.

— Co powiedzieli pańscy kontrahenci na moją ofertę?

— To za mało.

— Ile są gotowi zaakceptować? — spytał chłodno. Poczul, że on tu decyduje.

— Pięćset tysięcy dolarów. Jak już wyjaśniłem, straciliśmy pięćdziesiąt tysięcy na łapówkę, czego można było uniknąć, gdyby tyle nie gadano o transakcji.

— Co pan insynuuje? Czy to zarzut?

— Po prostu stwierdzam fakty, panie O'Hara. Panu także nie pomoże, jeżeli zacznie się mówić o tej sprawie poza tymi ścianami. Pięćset pięćdziesiąt tysięcy to cena ostateczna.

— Za dużo — rzekł Mathew.

— Mathew chętnie dokona zakupu, Xsing, ale są pewne granice — wtrąciła Virginia. — Po tym co się stało, a mam na myśli Rockwooda, Matt będzie miał dodatkowe, nieprzewidziane wydatki. Będzie musiał uciszyć plotki i powstrzymać ewentualne dochodzenie. Na szczęście w San Francisco zawsze można te rzeczy jakoś załatwić. Rozumie pan, prawda?

— Właśnie — przytaknął Mathew. — Będziemy musieli zatuszować sprawę, posmarować niejedną rękę, a to sporo nas będzie kosztowało.

Gdy wieczór dobiegł końca, uzgodnili cenę — pięćset tysięcy dolarów. Mathew obliczył, że jego niecierpliwość i zakłopotanie kosztowały go kilka tysięcy dolarów, nie wspominając o pieniądzach, które zapłacił opryszkowi z bliznami na twarzy. Na szczęście Virginia grała jak prawdziwy hazardzista. Jego partnerka była na wagę złota. Ogarnęło go zadowolenie. Kupcy już ustawili się w kolejce po towar, gotowi płacić dwa razy tyle co on sam.

* * *

Spotkanie wyznaczono na następną środę, na godzinę dziewiątą, przy pirsie dwunastym w przemysłowej dzielnicy, na południe od Market. Xsing Ching zgodził się dostarczyć tam towar w skrzyniach, rozdzielony według wskazówek podanych przez Mathew, co miało ułatwić przekazanie zakupionych dzieł dalej, wedle życzenia. Xsing zawiadomił, że sam nie może być obecny z powodu innych zobowiązań, podał jednak numer banku w Hongkongu, gdzie chciał, by zdeponowano pieniądze za pośrednictwem Western Union, kiedy tylko Mathew sprawdzi autentyczność waz. Po dokonaniu przelewu miały stać się jego własnością i mógł je odebrać zgodnie z osobnymi ustaleniami.

Mathew przez cały dzień był zdenerwowany. Wieczorem poszedł do Camelota na kilka drinków, żeby uspokoić nerwy przed wyruszeniem na nabrzeże. Chociaż zwykle tego nie robił, zasiadł przy okrągłym stole od frontu. Po chwili dołączyła do niego Melba. Rozmawiając, patrzyli, jak nad zatokę napływa mgła. Mathew przewidywał, że jeszcze się ochłodzi, a on miał na sobie tylko płócienną marynarkę. Mgła przesłoniła most i stopniowo światła miasta zatarły się.

— To chyba jedyne miasto na świecie, gdzie człowiek trzęsie się z zimna przez cały rok — skonstatował Mathew, strzelając z palców.

— Nie lubisz mgły? Wygląda jak bawełna — rzekła Melba.

— Wolę słońce.

— Powinieneś mieszkać w Mission. Czemu jesteś taki zdenerwowany? Obserwuję cię od kilku dni i widzę, że dziwnie się zachowujesz.

— Dużo się dzieje, Melbo. Wkrótce to się skończy i wtedy zabiorę rodzinę na wakacje na Hawaje.

— Widziałam niedawno, jak rozmawiałeś z jakimś chińskim twardzielem. Mam nadzieję, że nie jest częścią twoich zamierzeń.

— Skądże. Kupowałem tylko od niego informacje. Dostałem, co chciałem.

— A ja już się zaczęłam martwić. Nie wyglądał na uczciwego obywatela. Widziałeś jego twarz? Jak spalona kwasem.

— Zawsze możemy wybrać, z kim ubijamy interesy, Melbo.

— Widzę, że skończyłeś drinka. Chcesz jeszcze jednego? Na koszt firmy.

Mathew zawahał się, zastanawiając się, czy kolejny drink nie wpłynie na jego trzeźwe myślenie i rozeznanie.

— A co tam, mam mnóstwo czasu — uznał, rozsiadając się wygodnie w krześle. — Dzięki tobie ten bar stał się bardzo popularny, Melbo. Może powinienem przyznać ci premię.

— Nie trzeba. Mam z czego żyć, a interesy idą nieporównanie lepiej niż w Mission.

Zamachała dwoma uniesionymi palcami. Barman pojął

w lot, o co chodzi, i wkrótce przyniósł do stolika bourbona z lodem i piwo.

— Gdzie jest ten Meksykanin, który zaopatrywał bar? Jak on miał na imię? Ostatnio go nie widziałem — rzekł Mathew.

— Chodzi ci o Rafaela. Biedak siedzi w San Quentin.

— Naprawdę. Za co?

— To długa historia. Głównie dlatego, że nie wsypał kumpli — wyjaśniła Melba.

— Ale nie za przestępstwo z użyciem siły?

— Rafael i użycie siły? To najłagodniejszy chłopak na świecie.

— Kiedy wyjdzie? — spytał Mathew.

— Nie tak zaraz. Dopiero co go przymknęli.

Mathew już jej nie słuchał. Spojrzał na zegarek. Ósma trzydzieści, pora iść. Wstał, dopił drinka dwoma łykami i postawił kołnierz marynarki, szykując się na spotkanie z wieczornym chłodem.

— Do zobaczenia, Melbo, do jutra.

— Jedź ostrożnie w tej mgle, Mathew — odpowiedziała.

* * *

Pirs dwunasty mieścił się na nabrzeżu San Francisco na południe od Bay Bridge. Kiedyś rozładowywano tu przy-
pływające z towarami statki. Tutejsze magazyny były wpraw-
dzie nadal wykorzystywane, lecz dni pracowitego zgiełku i
krzątania minęły, a pirs niszczał. Wyładunek odbywał się
teraz głównie w Oakland.

Była ciemna noc, a gęsta mgła ograniczała widoczność.
Packard wiozący Mathew podjechał do wejścia, oświetlając

reflektorami siatkę i bramę z trzema kłódkami. W głębi, za ogrodzeniem, Mathew dojrzał zarys budynku z pojedynczą lampą na północnym rogu, rzucającą światło przez mgłę do doku.

Kilka kroków od bramy, po stronie kierowcy, stała budka strażnika. Wyszedł z niej Włoch z kilkudniowym zarostem, wielki jak szafa, z latarką w ręku. Miał wełnianą czapkę naciągniętą na uszy i grubą marynarską kurtkę. Kiedy zbliżył się do auta, szofer Mathew, wiernie mu służący od piętnastu lat, otworzył okno.

— Mamy tu spotkać kilka osób i obejrzyć towar — wyjaśnił.

— Tak? A kto was przysłał? — spytał strażnik.

— Xsing Ching — rzucił niecierpliwie Mathew z tylnego siedzenia.

— Niech się pan na mnie nie złości, panie. Robię, co do mnie należy. W tej okolicy trzeba uważać. — Otworzył trzy kłódki i pociągnął skrzydła bramy do środka, zabezpieczając je hakami, żeby samochód mógł swobodnie przejechać. — Mówili, że będą czekać przy drzwiach numer trzy. Musicie kawałek podjechać. Ostrożnie. Tam nie ma świateł. Tylko to jedno na górze. O tej porze rzadko kto przyjeżdża.

— Dziękuję za pomoc — rzekł Mathew, sięgając nad lewym ramieniem kierowcy i podając strażnikowi napiwek. — To za fatygę.

— Dziękuję panu. Zawsze jakiś grosz. Kiedy będzie chcieli wyjechać, podjedźcie do bramy i zatrąbcie. Muszę ją zamknąć. Rozkaz szefa!

Kiedy samochód przejechał przez bramę, strażnik zamknął

ją i zarygłował. Szofer włączył długie światła, ale podświetliły tylko mgłę, więc wyłączył je i kierował się światłem na rogu budynku, włączwszy wycieraczki.

Samochód sunął powoli pirsem. Mathew siedział przygarbiony na tylnym siedzeniu z dłońmi zaciśniętymi na oparciu przedniego fotela. Mrużąc oczy, usiłował dojrzeć zarys drzwi magazynu. Słyszał kilka syren przeciwmgielnych, które zawodziły swoje litanie w różnych częściach zatoki.

— Paskudna pogoda — powiedział.

— Tak, proszę pana — odparł kierowca.

— To tutaj, zatrzymaj się.

Szofer zatrzymał się przed uchylonymi drzwiami numer trzy. Mathew wysiadł ostrożnie z samochodu na nierówne, zniszczone belki starego doku. Zajrzał przez drzwi i zobaczył coś, co wyglądało jak latarka poruszająca się przy drugim końcu magazynu, jakieś sto metrów dalej.

— Halo! Jest tu kto?! — zawołał.

— Tutaj — odpowiedział głos i jedyne światło w budynku skierowało się na niego.

— Czy można bezpiecznie tam iść? — spytał Mathew.

— Niech pan zaczeka, podejdę — odpowiedział głos, zbliżając się do miejsca, gdzie stał Mathew.

Mathew patrzył, jak skaczące światło latarki odbija się od pajęczyn na krokwiach, poruszając się w takt kroków idącego.

Po chwili Mathew zobaczył mężczyznę — chyba Chińczyka — w płaszczu i kapeluszu. Dookoła panowały zupełne ciemności. Niesamowitą ciszę przerywało jedynie wycie syreny przeciwmgielnej gdzieś w oddali.

Mężczyzna przedstawił się płynną angielszczyzną.

— Witam pana. Nazywam się Wing Su i reprezentuję pana Chinga. Miło mi wreszcie pana poznać. Do tej pory rozmawialiśmy tylko przez telefon. Nic tu nie widać, proszę za mną. Rozpakowywałem towar, żeby mógł go pan obejrzeć. Będzie pan zadowolony.

Mathew wysiłał wzrok, żeby dojrzeć twarz mężczyzny, lecz światło było zbyt słabe.

Chińczyk ruszył przodem, oświetlając drogę latarką. Szli powoli pomiędzy nieregularnymi rzędami pak porozstawianych w wielkiej hali na wysokość około metra. Kiedy dotarli pod przeciwległą ścianę, gdzie Mathew na początku dostrzegł snop światła, zastali tam trzech robotników w kombinezonach, dwóch z łomami i jednego z młotkiem, odrywających deski od dwudziestu paru skrzyń na około dziesięciu metrach kwadratowych podłogi. Jeden z robotników poprosił mężczyznę w płaszczu o poświecenie latarką na jedną z częściowo otwartych skrzyń. Mathew zobaczył delikatnie rzeźbioną wazę.

— Ma przeszło tysiąc lat — powiedział Wing Su.

Wyjął wazę i postawił ją na drugiej skrzyni. Ktoś inny poświecił swoją latarką. Mimo kiepskiego oświetlenia Mathew zachwyił się bogactwem półprzezroczystych barw i kunsztowną formą. Postacie wykonujące czynności dnia codziennego w starożytnych Chinach, perfekcyjnie przedstawione na boku wazy, niemal wyskakiwały z tła, gotowe się poruszyć.

— Widział pan kiedyś coś równie pięknego? — spytał Wing Su.

Wyciągnął następnie drugą wazę, jeszcze starszą niż pierwsza i kazał na nią poświecić. Mathew nie był znawcą ani

kolekcjonerem, lecz piękno tych przedmiotów odebrało mu mowę.

— Panu Chingowi zależy, żeby dostał pan za swoje pieniądze dobry towar. Oto wykaz — rzekł Wing Su, podając mu papierową teczkę. — Pan Ching prosi, aby upewnił się pan, że wszystkie przedmioty zostały przywiezione i są w dobrym stanie. Rozumie pan, oczywiście, że przed ich dostarczeniem będzie pan musiał przekazać pieniądze.

— Rozumiem. — Mathew z trudem dobywał głos.

— Wpłaci pan pięćset tysięcy dolarów w tym tygodniu, czy tak? — upewnił się Wing Su.

— Nie będę z panem omawiać szczegółów — odparł Mathew. — Ja ze swojej strony dotrzymam warunków umowy.

— O nic więcej nie prosimy, panie O'Hara, w tym momencie tylko tyle chcieliśmy usłyszeć. Muszę teraz poinformować pana, że jest pan aresztowany pod zarzutem nielegalnego handlu obiektami sztuki pochodzącymi z komunistycznych Chin.

— Co? O czym pan mówi, do cholery? — wykrzyknął Mathew.

— Powtarzam. Jest pan aresztowany. Proszę założyć ręce do tyłu. Muszę pana skuć.

— To niesłychane.

— Proszę zrobić to, co każę. Nie chcemy pana poturbować.

Mathew otrząsnął się z odrętwienia, które sparaliżowało mu nogi, obrócił się, pchnął mężczyznę w płaszczu na jedną ze skrzyń, powalając go na plecy, zrobił cztery susy i znikł w ciemnościach. Z mroku wyłonili się trzej agenci FBI z latarkami i ruszyli za nim. Gdy się do niego zbliżyli, puścił

się biegiem. Dotarł do drzwi, przemknął obok packarda, który miał zapalone światła postojowe, i popędził pustym dukiem, a agenci tuż za nim. Nie wiedział, że ma aż tyle sił, ale w końcu go dopadli i unieruchomili. Wszyscy trzej przygwoździli go do ściany pustego magazynu, a on wrywał się i krzyczał.

— Skurwysyny, nie wiecie z kim zadzieracie! — wrzasnął, wciąż się szarpiąc. — Chcę rozmawiać z burmistrzem, natychmiast. To pogwałcenie moich konstytucyjnych praw... — Nagle się uspokoił. Tłumaczył, że musiała zajść jakaś pomyłka. Był szanowanym obywatelem miasta. Zaczął wymieniać znanych ludzi, senatorów, bankierów, gubernatora, wszyscy oni mogli za niego ręczyć. Można to było załatwić w gronie przyjaciół, bez skandalu. Miał środki, był hojny.

— Mam swoje prawa — powiedział. — Chcę rozmawiać z moim adwokatem.

Z cienia wyłoniła się jeszcze jedna postać, wkraczając w krąg światła utworzony przez latarki agentów. Był to Charles Perkins.

— Dobry wieczór, panie O'Hara. Chciałbym przedstawić panu agenta Tonga — rzekł, wskazując mężczyznę w płaszczu. — Dobra robota, panie Tong. Był pan bardzo przekonujący w roli pana Wing Su. A co ważniejsze, przeniknął pan do organizacji pana Chinga tak, że ten niczego nie podejrzewał.

— Owszem, ale go nie złapaliśmy. Powinniśmy nakryć go tu dzisiaj, a on się wymknął.

— Nieważne. Kiedy spróbuje znowu zrobić interes w Stanach Zjednoczonych, a z pewnością tak będzie, wtedy go

dostaniemy. Trochę to potrwa, zanim postawi na nogi rozbitą organizację, no i będzie go to sporo kosztowało. Mamy dzieła sztuki i mamy pana O’Harę. Awans ma pan zapewniony, agencie Tong.

— Dziękuję, panie Perkins. Teraz pana kolej postawić pana O’Harę w stan oskarżenia. Ma duże wpływy i pieniądze. Mam nadzieję, że nie prześliznie się panu przez

Mathew wykorzystał krótką chwilę odwróconej uwagi, uwolnił się i puścił biegiem na ślepo po pirsie. Potykał się, upadał, podrywał, a trzech agencji FBI gonili za nim.

— Nie strzelajcie! — krzyknął rozkazująco Charles Perkins.

W ciemnościach skakały światła latarek i dudniły kroki biegnących po ciemnych deskach. Wtem coś chlupnęło i wszyscy od razu wiedzieli, że Mathew wskoczył albo wpadł do wody.

— Wezwijcie straż pożarną z kocami — zawołał znowu Charles. — I niech któryś z was za nim wskoczy W tej zimnej wodzie długo nie wytrzyma. Musimy go wyciągnąć.

Mathew tymczasem walczył o życie. Woda była przeraźliwie zimna. Podpłynął pod jakieś belki, ale nasiąknięte wodą ubranie utrudniało mu ruchy, a nogi ciążyły jakby były z ołowiu. Woda zaczęła go zalewać, pomyślał, że to już koniec, więc zawołał:

— Tutaj! Poddaję się! Tonę!

Kiedy się zorientowali, gdzie jest, jeden z agentów wskoczył do wody. Dopłynąwszy do Mathew, przestrzegł:

— Przestań się szarpać, bo obaj utoniemy.

Pozostali agenci świecili latarkami na dwóch mężczyzn

w wodzie, a po chwili wszedł na pirs Charles Perkins i też złapał ich w snop światła swojej latarki.

— Przyciągnij go do brzegu — rzucił tym samym rozkazującym tonem.

— Sam nie dam rady, szefie — odparł agent z wody.

Zanim Charles nakazał drugiemu agentowi wskoczyć do wody, nadbiegł szofer packarda, minął stojących i rzucił się do zatoki, by ratować szefa. Mathew już opadł z sił. Lojalny szofer wraz z agentem doholowali O'Hare do miejsca, skąd można go było wyciągnąć na brzeg. Chwilę potem usłyszeli syreny straży pożarnej w pobliżu bramy wjazdowej. Wyciągnęli Mathew na brzeg i zaczęli klepać go po plecach, gdy wóz strażacki podjechał pod bramę.

— Otwieraj tę cholerną bramę — wrzasnął Charles na strażnika. — To akcja policji.

Strażnik otworzył bramę i minutę później silne światło zalało pirs. Z wozu zeskoczyło trzech strażaków z kocami. Jeden rzucił się do ratowania Mathew, który nałykał się wody, a pozostali okrywali mokrych ratowników, żeby uchronić ich przed wyziębieniem. Kiedy po piętnastu minutach przyjechał ambulans, Mathew był już odratowany. Miał skute ręce i mimo okrywających go koców nadal drżał z zimna.

* * *

Kiedy Mathew O'Hara spędzał noc w kajdankach w więziennej części szpitala, Xsing Ching leciał na Daleki Wschód boeingiem 707 linii Pan Am, siedząc w pierwszej klasie z żoną i dziećmi. Myślał, że doprowadził do końca najbardziej

dochodowy interes w swoim życiu i że pieniądze będą na niego czekały, gdy przybędzie do Hongkongu. Do pełni szczęścia brakowało mu jedynie Virginii Dimitri, lecz wiedział, że nie może mieć wszystkiego.

Wcisnął guzik wzywający obsługę.

— Czy mogłaby pani przynieść butelkę najlepszego szampana, jakiego macie? Chcemy uczcić coś wyjątkowego — powiedział do stewardesy.

Chinatown w żałobie

Samuel dowiedział się z gazety o aresztowaniu Mathew O'Hary oraz o udziale w akcji Charlesa Perkinsa. Zadzwoił do niego z budki telefonicznej na tyłach Camelotu.

— Halo, Charles, tu Samuel.

— Wiem. Myślałeś, że mi nie mówią, kto dzwoni? — odparł wyniośle.

— To był duży wyczyn!

— Też tak uważam. Zabrało to trochę czasu, ale dopiero w ostatniej chwili dostałem cynk, który przyniósł przełom.

— Jaki cynk? — spytał Samuel, wyciągając paczkę papierosów.

— Przykro mi, Samuelu, ale nie mogę omawiać z tobą sprawy, która jest w toku.

— Chwileczkę — rzekł Samuel, kaszląc i zapalając papierosa. — Myślisz, że O'Hara miał coś wspólnego ze śmiercią Reginalda?

— Czemu tak myślisz?

— Znali się. Reginald przychodził do baru O'Hary prawie co wieczór. Nieraz widziałem, jak rozmawiali — wyjaśnił Samuel, wydychając dym przez otwarte składane drzwi budki.

— Ciekawe — rzekł Charles. — Ale jeszcze nie widzę związku. Przeszukaliśmy apartamenty O'Hary i nie znaleźliśmy nic, co wiązałoby się z morderstwem.

— Tak? Które apartamenty?

— Jeden na Granta, drugi na południe od Market, zaadaptowane poddasze w starej przemysłowej części miasta. Po co mu aż dwa apartamenty? Oto pytanie.

— A więc nic nie wskazywało na powiązanie z Rockwoodem?

— Jak dotąd nie, ale wiesz dalej. Nigdy nie wiadomo, dokąd doprowadzi ślad — odparł Charles i rozłączył się.

Samuel został w budce, przetrawiając treść rozmowy, ale doszedł do wniosku, że niewiele z niej wynikało. Spodziewał się, że Charles będzie obsesyjnie dążył do skazania O'Hary. Pikantny skandal popchnąłby naprzód jego karierę. Wiedział też, że Charles większość tropów zachowa dla siebie. Prędzej on dostarczy jakichś przemyśleń czy wskazówek Charlesowi.

Ruszył przez pusty bar do okrągłego stołu, zamówił kawę, wziął porzuconą na jednym ze stolików gazetę, usiadł i zaczął rozwiązywać krzyżówkę na ostatniej stronie. Kiedy już połowę rozwiązał, przyszła Melba. Była ożywiona, czujna i ubrana w okropne niebieskie nylonowe spodnie, którego jedyną zaletą było to, że kolorem pasowało do jej oczu. Excalibur nie odstępował jej na krok.

— Napij się ze mną kawy, Melbo — poprosił Samuel.
Melba weszła za kontuar, otworzyła piwo, wróciła i usiadła przy nim.
— Blanche dzisiaj nie przyszła? — spytał niedbale.
— Musiała pojechać po zamówiony alkohol, którego nie dostarczono. Zrobiłeś z nią jakieś postępy?
— Nie wiem, czy można to nazwać postępem, Melbo, ale przynajmniej zgodziła się jutro ze mną wyjść — odparł, rumieniąc się.
— Powodzenia. Będzie ci potrzebne, słonko.
— Ta afery z O’Harą raziła mnie jak obuchem, Melbo — rzekł Samuel, chcąc zmienić temat. — Będziesz pewnie miała przez to jakieś problemy. Jest współwłaścicielem baru, prawda?
— Na moją sytuację to nie wpłynie. Wszystko zostaje po staremu.
— Po co człowiek, który ma tyle forsy, wdaje się w coś takiego?
— Czasami ludziom nie wystarcza to, co mają.
— Czy już wcześniej prowadził ciemne interesy?
— To oczywiście. Coś podejrzewałam. Parę tygodni temu spotkał się tu z jakimś chińskim bandziorem. Kiedy go zobaczyłam, od razu wiedziałam, że ma kłopoty — zwierzyła się Melba.
— Po czym to poznałaś?
— Wyczuwam takich ludzi. A ten wyglądał na zawodowego zabójcę. Miał oszpeconą twarz. Jak po ospie albo oparzeniu, ale takim poważnym.
— Naprawdę? — spytał Samuel, wspominając opis jed-

nego z Chińczyków, którzy popchnęli Reginalda. — Kiedy to było?

— Parę tygodni temu. Kiedy tu wszedł, Excalibur rzucił się na niego, jakby chciał go pożreć. Zdziwiło mnie to, bo w Camelocie nigdy przedtem nikogo nie atakował.

— Oprócz mnie — przypomniał Samuel.

— Coś ty. Na ciebie tylko warczał, nigdy nie próbował cię ugryźć.

Samuel wyprostował się. Nie słuchał już Melby. Pobiegł w te pędy do budki telefonicznej i połączył się z Charlesem.

— Chyba wpadłam na trop prowadzący do zбира, który wepchnął Reginalda pod trolejbus — rzekł i powtórzył to, czego dowiedział się przed chwilą.

— Dobra informacja. Ale nic nam nie da pytanie o to O'Hary. Ma tego przemądrzałego adwokata, Hiram Goldberga, i cały czas powołuje się na piątą poprawkę, odmawiając zeznań — wyjaśnił Charles.

— I nic nie możemy zrobić?

— Mam pomysł — powiedział Charles. — Pogadam z wydziałem zabójstw. Pamiętasz naszego starego przyjaciela Sandovicha? Można go ściągnąć na przesłuchanie, przy którym będą ludzie z mojego biura. Muszę przyznać, Samuelu, zawzięty z ciebie drań.

— Myślę, że szkoda na to czasu. Melba mówiła, że to płotka, nie pływa z dużymi rybami — ostudził jego zapał Samuel.

— Możliwe, ale od czegoś trzeba zacząć. Znasz to powiedzenie, jeżeli nie potrząsniesz drzewem, będziesz musiał czekać, aż owoce same spadną. Potrząśnijmy sukinsynem.

— Ja się zgadzam — rzekł Samuel. — Informuj mnie na bieżąco. — I rozłączył się.

* * *

Samuel musiał wprawdzie długo prosić, ale Charles pozwolił mu w końcu przyjrzeć się przesłuchaniu przez lustro weneckie. Pokój przesłuchań był mały i pozbawiony wentylacji. Oprócz Sandovicha znajdowali się w nim: detektyw z wydziału zabójstw, Charles Perkins oraz agent FBI. Na stole stał magnetofon i kilka popielniczek z tłącymi się papierosami, psującymi powietrze. W niszy za lustrem, gdzie miał swój punkt obserwacyjny Samuel, było jeszcze ciasniej i bardziej duszno. Stały tam dwa stare krzesła, stolik, a na nim popielniczka, dzbanek z wodą i brudna szklanka. Ściany pokrywał materiał dźwiękochłonny, izolujący pomieszczenie, a dzięki głośnikowi nad lustrem osoba tu siedząca mogła nie tylko obserwować, lecz również słyszeć, co dzieje się w pokoju obok. Samuel walczył z chęcią zapalenia papierosa, bo w tej klitce na pewno nie opanowałby kaszlu, który w ciągu ostatnich tygodni coraz bardziej mu dokuczał.

— Charles Perkins z biura FBI. My już się znamy.

Sandovich skinął głową. Był w granatowym uniformie z wyraźnie odcinającymi się belkami sierżanta na obu rękawach. Czapkę położył na stole. Samuel zwrócił uwagę na perlący się na jego czole pot.

— Ten pan po mojej prawej stronie jest z FBI. Mamy kilka pytań.

Sandovich rozejrzał się dokoła podejrzliwie, zatrzymując wzrok na lustrze, i otarł czoło chustką.

— Ma to związek ze śmiercią Reginalda Rockwooda. Pamięta pan nasze ostatnie spotkanie, prawda?

— Tak jest. Nie wiem, w czym mogę pomóc. Mogę tylko powtórzyć to, co już powiedziałem — rzekł wyzywająco.

Zapalił papierosa i spoconą lewą ręką pogładził krótkiego jeża.

— Mamy nowe informacje i chcemy je z panem omówić — wyjaśnił Charles.

— No tak, jasne. A ja nie mam nic lepszego do roboty. — Sandovich zaśmiał się ironicznie.

Samuel usłyszał przyjazny ton w głosie Charlesa i zachichotał. Znał ten stary trik. Jeżeli nie możesz kogoś nastraszyć, to go uwieść.

— Widzi pan to? — spytał, pokazując zdjęcie ospowatego Chińczyka. — Pan Butler, kierowca miejski, uważa, że człowiek podobny do tego na zdjęciu wepchnął pana Rockwooda pod trolejbus. Przyznaję, stuprocentowej pewności nie ma.

— Pyta pan niewłaściwą osobę, panie prokuratorze. Mnie tam nie było. Moja rola polegała na zatwierdzeniu raportu i przesłaniu go dalej, co też zrobiłem — odparł Sandovich. Zaczął się odprężyć, widząc, że Charles nie kieruje podejrzenia pod jego adresem.

— Wie pan, kim jest ten mężczyzna, prawda?

— Nigdy w życiu go nie widziałem — oświadczył Sandovich. — Mogę dostać kawy? Wygląda na to, że jakiś czas tu posiedzimy.

Charles zignorował prośbę i przysiadł na stole tuż obok Sandovicha. Założył nogę na nogę i spod nogawki wyjrzała skarpetka bez ściągacza.

— Coś o nim powiem. To znany płatny zabójca. Wykonuje różne brudne roboty dla kryminalnych elementów w Chinatown. Nazywa się Dong Wong. Słyszał pan to nazwisko?

— Publicznie nie. Większość mieszkańców Chinatown nie poda nazwiska osoby, która ich skrzywdziła. Obawiają się odwetu. Doszło do mnie, że człowiek o tym nazwisku brał udział w jakimś szantażu czy innej próbie sił, ale nigdy nie słyszałem o nim oficjalnie w obyczajówce, gdzie pracuję. Rozumiem, że inne wydziały też próbowały go namierzyć w związku z kilkoma zarzutami, ale nigdy nie udało się obarczyć go winą.

— Zna pan Mathew O'Hare? — spytał Charles.

— Tylko z tego, co czytałem w prasie. Nie mam często do czynienia z białymi w swoim rewirze.

— A więc nigdy nie spotkał pan tego dżentelmena? Zgadza się?

— Tak jest, panie prokuratorze. Mógłby siedzieć koło mnie w tramwaju, a nie poznałbym go, gdybym nie zobaczył jego zdjęcia w gazecie — rzekł. Mdły uśmiech wypłynął na jego plamistą twarz.

— A Xsing Chinga pan zna? — Perkins pokazał kolejną fotografię.

Sandovich obrzucił ją niedbałym spojrzeniem.

— Tego też nigdy w życiu nie widziałem. Wiem tylko to, co przeczytałem w gazecie.

— Czy wymieniano jego nazwisko w pańskim rewirze?

— Tacy jak O'Hara i Xsing Ching należą do innej ligi. Nie babrzą się w drobnych przestępstwach w tamtej okolicy. Jeżeli handlowali, to nie osobiście, a żaden z moich kontak-

tów nigdy nie wymienił ich nazwisk — zapewnił Sandovich.

— Porozmawiajmy o pańskich kontaktach. Pozwoli nam pan przesłuchać te osoby? — spytał Charles.

Sandovich zaśmiał się.

— Żarty. To tak, jakby wydać na nich wyrok śmierci. Byliby skończeni. Musieliby opuścić kraj. Nie zgadzam się.

— Wobec tego chciałbym spytać o jeszcze jedną osobę. — Perkins wyciągnął kolejne zdjęcie, tym razem kobiety. — Poznaje ją pan?

Sandovich przyglądał się zdjęciu chyba z minutę.

— Przystojna babka. Kto to jest?

— Virginia Dimitri.

— Nigdy jej nie widziałem ani nie słyszałem jej nazwiska. Co na nią macie? — spytał.

— Szczerze mówiąc, nic — odparł Charles. — Ale jest dziewczyną O'Hary, więc pomyśleliśmy, że o nią spytamy.

— To już wszystkie pytania do mnie? Mam dużo roboty dziś po południu — oświadczył Sandovich, po czym wstał i założył czapkę.

— Tak, na razie to wszystko. Ale niech pan ma oczy i uszy otwarte, dobrze? — poprosił Charles.

— Jasna sprawa, panie prokuratorze. — Podał rękę agentowi FBI, a potem Charlesowi i wyszedł z pokoju.

Samuel, patrzący na grupkę mężczyzn po drugiej stronie lustra, poczuł się oszukany.

— Niczego nie wycisnęliśmy z tego kłamliwego dupka — stwierdził agent FBI.

— Nie oczekiwałem odpowiedzi — rzekł Charles. — Jeżeli instynkt mnie nie myli, zacznij rozpowiadać o tym, co dzisiaj usłyszał. Poczekamy, aż wiadomości się rozejdą i zobaczymy, kto na nie zareaguje.

Samuel roześmiał się. A więc nie docenił Charlesa.

* * *

Gdy aresztowany Mathew nie wrócił na noc do mieszkania, Virginia nie traciła czasu. Poszła do sypialni, wspięła się na drabinę, usunęła z sufitu panel i wyjęła ze schowka dwa pudełka z pieniędzmi, które zostawił jej Mathew. Wsunęła panel na miejsce. Nie widać było szczeliny, bo niknęła w tapecie. Virginia policzyła pliki studolarowych banknotów, upewniając się, że jest tam pół miliona dolarów. Nigdy nie przypuszczała, że będzie przeliczać taką ilość pieniędzy. W tej transakcji przechodziła z rąk do rąk gotówka, a jej partner miał do niej zaufanie i oczekiwał, że w odpowiednim czasie dokona wpłaty. Wzięła z szafki gospodarczej impregnowany papier i mocny sznurek i zaczęła pakować podzielone na kupki pieniądze, zawiązując na każdym pakieciku porządną płaski węzeł. Kiedy skończyła, włożyła pakieciki do dwóch płóciennych worków i zawiązała je starannie u góry linką.

Na drugi dzień z samego rana wysłała Fu Fung Fata do pana Songa z poleceniem zdeponowania paczek w jej pojemniku zaraz po otwarciu sklepu. Nakazała mu także zamówić dodatkowy słój na jej nazwisko, ponieważ to, co przygotowała, nie zmieściłoby się w jednym.

Jednoręki musiał obrócić dwa razy. Zarzucił jeden worek

na plecy, zachwiał się, złapał równowagę i ruszył tam, gdzie mu kazano. Następnie wrócił po drugi worek. Wypełniwszy polecenie, oddał Virginii dwa kwity odbioru i dwa klucze. Virginia ukryła je za tym samym panelem w suficie, przyklejając do belki taśmą przyklepną, po czym pozostało jej już tylko spokojnie czekać na nieunikniony rozwój

Nie czekała długo. Przedstawiciele władzy zjawili się niebawem w apartamencie przy Grant Avenue. Bez protestów oddała się w ręce agentów, a jadąc wozem policyjnym, zachowywała się tak, jakby wybrała się na przejażdżkę dla przyjemności. Kilka godzin przesłuchiwał ją Charles Perkins i agent FBI. Wiedzieli już, że Xsing Ching u niej był, i to dokładnie: ile razy i kiedy, ale wyczuła, że wiele więcej nie wiedzą, z pewnością nie o jej udziale w transakcji. Domyśliła się bez trudu, że go obserwują. Przyznała, że była kochanką Mathew O'Hary, lecz od jakiegoś czasu jedynie dla niego pracowała. Przesłuchujący uważali, że obdarzona takimi walorami z pewnością mogła zaspokoić bogatego i wyrafinowanego O'Hare i trochę mu zazdrościli. Patrząc na jej niedopiętą zieloną jedwabną bluzkę, mieli trudności ze skoncentrowaniem się na pytaniach.

— Jakiej treści rozmowy prowadziła pani z panem Xsin-
giem w związku z dostawą towaru? — spytał Charles.

Virginia wyprostowała się i uśmiechnęła uwodzicielsko, patrząc Perkinsowi prosto w oczy. Jej piersi napierały na jedwab.

— Może nie wyraziłam się jasno. Nic nie wiedziałam

o dostawie towaru. Jadłam kolację z panem Xsingiem i panem O'Hara. To było spotkanie towarzyskie. Moja rola polegała na goszczeniu przyjezdnych z Hongkongu oraz innych osób prowadzących interesy z panem O'Hara. To była działalność w ramach public relations, nic więcej. Nie rozmawiałam nigdy z gośćmi o interesach i nie mam pojęcia, o czym pan O'Hara, który zawsze przychodził na takie kolacje, z nimi dyskutował. Nigdy mi się nie zwierzał z treści prowadzonych przez siebie rozmów.

— A czy na tym spotkaniu byli jeszcze inni goście oprócz Xsing Chinga?

— Nie, tylko on.

— A wtedy, kiedy pana O'Hary nie było, a pan Ching przychodził do pani mieszkania?

— Miał chore dziecko, a ja pomagałam mu uzyskać pomoc medyczną tu, w San Francisco. Jeżeli mi nie wierzycie, możecie spytać doktora Rolanda z uniwersyteckiego centrum medycznego.

Nic nie dały przesłuchania Fu Fung Fata i kucharza. Obaj zgodnie podali do wiadomości, że słabo znają angielski. Potwierdzili, że Mathew przychodził do Virginii — wiadomo było powszechnie, że to on był właścicielem mieszkania — natomiast o niczym więcej nie wiedzieli. Obaj pamiętali, że Xsing Ching był na kolacji, ale żaden szczegół nie zapadł im w pamięć. Dodali, że ich pani i pan O'Hara przyjmowali wielu gości.

Przeszukując mieszkanie, agenci zajrzeli wszędzie tam, gdzie zwykle się zagląda: pod łóżka, za wezgłowania, w głąb szaf. Zwinęli perskie dywany, sprawdzając, czy w podłodze

nie ma ukrytej kłapy, zdjęli wszystkie obrazy ze ścian, szukając sekretnego skarbcza. Odwracali nawet do góry nogami starożytny chiński wazy, lecz nigdzie nic nie znaleźli.

* * *

— Masz ochotę wybrać się do kina Larkin? Przeczytałem w gazecie, że dziś dają francuski film *Rififi* — zaproponował Blanche Samuel.

Ubrany był w wyjściowy garnitur, ten najporządniejszy, a włosy też miał doprowadzone do porządku, bo niedawno odwiedził fryzjera. Umówili się, że spotkają się w Camelocie. Blanche też postarała się odmienić wygląd. Zamiast spodni i tenisówek włożyła spódnicę w kwiaty i białą bluzkę. Samuelowi wydała się jeszcze atrakcyjniejsza niż zwykle, choć z drugiej strony ta bardziej kobieca, flirtująca Blanche trochę go deprimowała.

— Tytuł brzmi ładnie. Podoba mi się, ale nie zrozumiemy ani słowa — powiedziała.

— Na pewno są napisy. Potem możemy wpaść do Blackhawk. Dave Brubeck przyjechał do miasta.

— Skąd wiesz, że za nim przepadam? — spytała zaskoczona Blanche. — Mam wszystkie jego płyty.

W czasie projekcji filmu nie wszystko ułożyło się po myśli Samuela. Po półgodzinie uznał, że może położyć rękę na oparciu sąsiedniego fotela, a po kolejnych dziesięciu minutach opuścił ją, jak gdyby nigdy nic, na ramiona Blanche. Spojrzała na niego kątem oka, ale nie poruszyła się. Byłoby lepiej, gdyby mógł potrzymać ją za rękę, ale wcinała prażoną kukurydzę z takim zacięciem, jakby od tego zależało jej życie.

Samuel nie miał wielkiego pola do manewru. Dzielnie starał się przytknąć głowę do jej głowy. Siedząca sztywno Blanche nie ułatwiała mu zadania. Samuel wyciągnął szyję najdalej, jak mógł, lecz Blanche była od niego wyższa, więc żeby jej dosięgnąć, musiał trochę się unieść. Takiej pozycji nie mógł długo wytrzymać, więc delikatnie przyciągnął jej głowę do swojej, lecz miał pecha, bo zaczepił okularami o jej włosy. Kiedy próbował się uwolnić, Blanche parsknęła śmiechem i śmiała się coraz głośniej, podczas gdy walczący z okularami Samuel przeklinał spanikowany. Ludzie zaczęli narzekać i w końcu ktoś kazał im być cicho. Blanche nie ściszyła śmiechu, co wprawiło Samuela w jeszcze większe zakłopotanie. W tym momencie ucichła ścieżka dźwiękowa filmu. Mijały minuty — dwie, trzy, pięć — a na ekranie panowała cisza, w której słychać było karcące psykanie pod adresem Blanche. Z westchnieniem ulgi Samuel odzyskał okulary i wkrótce Blanche się uspokoiła. Minęło dziesięć minut, a nie dość że wciąż brakowało dźwięku, to zaczął się

— Idź do kierownika, wysiadł dźwięk — powiedziała Blanche.

Samuel wstał i wyszedł. Po kilku minutach wrócił i wyjaśnił jej, że w filmie *Rififi* jest dwadzieścia minut ciszy.

— Ach, ci Francuzi znów coś wymyślili. Cierpliwości — rzekła, starając się jak najmniej szeleścić torbą z kukurydzą, żeby nie przeszkadzać skupionej widowni.

Kiedy film się skończył, Samuel zmartwił się, że go nie zrozumiał i że Blanche się nie podobało, a na koniec, że się wygłupił. Wyszedł za nią z kina, powłócząc nogami.

— Nadal chcesz się wybrać do Blackhawk? — spytał z obawą.

— Tak, oczywiście — odparła Blanche, ale z mniejszym entuzjazmem niż przedtem.

Podeszli na piechotę do Blackhawk, mijając jedną przecnicę. Samuel opłacił wstęp, po czym usiedli przy stoliku na tyłach klubu. Zamówił szkocką whisky z lodem, a Blanche zamówiła colę.

Kiedy słuchali grającego na pianinie Dave'a Brubecka i wspierających go muzyków, Samuel kątem oka obserwował Blanche. Był szczęśliwy, że nie muszą rozmawiać, bo nie wiedziałyby, co powiedzieć. Skinął na kelnerkę roznoszącą koktajle.

— Poproszę jeszcze jedną szkocką z lodem — zamówił nerwowo.

Wypił drinka dwoma haustami. Niedługo potem zamówił kolejnego.

— Chyba już dość wypieś — zwróciła mu uwagę Blanche.

— Tak, chyba masz rację — odparł bełkotliwie. — Chodźmy stąd.

Przed samym klubem zatrzymał taksówkę i poprosił o kurs pod jej dom w Upper Castro. Podczas jazdy Blanche miała nieprzeniknioną twarz, milczała i siedziała przy samym drzwiach, byle dalej od niego.

— Powiesz coś do mnie, Blanche?

— A co mam powiedzieć? Za dużo wypieś. Szczerze mówiąc, rozczarowałeś mnie, bo świetnie się bawiłam, zanim poszliśmy do klubu.

— Podobał ci się film? — spytał zaskoczony.

— Bardzo mi się podobał.

Zajechali pod jej dom. Samuel wydał ostatniego dolara na taksówkę.

— Bardzo mi przykro, Blanche — rzekł zażenowany.

— Mnie też jest przykro, Samuelu. Idź do domu i prześpij się. I więcej nie pij tyle, kiedy jesteś ze mną. Dobranoc — powiedziała i wbiegła po schodach, ani razu nie oglądając się za siebie.

Samuel wbił ręce w kieszenie, garbiąc ramiona. Upokorzony zaczął iść w stronę swojego mieszkania koło Chinatown. Dzieliło go od niego dwadzieścia przecznic. Był splukany, nie miał nawet na papierosy, ale najbardziej dokuczało mu poczucie, że zaprzepaścił szansę zrobienia wrażenia na Blanche. Doszedł do wniosku, że musi popracować nad stylem zalecania się do niej, co nieraz doradzała mu Melba, a także znaleźć lepiej płatną pracę.

* * *

Minęło kilka dni. Samuel nie mógł się doczekać rozmowy z Charlesem. Chciał wydobyć z niego jak najwięcej informacji na temat ewentualnych tropów łączących Mathew O'Hare ze śmiercią Reginalda Rockwooda. Pożyczył od Melby pieniądze, obiecując, że zwróci jej w następnym tygodniu, i zaprosił Charlesa do Chop Suey Louie's na lunch. Tylko na taką restaurację było go stać.

Przyszli w południe, kiedy było prawie pusto, ale zajęli miejsce przy kontuarze, gdzie lubił przesiadywać Samuel.

— Gdzie twoja matka? Zawsze siedzi w swoim kąciku, a dziś jej nie widzę — powiedział.

— Poszła do wróżki. Nie podoba jej się narzeczona mojego brata.

— A co może zdziałać wróżka?

— Może dowieść, że do siebie nie pasują. I wtedy moja matka będzie uszczęśliwiona — wyjaśnił Louie.

— Pamiętasz mojego przyjaciela Charlesa Perkinsa? Jest prokuratorem w FBI.

— Miło znów pana widzieć, panie Perkins. Widzę, Samuelu, że zadajesz się z szychami. Mam nadzieję, że nie zapomnisz starych przyjaciół i nadal będziesz obstawiał u mnie zakłady — odpowiedział ze śmiechem Louie.

— To chyba jednak nie jest dobry pomysł — odparł Samuel. — Od trzech lat nie wygrałem u ciebie ani jednego.

Charles siedział na ostatnim stołku przed kasą, gdzie zwykle urzędował Louie, a Samuel po jego lewej ręce. Obaj zapatrzyli się w tropikalne ryby pływające w wielkim akwarium dokładnie na wprost nich. Duże ryby uganiały się za małymi, które chowały się w skrzyniach skarbów i dziurach w kawałkach lawy. Goldie znieruchomiała w kąciku, tuż nad piaskiem. Samuel pomyślał, że jest przygnębiona, zupełnie tak jak on.

— Życzą sobie panowie specjalność dnia?

— Pewnie — zgodził się z zadowoleniem Samuel. Wiedział, że danie dnia będzie tanie, a przecież on płacił.

— Proszę bardzo — rzekł Charles.

Louie krzyknął coś po kantońsku w stronę kuchni.

— Czy na ulicy są jakieś przecieki, które można by powiązać z przesłuchaniem Sandovicha? — spytał Samuel.

— Ani słowa — powiedział Charles. — I to jest zaskakujące. Byłem pewien, że wieści się rozejdą i coś z tego do tej pory wyniknie.

— Uprzedzałem, zanim go ściągnąłeś na przesłuchanie. Melba mówiła, że jest płotką — przypomniał Samuel.

— Kto to jest Melba?

— Przyjaciółka. Wie, co się dzieje w mieście. Naprawdę chciałbym złapać zabójcę Rockwooda. Był moim przyjacielem.

— Tylko tyle? A nie chcesz awansować i zostać reporterem? — spytał Charles.

— O tym też trochę myślę — przyznał Samuel, rumieniąc się.

— Już ci mówiłem, że stawiasz mnie w trudnym położeniu, prosząc o poufne informacje. Ale ponieważ pomogłeś mi przy innych okazjach i chcę pchnąć naprzód sprawę twojej kariery, zaproponuję ci połowiczne rozwiązanie. Dostarczę ci informacji nieoficjalnie. Jeżeli ktoś będzie chciał ustalić jej źródło, będziesz udawał głupiego. Krótko mówiąc, nie dostałeś jej ode mnie. Zgoda? — spytał Charles.

— Świetnie. Powiesz mi wszystko, a ja nie pisnę ani słowa.

— Nie, nie wszystko, ale tyle, żebyś pierwszy zgarnął sensacyjny materiał. O ile w ogóle poznamy całą historię.

W tym momencie Samuel spojrzął na akwarium i dostrzegł w nim odbicie dwóch Chińczyków stojących przy wejściu. Zwróciła jego uwagę ich dziwna postawa i jakiś błyszczący przedmiot w ręku jednego z nich. To, co zobaczyły oczy, mózg przerobił ułamek sekundy później. Tym przedmiotem

był wycelowany w niego pistolet maszynowy. Samuel zareagował instynktownie.

— Na ziemię! — krzyknął i ściągnął Charlesa ze stołka na podłogę, padając na niego.

Jednocześnie nadleciały kule, roztrzaskując kontuar, przy którym przed momentem siedzieli, a także akwarium i kasę, gdzie stał Louie. Korytarzyk prowadzący do kuchni też został ostrzelany.

Louie nie wiedział, co go trafiło. Dostał sześć kul w pierś i głowę i zmarł, zanim osunął się na podłogę za kontuarem.

W małej restauracyjce zapanował chaos. Nieliczni klienci albo dali nura pod stoliki albo siedzieli jak sparaliżowani i krzyczeli ze strachu. Woda z akwarium, zmieszana z krwią Louiego, rozlała się po podłodze i wszędzie rzucały się tropikalne ryby. Napastnicy wycofali się i przepadli w chińskiej dzielnicy. Ostrzał trwał kilka sekund, choć zdawało się, że nieskończenie długo.

Wspominając później to zdarzenie, Samuel widział je jak serię fotografii, z każdym ujęciem utrwalonym na wieczność. Dobrych kilka minut minęło, nim dotarło do obecnych, że jest już po wszystkim i mogą zacząć działać. Samuel potrząsnął Charlesem, który cały czas leżał pod nim.

— Nic ci nie jest? — spytał, kiedy wreszcie mógł dobrać głos.

— Nic mi nie jest — odparł Charles, dygocząc. Jeszcze nie rozumiał, co się właściwie stało.

— Louie! — krzyknął ktoś w tym momencie i kilka osób pobiegło tam, gdzie przed chwilą stał.

Samuel, który znajdował się najbliżej, rzucił się za kontuar, do leżącego tam martwego ciała. Było zmasak-

Jakimś cudem w kuchni nikt nie został ranny, choć szkody materialne były widoczne. Dwie osoby dostały hysterii, a reszta już wcześniej z wrzaskiem uciekła tylnym wyjściem. Ktoś wezwał policję i niebawem dały się słyszeć syreny wozów policyjnych.

Charles wziął się w garść i jakoś dostał się do telefonu. Zadzwoił do FBI.

— Wezwij karetkę! Wezwij karetkę! — krzyknął Samuel, rozpaczliwie usiłując przywrócić do życia martwego przyjaciela.

— Daj spokój, Samuelu, on nie żyje — powiedział Charles.

Nachylił się i delikatnie odciągnął płaczącego Samuela od trupa.

W ciągu następnych kilku minut przy drzwiach zebrał się tłum — cisnący się gapie zaglądali do środka, żeby zobaczyć, co się stało. Wozy policji, FBI i pogotowia przyjechały jednocześnie. Policjanci przegonili ciekawskich spod restauracji i zaczęli odgradzać ulicę, a młody oficer z notatnikiem zaczął wypytywać potencjalnych świadków. Dwóch sanitariuszy chciało zabrać Samuela do karetki. Trudno ich było przekonać, że ma na sobie krew Louiego, nie swoją. Charles pokazał im legitymację, wziął Samuela pod rękę i zaciągnął do wyjścia. Kiedy mijali wóz patrolowy, zaparkowany z migającymi światłami, Perkins kazał policjantowi wezwać lekarza sądowego, ponieważ w restauracji leżał zabity człowiek.

— Jest ranny? — spytał policjant, mając na myśli Samuela.
— Nie. Ale musi iść do domu — odparł Charles, znów okazując legitymację.
Policjant skierował ich do drugiego wozu patrolowego. Charles podał kierowcy adres i wóz z wyjącą syreną ruszył powoli, przebijając się przez gęstniejący tłum.
— Kto to, kurwa, zrobił? — spytał Samuel w szoku, patrząc na zakrwawione ręce i ubranie.
— Nie rozumiesz, ci dranie chcieli dostać nas! — krzyknął Charles.
— Takiego odzewu się spodziewałeś, kiedy przesłuchiwałeś Sandovicha?
— Oszalałeś? Gdybym przewidywał coś takiego, to bym, cholera, nie wybrał się do Chinatown — rzucił roztrzęsiony Charles.
— Zabili Louiego! On nie miał z tym nic wspólnego — szepnęła Samuel z twarzą ukrytą w dłoniach.

* * *

Śmierć Chop Suey Louiego — popularnego, energicznego członka społeczności — okryła Chinatown żałobą. Samuel winił siebie za to, co się stało. Po części słusznie. Gdyby nie wpadł na pomysł, żeby tego dnia iść na lunch do restauracji, jego przyjaciel nadal by żył.

Próbował skontaktować się z matką Louiego, żeby złożyć jej kondolencje, ale nie chciała go widzieć. Służąca, która otworzyła drzwi, poinformowała go, że pani starsza wini go za zabójstwo syna. Zawsze myślała, że rude włosy Samuela to znak diabła i życie to potwierdziło. Samuel dowiedział się,

że reszta rodziny mieszka w Waverly Place, ale nie wystarczyło mu odwagi, by odszukać ją w labiryncie uliczek.

Najbliższą niedzielę miało wypełnić oplakiwanie Louiego. Samuel nie czuł się na siłach żegnać przyjaciela samemu, więc umówił się z Melbą i Blanche w kostnicy Green Street w North Beach, dzielnicy włoskiej. Obie kobiety przyszły ubrane na czarno, w małych czarnych kapelusikach, natomiast Samuel włożył jedyny porządny garnitur, wyprasowany starannie jak rzadko. Miał też na sobie czystą białą koszulę i czerwony krawat w paski. Z daleka widać było, że ma zaczerwienione oczy.

— No, no, moje dziecko, przystojnie wyglądasz — zażartowała Melba, poprawiając mu krawat.

— Bardzo ci współczuję z powodu utraty przyjaciela — rzekła Blanche, poruszona widocznym smutkiem Samuela.

— Dlaczego jesteśmy we włoskiej kostnicy? — spytała Melba.

— Obsługują w większości Chińczyków. Właścicielowi domu pogrzebowego jest wszystko jedno, jakiej rasy są klienci — powiedział Samuel.

— Czy ja dobrze widzę? Przed domem pogrzebowym czeka orkiestra? — spytała Blanche.

— Kiedyś to była chińska orkiestra dęta biorąca udział w paradach. Teraz nazywa się orkiestrą przy kostnicy Green Street. Grają na większości chińskich pogrzebów — wyjaśnił Samuel.

— Ale w tej orkiestrze nie widać Chińczyków — zauważyła Blanche.

— To dlatego, że Chińczycy nie chcieli wstąpić do związku

zawodowego muzyków Local Six, więc orkiestrę przejęli biali. Dla Louiego to nie miało znaczenia. Kochał ich muzykę. Za każdym razem, kiedy restaurację mijał kondukt pogrzebowy, wyciągał mnie na ulicę i z dumą pokazywał orkiestrę. Mówił, że z taką pompą żegna się zmarłych tylko w chińskiej dzielnicy San Francisco, nigdzie indziej w kraju — wspominał Samuel ze łzami w oczach.

Dom pogrzebowy zachował włoski wystrój: na ścianach kopie renesansowych obrazów przedstawiających świętych, a w niszach po obu stronach sali ich posągi na piedestałach, atmosfera katolickiego kościoła dla buddyjskich klientów. Z przodu na podwyższeniu stała zamknięta trumna Louiego otoczona wieńcami z różnych kwiatów, na trójnogach. Przez każdy wieniec biegła ukośnie czerwona wstęga z chińskimi znakami. Salę wypełniali luminarze i zwykli ludzie. Obok wdowy i trójki dzieci Louiego usiedli burmistrz i komendant policji. Matka siedziała w pierwszym rzędzie, nieporuszona, niema, nie mogąc uronić łzy. Po długim kazaniu w języku chińskim i krótszym po angielsku żałobnicy wyszli frontowymi drzwiami. Samuel wyjaśnił, że każdy częstuje się cukierkiem, żeby zabić smak śmierci. Żałobnicy przeszli na jedną stronę schodów prowadzących na ulicę, a orkiestra ustawiła się po drugiej stronie.

Gdy u szczytu schodów pokazała się trumna, zabrzmiał werbel, żałobnicy znieśli trumnę po schodach i postawili na karawanie. Za nimi podążało dziesięć płaczek w czerni, z welonami opadającymi na twarz. Szlochały rozdzierająco.

— Biedny człowiek, zostawia tak liczną rodzinę — rzekła poruszona Melba.

— To nie jest jego rodzina. To płaczki wynajęte przez rodzinę. Chińczycy nie lubią okazywać smutku, dlatego płacą innym, żeby to za nich zrobili — powiedział Samuel.

Następnie po schodach domu pogrzebowego zeszła rodzina, a za nią reszta tłumu. Niektórzy nieśli papierowe domy, samochody, a nawet papierowy most.

— Po co to wszystko? — spytała Melba.

— To są rzeczy, których będzie potrzebował po drugiej stronie. Zostaną spalone na grobie.

— Myślałam, że był buddystą — zdumiała się Blanche, gdy orkiestra zaczęła grać chrześcijański hymn.

— Był, ale Chińczycy w San Francisco lubią, kiedy orkiestra gra chrześcijańskie hymny i robi jak najwięcej hałasu — wyjaśnił Samuel. — To odstrasza złe duchy.

Przed karawanem, lecz za orkiestrą, ruszył czerwony cadillac kabriolet z opuszczonym białym dachem i ogromną fotografią uśmiechniętego Chop Suey Louiego na tylnym siedzeniu. Za karawanem pojechały limuzyny z rodziną, a potem auta pozostałych żałobników, razem z wysłużonym dwudrzwiowym fordem Melby. Kondukt podążył Green Street do Columbus, a z Columbus skręcił w prawo do Stockton. Kiedy zaś wjechał do Chinatown, na karawan posypały się papierowe pieniądze.

— Patrzcie! — wykrzyknęła Melba.

— Fałszywe. Tak zwane pieniądze duchów. Są pośrodku rozcięte, żeby zachęcić złośliwe duchy i duszki do przedstawiania się przez szparkę. Są tym tak zaprzątnięte, że nie przeszkadzają zmarłemu w osiągnięciu celu, do którego zmierza. Zwróć uwagę, że pieniądze duchów zaczęto sypać

dopiero w Chinatown. A to dlatego, że prawo San Francisco zabrania śmiecenia, a wyjątek robi tylko dla chińskich pogrzebów na terenie Chinatown — wyjaśnił Samuel.

Przechodnie na ulicy nie przerywali zakupów, gdy kondukt posuwał się Stockton, skręcił w Clay, a potem znów w Grant Avenue, główną ulicę starego Chinatown, z dużymi fałszywymi pagodami, z jaskrawoczerwonymi i zielonymi drzwiami. Wreszcie kondukt dotarł do Waverly Place, gdzie się zatrzymał. Po obu stronach ulicy zebrał się wielki tłum. Orkiestra grała nieprzerwanie. Zadudnił mocniej bęben, głośniej zadźwięczały cyzyle. Nowy deszcz pieniędzy duchów spadł niczym konfetti na kondukt.

Orkiestra zatrzymała się po raz ostatni przed domem Chop Suey Louiego, aby ułatwić mu pogodzenie się z faktem, że już nie żyje. Naturalnie przez kilka dni po śmierci duch miał prawo być zdezorientowany, a ostatnie odwiedziny dawnego domu dawały mu czas na dostosowanie się do nowego stanu. Potem mógł ruszyć w dalszą drogę, wyjaśnił Samuel Blanche i Melbie.

— To dlatego otworzono drzwi karawanu? — spytała Blanche.

— Właśnie. I znów rzucają pieniądze, żeby odciągnąć uwagę duchów.

Samuel rozejrzał się i zobaczył wśród tłumu wielu policjantów. Niektórzy z nich robili zdjęcia gapiom. Spostrzegł pana Songa i jego asystenta oraz młodą siostrzenicę. Wszyscy troje pochylili głowy, oddając cześć zmarłemu. Zauważył też jednorękiego mężczyznę, który stał na skrzyni po pomarańczach i obserwował wszystko dokoła, bardziej zajęty przy-

glądaniem się gawiedzi niż uczestnictwem w kondukcje żałobnym. Od głośniejszej muzyki aż drżała ulica.

— Hałas jak na zabawie tanecznej, a nie na pogrzebie — zauważyła Melba.

— W pewnym sensie to jest zabawa — rzekł Samuel. — To świętowanie życia, choć ma ono przede wszystkim pomóc Louiemu dostać się na drugą stronę.

— Jeżeli już trzeba odejść, to można i tak — powiedziała Melba. — Powodzenia, Louie, szczęść Boże!

* * *

Charles Perkins siedział posepny przy małym stoliku w zagraconym biurze. Błyszczącą niebieską marynarkę odwiesił na krzesło, rękawy pogniecionej białej koszuli podwinął do łokci. Blond włosy przetłuściły mu się jeszcze bardziej niż zwykle. Uzbrojony szeryf wprowadził Samuela. Czekając na niego, Charles odsunął na bok poplamione kawą sterty papierów, robiąc wolne miejsce na pokrytym zieloną skórą blacie stołu, żeby pobawić się kostkami domina. Teraz właśnie patrzył jak jedna po drugiej się przewraca, aż do

— Wszystkich załatwiłeś? Zadowolony? — spytał Samuel, rozglądając się, gdzie by tu usiąść w tym niezmiernym bałaganie.

— Taaa. Pobożne życzenia — odparł Charles, dopiero teraz zwracając uwagę na swojego gościa. — Pracuję w prokuraturze federalnej od lat. Oskarżałem wielu przestępców, a niektórzy z nich byli naprawdę źli. Ale jeszcze nikt, Samuelu,

nikt nie próbował mnie zabić. To się zdarzyło pierwszy raz. I jest denerwujące — dodał z udręką na twarzy.

— Wiem, o czym mówisz. Ja też źle spałem. — Samuel wyjął pogiętą paczkę phillip morrisów, przytknął do ust i wyciągnął wargami zmiętego papierosa. — Zachodziłem w głowę i próbowałem dociec, czy jakaś informacja, którą przekazałeś Sandovichowi, mogła tych drani sprowokować. — Rozkaszlał się i zasłonił usta ręką.

— Wzięliśmy go na spytki i maglowaliśmy przez sześć godzin, ale nic z niego nie wydusiliśmy.

— Ty tu jesteś szefem, Charles — rzekł Samuel, zapalając papierosa. — Ale myślę, że idziesz złym tropem. Sandovich nie wpłatałby się w coś takiego, ryzykując, że straci to, co ma.

— Wiem, Samuelu, zadawaliśmy się z szanownym sierżantem nie po to, żeby go o coś oskarżyć, ale po to, żeby wydobyć z niego nazwiska wszystkich ludzi, z którymi rozmawiał po naszym spotkaniu sprzed paru tygodni. Utrzymywał, że nie rozmawiał z nikim, a jedyną osobą, która wiedziała o tym spotkaniu, oprócz nas samych, był jego przełożony. A kapitan, który kieruje obyczajówką w Chinatown ma nieskazitelną opinię. Jednak na wszelki wypadek będziemy go mieć na oku — powiedział Charles. — Założyliśmy podsłuch na telefonie Sandovicha. Zobaczymy,

— A może spojrzeć szerzej — zaproponował Samuel. — Melba przypomniała mi o odkryciu schowka Reginalda u pana Songa. Ciekawe, co się okaże, jeśli ustalimy, kto o tym wiedział? W tej chwili nie przychodzi mi do głowy, kogo

naraziliśmy na zdemaskowanie. Może to właśnie ten ktoś chciał nas się, pozbyć, jak sądzisz?

— Zostawiam te domysły tobie. Chwilowo mam pełne ręce roboty w związku z Mathew O’Harą. Chce iść na pewien układ, jak twierdzi jego adwokat.

— Jaki układ?

— Przyzna się do winy pod warunkiem, że zarzut będzie dotyczył lżejszego przestępstwa — wyjaśnił Charles.

— Czy to znaczy, że nie pójdzie do więzienia? — spytał Samuel.

— Pójdzie siedzieć, a jakże. Dowie się, jak żyje druga połowa społeczeństwa — rzekł Charles, celując w Samuela wskazującym palcem. — A na ile pójdzie siedzieć, to już zależy od tego, co nam powie.

Mathew próbuje się układać

Hiram Goldberg, tryskając jak zwykle optymizmem, trzepnął terminarzem w nogawkę spodni od ciemnobrązowego prążkowanego garnituru. Towarzyszył mu duszący zapach wody po goleniu. Strażnik za biurkiem w izbie przyjęć więzienia okręgowego w San Francisco, krzepki Irlandczyk z belkami sierżanta na rękawach przyblakłego niebieskiego munduru, skwitował uśmiechem

— Znów chce się pan widzieć z panem O’Harą, panie mecenasie? Coś się chyba szykuje — powiedział, pokazując sporą przerwę między przednimi gębami.

— Kolejny nudny dzień — odparł Hiram, podając mu karton lucky strike’ów. — Dobrze o niego dbacie?

— Oczywiście, panie mecenasie. Nie tylko o niego dbamy, ale chronimy go jak brata.

— A więc to prawda, że wy, Irlandczycy, trzymacie się razem — rzekł Hiram.

— Tu idzie o coś więcej, panie mecenasie. Kiedy któryś z nas odniesie sukces, jak pan O'Hara, jesteśmy z tego dumni, dlatego chcemy, żeby wyszedł stąd bez szwanku — wyjaśnił strażnik, bardziej rozmowny dzięki papierosom.

— Który jestem na liście gości?

— Trzeci. Są tylko dwa pokoje do rozmów z adwokatem. Myślę, że za pół godziny jeden się zwolni. Jeżeli ma pan do załatwienia inne rzeczy, zarezerwuję panu okienko.

— Dziękuję. Muszę się zgłosić w wydziale szesnastym. Niedługo wrócę.

Strażnik wstał. Koszula opinała mu wydatny brzuch. Posturą przypominał niedźwiedzia, ale Hiramowi podał miękką dłoń.

— Do zobaczenia — rzekł Hiram, mocno nią potrząsając.

* * *

Godzinę później Hiram siedział przy małym stoliku naprzeciw Mathew O'Hary. Przez małe okienko w drzwiach wpadał do pokoju od strony korytarza promień słońca. Stały tu tylko dwa składane krzesła i stół w takim samym szarym kolorze jak betonowe ściany.

Mathew miał ponurą minę i worki pod orzechowymi oczami. Krótko ostrzyżone brązowe włosy jeszcze mu nie odrosły, był gładko ogolony. Nawet w szarym więziennym stroju wzbudzał, jak zawsze, szacunek.

— Za mało pan śpi? — spytał Hiram.

— A czy w tych pieprzonych murach można się wyspać?! — odparł Mathew. — I do tego żona zapowiedziała, że się ze mną rozwiedzie. Tego mi tylko brakowało.

— Zna pan najlepszych adwokatów rozwodowych w mieście. To powinno pana pocieszyć.

— Pewnie — rzekł szyderczo Mathew. — Zatrudniłem pięciu najlepszych, żeby żadnego z nich nie dostała w swoje łapki. Rozumie pan, konflikt interesów. Co z tego. Wcale mi to nie pomaga wydostać się z tego bagna, w które wpadłem. Ale nie przyszedł pan tu po to, żeby gadać o tamtym. Czemu ja tkwię w tym srajdole? Czy to nie federalni mnie oskarżają?

— Federalni mają umowę z San Francisco. Ich więźniowie są krótkoterminowo przetrzymywani w lokalnych więzieniach do czasu rozpoczęcia procesu.

— Kiedy stąd wyjdę? — spytał Mathew.

— Kiedy zawrzemy układ albo wykręci się pan sianem — odparł Hiram.

Mathew roześmiał się cynicznie.

— Niech mi pan nie wciska kitu. Wie pan równie dobrze jak ja, że nie mogę uniknąć kary. Nakryli mnie i tyle. Na co mogę liczyć w najlepszym razie?

— Prawdopodobnie sześć lat plus czterdzieści tysięcy grzywny i pięć lat nadzoru sądowego. Pod warunkiem, że przyzna się pan do winy i udzieli użytecznych informacji.

— Nie jestem pewien, czy mam jakieś użyteczne informacje — rzekł Mathew. — O Xsing Chingu już wiedzą. Dzięki temu dostali mnie. Mogę potwierdzić, że robiłem z nim interesy.

— Chcą czegoś więcej. Na przykład informacji wyjaśniającej, kto w Chinatown próbował zabić prowadzącego pańską sprawę prokuratora federalnego.

— Co takiego?! — krzyknął Mathew.

Hiram zobaczył zaskoczenie malujące się na twarzy O'Hary, ale w duchu zadał sobie pytanie, czy aby na pewno jest prawdziwe.

— Myślę, że miałem z tym coś wspólnego? — spytał Mathew. — Nie jestem mordercą!

— Wiem. Uspokój się, człowieku. Prowadzą dochodzenie w celu ustalenia, czy śmierć tego Reginalda jak mu tam w jakiś sposób była powiązana z pańską transakcją. Chcą dowiedzieć się od pana wszystkiego, co ewentualnie mogłoby powiązać te dwa fakty.

— Mówi pan o Rockwoodzie?

— Tak, o tym gościu, który zawsze chodził w smokingu. Czy to prawda, że mieszkał w schowku dozorca?

— To, o czym mówimy, pozostaje tylko między nami?

— Tak. Nic nie wyjdzie poza ściany tego pokoju, jeżeli nie będzie pan sobie tego życzył — zapewnił Hiram.

— Szczerze mówiąc, niewiele o nim wiem. Słyszałem, że mieszkał w schowku tam, gdzie pracował. Często widywałem go w Camelocie, czasami fundowałem drinka. Zapłaciłem informatorowi, żeby zdobył informacje o szantażystce i w ten sposób dowiedziałem się, że był nim Rockwood.

— Jakie informacje pan zdobył? — spytał Hiram.

— Ktoś wiedział, że będą sprzedawane na czarnym rynku chińskie dzieła sztuki. Ponieważ ja je kupowałem, chciałem przed dokonaniem transakcji mieć pewność, że nie zostanie wykryta. No i proszę, jak na tym wyszedłem — dodał Mathew, wzruszając ramionami. — Moim informatorem był Chińczyk. Mogę go opisać. Melba była w barze tego wieczoru, gdy przyszedł, i na pewno może potwierdzić mój opis. Nie zapom-

niałaby kogoś, kto tak wyglądał! Ale myślę, że powinien pan porozmawiać z Samuelem Hamiltonem. Sprzedaje ogłoszenia w gazecie. Kumpłował się z Rockwoodem. Kto jak kto, ale to właśnie on powinien wiedzieć, co się dzieje w związku z jego śmiercią.

— Jeżeli powie pan wszystko, co pan wie, o śmierci Rockwooda i o transakcji z Xsing Chingiem, a także pójdzie pan na współpracę, zgodzą się na sześć lat — rzekł Hiram. — Mógłby pan wyjść po trzech, przy dobrym sprawowaniu. Ale jeżeli pomyśla, że miał pan cokolwiek wspólnego z jego śmiercią, ma pan przerąbane. Musimy bardzo ostrożnie przedstawić te informacje.

— A jeżeli nic nie powiem?

— Zakładając, że chodzi tylko o dzieła sztuki i ława przysięgłych uzna pana winnym, może pan dostać dziesięć lat i siedemdziesiąt tysięcy dolarów grzywny.

Mathew nie musiał długo się zastanawiać.

— Rzykowałem fortunę, biorąc się za ten pieprzony interes. Żeby zapłacić taką grzywnę, musiałbym sprzedać towar, który chcę zatrzymać. Niech pan pójdzie na ten układ, tylko nie wpakuje mnie w gorsze tarapaty niż teraz.

* * *

Po kilku bezowocnych próbach porozumienia się z Charlesem Perkinsem przez telefon Hiram Goldberg umówił się na spotkanie w jego biurze. Zanim się tam dostał, zrewidował go jeden z trzech uzbrojonych szeryfów chroniących Charlesa, który dostał bzika na punkcie bezpieczeństwa od czasu strzelaniny u Chop Suey Louie'ego.

Kiedy wszedł do biura, Charles miał nogi na biurku, siedział odchyłony na krześle i czytał gazetę. Hiram nie widział jego twarzy. Zobaczył tylko sterty papierzysk, wśród których „wyrąbano” miejsce na stopy Charlesa. Z boku stał stolik z blatem obitym zieloną skórą, gdzie wśród plików dokumentów leżały porozrzucane kostki domina. W kącie pokoju stały pudła z aktami, każde z napisem, jakiej sprawy dotyczą. Kilka z nich Hiram pamiętał.

— Hiram Goldberg, panie Perkins. Przyszedłem omówić z panem sprawę O’Hary. Jestem jego adwokatem.

— Wiem, kim pan jest — oświadczył Charles, opuszczając gazetę i zdejmując nogi z biurka. Złożył gazetę i wcisnął ją do przepelnionej szuflady. — Przepraszam, przeglądałem wiadomości. Od kilku dni próbuje się pan ze mną skontaktować. W czym rzecz?

— Chciałbym się przekonać, czy uda nam się osiągnąć jakieś porozumienie w sprawie pana O’Hary.

— Zależy, z czym przyjdzie do negocjacji.

Hiram postawił na podłodze czarną skórzaną teczkę ze złotymi inicjałami i wetknął palec za uciskający go kołnierzyk koszuli, żeby złapać oddech. Charles spostrzegł tłuste krople na kędzierzawych włosach i poczuł mocny zapach wody kolońskiej.

— Pan O’Hara niewiele wie na temat tej ubocznej sprawy, o którą pan pytał. Mam na myśli sprawę tego Rockwooda — rzekł Hiram. — Może jedynie podać opis mężczyzny, który powiedział, że człowiek w smokingu został unieszkodliwiony. Widział go mniej więcej tydzień przed aresztowaniem.

— Po co się z nim widział?

— Próbował zdobyć informacje. Wszystko wskazuje na to, że Rockwood szantażował Xsing Chinga.

— Skąd Rockwood wiedział o sprzedaży dzieł sztuki?

— Właśnie tego chciałby się dowiedzieć mój klient.

— Czy O'Hara zapłacił Xsing Chingowi?

— Niemożliwe, do transakcji przecież nie doszło. Tacy ludzie zawsze zabezpieczają sobie tyły. Na pewno pan to wie. Mój klient nie wypuściłby gotówki z rąk, dopóki dzieła sztuki nie znalazłyby się w jego posiadaniu.

— Wiemy, że wziął z banku pół miliona — rzekł Charles.

— Gdzie są te pieniądze?

— Dlaczego przypuszcza pan, że ma to związek ze sprawą?

— Niech mnie pan nie bierze za głupca, panie Goldberg.

— Mój klient nie musi ujawniać, co robi z pieniędzmi, jeżeli pochodzą z legalnych źródeł. Zapewniam, że Xsing Ching ich nie dostał. Gdyby wyrok skazujący objął wszystkie zarzuty, jakiej wysokości byłaby grzywna?

— To się okaże — odparł Charles. — Proszę opowiedzieć o tej dziewczynie.

— O kim?

— Wie pan, o kim mówię. O tej Dimitri. Jaka jest jej rola?

— Prasa podała, że była kochanką O'Hary, lecz on zapewnił mnie, że utrzymywali wyłącznie stosunki zawodowe. Zabawiała jego klientów — wyjaśnił Hiram.

— I pan wierzy w tę bajeczkę?

— Czemu nie? O'Hara nie dopuściłby do sytuacji, w której seksualne zauroczenie przeszkadza mu w interesach. Kiedy jego żona przeczytała w gazetach o kochance, wniosła pozew o rozwód. Nie będzie pan mógł oskarżyć Dimitri o nic więcej ponad to, że rozbiła małżeństwo — powiedział Hiram

z sarkastycznym śmiechem.

— Muszę się jeszcze temu przyjrzeć. Jeżeli to, co pan mówi, się potwierdzi, zrobię z tego sprawę.

— Mój klient chce wiedzieć, czego się spodziewać.

— Tego, o czym już mówiliśmy. Czterdzieści tysięcy dolarów grzywny i sześć lat paki — odparł Charles. — Jeżeli wszystko się potwierdzi.

— Kiedy mnie pan powiadomi? — spytał Hiram.

— W ciągu tygodnia.

Każdy dorzuca swoje trzy grosze

Samuel wszedł do sklepu Chińskie Zioła Pana Songa. Dzwonek nad głową obwieścił jego przybycie już od samego progu i dźwięczał cały czas, gdy szedł do kontuaru z czarnej laki. Zza zasłony z koralików wyszedł asystent zielarza i wyciągnął szyję, usiłując przypomnieć sobie klienta.

— Chciałbym rozmawiać z panem Songiem — rzekł Samuel.

Asystent znikł za zasłoną i po chwili zjawił się pan Song. Samuela na nowo zaskoczył dziwny wygląd Chińczyka albino-sa ubranego w szary kaftan z zawilými haftowanymi wzorami wrobionymi w tkaninę aż po stójkę. Pan Song miał czarne spodnie i czarną czapkę. Podeszedł do kontuaru i skinął głową lekko, jakby składał powściągliwy ukłon. Poznał swojego gościa.

— Przyszedłem prosić o lek na palenie — wyjaśnił Samuel. Pan Song skinął na asystenta, a gdy ten podeszedł, szepnął

mu coś na ucho. Asystent szybko wyszedł ze sklepu, a pan Song zachęcił Samuela, by usiadł na jednym z dwóch dostępnych krzeseł. Samuel usiadł i pan Song zaczął mu się przyglądać zaczerwienionymi oczkami. Poddany niezwykle skrupulatnym oględzinom Samuel miał szczerą ochotę stamtąd wyjść.

Nie miał wątpliwości, że albinos szybko się zorientuje, iż jego prośba o wyleczenie z nałogu palenia jest jedynie pretekstem do próby zdobycia informacji. Zapewne tracił czas. Byłby to nie lada wyczyn, gdyby wyciągnął coś z tego tajemniczego człowieka, który nie mówił po angielsku, choć Samuel podejrzewał, że rozumie więcej, niż daje po sobie poznać.

Niebawem powrócił asystent wraz z siostrzenicą pana Songa. Dziewczyna z wystającymi zębami zmieniła wygląd. Nie była ubrana w mundurek szkoły baptystów, a czarne włosy miała przycięte krócej, we fryzurkę z grzywką. Powitała wuja i zwróciła się do Samuela.

— Mój czcigodny wuj jest do pańskiej dyspozycji. Co może dla pana zrobić? — spytała.

— Chciałbym rzucić palenie i proszę o pomoc — powiedział z poważną miną, lecz głosem pełnym wahania.

Siostrzenica wyjaśniła cel wizyty panu Songowi. Ten skinął głową ze zrozumieniem i odpowiedział po kantońsku:

— Przyszedł we właściwe miejsce. Powiedz, żeby udał się za mną.

Zielarz przeszedł przez zasłonkę z koralików i przytrzymał ją jedną ręką, żeby Samuel mógł przejść swobodnie razem z dziewczyną. Wprowadził oboje na tyły sklepu i wskazał

fotel stojący przed chińskim parawanem z malowniczym widokiem gór. Samuel został zachęcony do zajęcia miejsca w świetle silnej lampy.

— Wuj pana zahipnotyzuje, żeby przestał pan palić — wyjaśniła dziewczyna. — Potem da panu chińskie zioła, żeby leczenie było skuteczniejsze.

— Ile to mnie będzie kosztowało?

Pan Song uniósł dwa palce.

— Dwa dolary za wizytę — rzekła. — Będzie pan musiał przychodzić codziennie przez cały tydzień.

— W sobotę i niedzielę też?

— Oczywiście. To poważna terapia — zapewniła.

Samuel zobaczył nad sobą różowe oczka. Pan Song wpatrywał się w niego w wielkim skupieniu znad okularów, jednocześnie nawijając na długie blade palce delikatny łańcuszek zakończony złotym medalionem.

— Pan Song mówi, że zna pana całe Chinatown — przetłumaczyła dziewczyna.

— Jak to? — spytał z lekka zaniepokojony Samuel.

— Ludzie mówią, że przyjaźnił się pan z Louiem.

— Widziałem ciebie i pana Songa na ulicy w dniu pogrzebu Louiego. Powiedz, że celem zabójców byłam ja i prokurator FBI.

— On już o tym wie — odparła dziewczyna.

— A czy wie, dlaczego chciano nas zabić?

— Mówi, że może weszliście tam, gdzie nie powinniście.

Samuel usiadł prosto. Nie mógł uwierzyć, że spod nieprzeniknionej maski wychynął pan Song i gotów jest odpowiadać na jego pytania.

— Czy ma na myśli, że zbyt blisko podeszliśmy do Xsing Chinga handlującego chińską sztuką?

Zielarz zakasłał i zapalił glinianą fajkę. Zabawna sytuacja, pomyślał Samuel, który przecież przyszedł tu, żeby rzucić palenie.

— Nie do Xsing Chinga, to zwykły biznesmen, ale do czegoś o wiele... — Urwała raptem i przez dłuższą chwilę konferowała z panem Songiem po kantońsku. Samuel słyszał, że jedno słowo wymawiają ze szczególnym naciskiem, przerywając się nim wielokrotnie. W końcu dziewczyna zwróciła się do Samuela:

— Zna pan słowo złowróźbny?

— Oczywiście. A co?

W kolejnej krótkiej rozmowie znów powtórzyło się kilka razy to samo chińskie słowo.

— Mój czcigodny wuj nie ma nic więcej do powiedzenia na ten temat. Pyta, czy jest pan gotów rozpocząć leczenie? — spytała uroczyście.

— Pewnie, że tak — odparł Samuel, rozmyślając nad słowem „złowróźbny” i wpatrując się w złoty medalion na łańcuszku, wprawiany w kołyszący ruch dłonią pana Songa, aż zupełnie stracił poczucie czasu.

* * *

Samuel nie wierzył w dziwaczne leczenie, któremu poddawał się przez cały tydzień w sklepie zielarskim, ale nie opuścił ani jednej sesji. Próbował na nowo wciągnąć zielarza w rozmowę, i to kilka razy, ale Song ukrył się za tarczą milczenia. Z braku tłumaczki porozumiewali się językiem

gestów — wyciągnięty palec był znakiem dla Samuela, że ma spożyć górę przepisanych ziół. Ku swemu zdumieniu, gdy nadszedł dzień szósty, poczuł lekkie mdłości na samą myśl o zapaleniu papierosa, drażnił go nawet zapach tytoniu. Uznał, że może już pokazać się w Camelocie.

Excalibur, ledwie poczuł Samuela, zaczął potrząsać kuprem, tańcząc taniec szczęścia. Radosne powitanie uszczęśliwiło z kolei Samuela, który poczuł się tak, jakby wrócił na łono rodziny. Siedząca przy barze Melba uśmiechnęła się szeroko i skinęła, żeby się do niej przysiadł, zduszając papierosa w popielnicze pełnej niedopałków ze śladami jej szminki. Dmuchięła dymem w stronę Samuela. Nim usiadł, musiał odczekać, aż dym się rozwieje, mimo to nagle zrobiło mu się niedobrze. Melba postawiła na kontuarze szkocką z lodem. Odmówił i poprosił o wodę sodową.

— Gdzieś ty u diabła bywałeś? — spytała Melba. — Co ci się stało w palce?

— Nie uwierzysz, Melbo, rzuciłem palenie — odparł, patrząc na oklejone plastrami czubki palców.

— Bujasz. Po co miałbyś to robić?

Samuel zaśmiał się nerwowo i pogłodził rękawy nowej marynarki khaki bez wypalonych dziurek. Kupił ją w sklepie z używanymi rzeczami, ale wyglądała prawie jak nowa.

— Plastry są po to, żeby nie obgryzał paznokci. Końce palców mam takie, jakbym wetknął je do maszynki do mięsa.

— Więc teraz zamiast palić papierosy, obgryzasz paznokcie.

— Tylko wtedy, kiedy naprawdę zachce mi się papierosa. Minął dopiero tydzień. To pan Song dokonał tego cudu. Powinnaś spróbować.

— Wygląda na to, że lek jest gorszy od choroby. — Melba sięgnęła po papierosa, ale rozmyśliła się, odłożyła paczkę z powrotem i puknęła w nią dwoma palcami.

— A spytałeś pana Songa, czy wyleczy cię też z obgryzania paznokci?

— Tak, ale powiedział, że to by kosztowało więcej niż leczenie z nałogu palenia, a zresztą pewnie i tak samo mi przejdzie — wymamrotał i wzruszył ramionami.

Melba roześmiała się.

— Co za ulga. Na miły Bóg, przy takich komplikacjach w ogóle nie warto próbować.

— Muszę z tobą porozmawiać — rzekł Samuel, omiatając spojrzeniem zakątki baru. — Ale najpierw spytam, czy Blanche jest w mieście.

— A jakże. Lada chwila tu przyjdzie. Słyszałam, że w Blackhawk zachowałeś się jak ostatni palant.

— Tak ci powiedziała? To prawda. Za dużo wypilem. Byłem trochę zdenerwowany. Pewnie jest na mnie wściekła.

— Nie chowa uraz w sercu. Da ci jeszcze jedną szansę.

— Świetnie. — Samuel przygryzł wargę. — Rzucenie palenia to właściwie korzystny skutek uboczny. Tak naprawdę poszedłem do pana Songa po informacje.

— O czym?

— O śmierci Reginalda i Louiego. Pan Song zaczął mówić, ale szybko przestał, jakby zorientował się, że za dużo powiedział. Przez resztę tygodnia tylko mnie hipnotyzował i nic nie mówił. Pierwszego dnia przysłała jego siostrzenica, która tłumaczyła rozmowę. Spytałem wprost, czy ludzie, którzy usiłovali nas zabić, byli powiązani z Xsing Chingiem i chińską

sztuką. Song zaczął odpowiadać, ale potem razem z siostrzenicą uczepili się jednego słowa i zaczęli się nim przerzucać. Ta ich rozmowa przypominała przeciąganie liny.

— Jakie to było słowo?

— Złowróźbny.

— Naprawdę użył słowa złowróźbny?

— Tak, użył tego słowa, oczywiście po chińsku. Powiedział, że jest coś o wiele bardziej złowróźbnego niż nielegalny handel chińską sztuką. Dlatego ktoś chciał zabić mnie i Perkinsa.

— Wszyscy wiemy, że w tym mieście nawet policjanci popełniają przestępstwa i ulegają korupcji. Wyobraź sobie tylko, jakie rzeczy dzieją się w Chinatown — podsumowała Melba, jedną ręką chwytając papierosa, a drugą wsuwając we włosy potraktowane niebieską płukanką. Wetknęła papierosa do ust, ale go nie zapaliła.

— Potem Song nie chciał w ogóle poruszyć tego tematu. Widziałem się z nim codziennie przez tydzień i nie udało mi się wycisnąć z niego ani słowa więcej. Zachowywał się tak, jakby powiedział mi za dużo.

— Mówiłeś, że ten jego sklep działa jak bank. To znaczy, że Song wie o wszystkim, co dzieje się w Chinatown, ale oczywiście nie może ci o tym powiedzieć. Bezpieczeństwo jego i klientów zależy od dyskrecji — rzekła Melba.

— Myślałem nad tym i nic nie wymyśliłem. Dlatego przyszedłem do ciebie.

— Strzelanina w restauracji Louiego i śmierć Reginalda muszą być powiązane — powiedziała wreszcie. — Słowo „złowróźbny” wskazuje, że oba te wydarzenia są częścią

o wiele bardziej skomplikowanej intrygi, niż sobie wyobrażaliśmy.

— Nie jesteście w kinie, Melbo.

— Nie bądź naiwny, Samuelu. Rozmawiamy o zbrodniach. Jeżeli chcesz rozwikłać ich zagadkę, musisz brać pod uwagę to, co najgorsze, dopuszczać wszystkie ewentualności. Musisz rozszerzyć pole widzenia, widzieć całą sytuację. Rozumiesz, o czym mówię? — spytała.

Samuel przez chwilę milczał, ssąc przez rurkę topiący się kawałek lodu w szklance i walcząc z pragnieniem pogryzienia sobie czubków palców. W tym momencie przez drzwi od frontu weszła Blanche ubrana w białe spodnie do biegania i top. Wniosła skrzynkę piwa i wstawiła ją za kontuar. Na czole perlił jej się pot, a włosy jak zwykle miała ściągnięte gumką w koński ogon. Z sympatią poklepała Samuela po rzednącej rudej czuprynie, strącając kilka płatków łupieżu, które opadły łagodnie na ramiona nowej marynarki.

— Cześć, przystojniaku. Cześć, mamó — zawołała wesoło. — Przebiegłam całą trasę do Nob Hill.

— Czemu? Czy ktoś cię ścigał? — spytał Samuel, próbując się przypodobać.

— Zamierzam zatrudnić kogoś na miejsce Rafaela — powiedziała Melba, wskazując skrzynkę piwa.

— Kiedy skończysz tu rozmawiać, przyjdź do mnie, Samuelu — poprosiła Blanche z uśmiechem, który oczarował Samuela.

Niespiesznym krokiem ruszyła do biura, witając się po drodze z klientami i machając do Maestro Boba, który zagłębił się w lekturze książki o spirytualizmie. Samuel odprowadził ją tęsknym spojrzeniem.

— Idź. Weź dupę w troki i obudź się do życia — rozkazała Melba.

Excalibur wyczuł, że nowy przyjaciel zamierza odejść i chciał pójść za nim. ale pani go przytrzymała.

— Zostań, głupi psie. On się kocha w kimś innym, nie w tobie.

* * *

Samuel wszedł do ciasnego, zagraconego biura, gdzie kończyła się udawana elegancja baru. Zewnętrzne drzwi były z polerowanego mahoni, podobnie jak znajdująca się naprzeciw budka telefoniczna. Drzwi wewnętrzne wykonano ze sklejki, wzmocnionej przybitą skośnie na całej długości grubą dechą. Domykała je stalowa sprężyna. W głębi widać było słupy szkieletowe budynku, a ścianę pokrywał smołowany papier. Blanche siedziała przy biurku na obrotowym krześle, tyłem do Samuela. Nachylała się nad stertą rachunków i kwitów. Przyświecała jej lampka z abażurem ozdobionym trzykrotnie obiegającą go w równych odstępach, różową koronką — w sam raz do sypialni. Stare kuchenne krzesło obok biurka i szafka z czterema szufladami uzupełniały wyposażenie pokoiku.

Samuel usiadł nieśmiało na wolnym krześle. Miękkie światło lampy padało wprost na biurko, pozostawiając w cieniu twarze obojga. Słodki zapach Blanche, zapach potu i mydła, wcześniej niedocierający do jego nozdrzy z powodu nałogu, teraz podziałał na jego zmysły z taką siłą, że stracił dech.

— Coś ci się stało, Samuelu? — spytała, wskazując opatrzone palce.

— Nie. Rzuciłem palenie — odparł drżącym głosem.

— O, wspaniale — zawołała. — Palenie to obrzydliwy zwyczaj. Po co te przylepce?

Samuel niespokojnie poruszył się na krześle.

— Żeby powstrzymać mnie od obgryzania paznokci. Ale to przejściowe.

— Może dasz przykład mojej mamie. Podziwia cię, wiesz.

— Nie wiedziałem — rzekł zaskoczony Samuel.

— Tak. Jest przekonana, że zostaniesz sławnym reporterem. Uważa, że jesteś dzielny, usiłując rozwikłać tajemnicę śmierci Reginalda, zwłaszcza po tym, jak omal cię nie zabito.

— Mam gorsze wieści — wyrzucił z siebie. — Pan Song, wiesz, ten zielarz albinos, o którym ci opowiadałem, twierdzi, że próba zabicia mnie i prokuratora federalnego to tylko wierzchołek góry lodowej. To część bardziej złowróżbnego planu.

— Nie może być!

— Złapali Mathew O’Harę za szmugiel. Ale prokurator FBI, niejaki Perkins, dowiedział się, że Reginald zginął, ponieważ szantażował Xsing Chinga, człowieka, który wywiózł te dzieła sztuki z Chin.

— Mathew nie jest zabójcą! — zaprotestowała.

— Nie powiedziałem, że jest. Podał prokuratorowi opis rzeźmieszka z Chinatown. Nieraz przychodził do Camelotu i twoja matka go widziała. Z opisu jest bardzo podobny do tego drania, który wepchnął Reginalda pod trolejbus. Powiedział, że go załatwił.

— Kurczę. Reginald przycisnął Xsing Chinga, żeby wyciągnąć od niego pieniądze?

— Dostał kilkanaście tysięcy.

— I gdzie są te pieniądze? — spytała Blanche, pijąc wodę. — Chcesz trochę? — zaproponowała odruchowo, podsuwając mu swoją szklanę.

— Dziękuję. — Samuel ostrożnie przytknął wargi do miejsca, którego przed chwilą dotykały jej usta. — Znalezione schowek Reginalda u pana Songa, ale nie było jasne, czy pieniądze pochodzą z szantażu.

Blanche przez chwilę milczała, a potem się uśmiechnęła.

— Pamiętasz film, na który mnie zabrałeś? Ten, podczas którego myślałam, że dźwięk się zepsuł?

— Jak mógłbym zapomnieć? To była nasza pierwsza randka — odparł Samuel, ciesząc się, że Blanche nie widzi, jak się rumieni. Miał nadzieję, że nie będzie wspominać nieszczęść, jakie go spotkały tamtego wieczoru. — Te dwadzieścia minut ciszy to było coś nowego, nawiązanie do dawnych czasów niemego kina.

— Nie o tym mówię — przerwała mu Blanche. — W filmie złodzieje chcieli ukraść pieniądze, więc poszli tam, gdzie się je trzyma, do sejfu. Ty masz podobny problem. To jak zagadka. Musisz się dowiedzieć, gdzie szantażysta schował pieniądze. Gdzie jest jego sejf.

— Tak — rzekł Samuel, przykładając pozaklejane palce prawej ręki do policzka i wyczuwając nimi zarost. — Może jego pieniądze są gdzie indziej, w czyimś sejfie.

— Więc ich poszukaj.

Samuel nie przyszedł do biura, żeby o tym rozmawiać. Zrozumiał, że musi powiedzieć wprost, o co mu chodzi.

— Chciałbym zaprosić cię w przyszłym tygodniu na kolację — wydusił i wstał.

Trzymał się cienia. Blanche obróciła cię raptownie na krzesło i też wstała. Niemal się dotykali.

— Bardzo chętnie.

Samuel wyobraził sobie, że ją obejmuje, stojąc na palcach, i namiętnie całuje w usta. Nie zrobił jednak tego, tylko się cofnął, choć w tej klitce nie było to łatwe.

— Możesz wybrać restaurację. Zabrałbym cię nawet do wegetariańskiego baru, gdzie podają marchewkę—zażartował.

Blanche chwyciła go za połę marynarki, przyciągnęła do siebie i uściskała. Samuelowi zmiękły kolana.

— Tęskniłam za tobą, Samuelu — powiedziała, puszczając go równie nagle, jak go złapała, przez co omal się nie przewrócił.

— Ja też za tobą tęskniłem — wyjąkał.

— Jeżeli mamy iść na kolację, to przed środą, bo wyjeżdżam na kilka dni do Tahoe — uprzedziła Blanche.

— Mam nadzieję, że nie na długo — rzekł ochryple, zaskoczony własną śmiałością. — Może we wtorek o szóstej? Gdzie mam po ciebie przyjść, tu czy do domu?

— Tutaj, muszę pomóc mamie. Bez Rafaela jest zagubiona.

Uścisnęli sobie ręce i jeden z plastrów Samuela przykleił się do Blanche. Samuel pchnął drzwi ze sklejki i wyszedł z biura, ledwie tykając stopami ziemi.

* * *

Maestro Bob, widząc wychodzącego z zaplecza Samuela, zawołał go i zaprosił, by z nim usiadł. Wielkie podkreśnione wąsiska pozbawione czarnej farby postarzały go. Maestro położył książkę o spirytualizmie obok pogniecionej papierowej torby i uniósł pustą szklanę.

— Dawno nie przychodziłeś do mnie z prośbą o radę, synu.
— Przepraszam, Maestro, zajęły mnie poważne sprawy.
— Nie dziwi mnie to. Pamiętaj, że czytałem twoje karty tarota.

— To co zwykle? — spytał Samuel.
— Woda sodowa, niestety — rzekł z westchnieniem arcykapłan okultyzmu.

Samuel poszedł po wodę, a wróciwszy, usiadł przy stoliku. Wciąż był w siódmym niebie.

— Co masz w tej torbie? Coś do jedzenia?
— Skądże. Jestem dumnym właścicielem rzadkiego przedmiotu wielkiej wartości, kryształowej kuli. Ktoś, kto na poważnie oddaje się praktykom okultystycznym, musi sięgać do różnych pomocy.

— A co można zrobić z kryształową kulą? — spytał rozbawiony Samuel.

— Poproszę Melbę, żeby pozwoliła nam skorzystać z biura. Kula działa lepiej w ustronnym i zacisznym miejscu. Oczywiście, jeżeli chcesz poznać swoją przyszłość.

— Ile mnie to będzie kosztowało?
— Tyle, ile inne moje usługi. Jeżeli nie masz pieniędzy, udzielię ci kredytu.

— To nie będzie konieczne. Sprzedałem kilka ogłoszeń i nawet spłaciłem część długu, jaki mam u Melby.

— Lepiej nam to wyjdzie w biurze. Ciemność przyciąga duchy.

— Melbo, możemy wejść na chwilę do biura? — zawołał Samuel w stronę baru.

— Pewnie — odparła. — Tylko niczego nie stłuczcie.

Maestro zostawił książkę na stole, grzbietem do góry, otwartą na stronie, którą czytał. Wziął papierową torbę, szklankę z wodą sodową i poszedł w ślad za przyjacielem do zagraconej klitki. Samuel sięgnął ponad biurkiem i zapalił lampę z abażurem ozdobionym różową koronką, wracając myślami do niedawnego słodkiego spotkania z Blanche.

— Idealne miejsce — orzekł Maestro.

Sięgnął obiema rękami do torby i wyciągnął białą kulę wraz z okrągłą drewnianą podstawką. Samuel zaczął się śmiać.

— Brakuje tylko domku i choinek. To taka kula, którą się potrząsa, żeby padał w niej śnieg.

— Nie wszystko jest takie, jak nam się wydaje, młody człowieku.

— Ile nam to zajmie?

— Często słyszę to pytanie. Tego się nie da dokładnie przewidzieć. To zależy, czy duchy będą wolne i czy będą chciały z nami rozmawiać. Jeżeli nie uzyskamy połączenia, nie wezmę od ciebie pieniędzy — odpowiedział z powagą Maestro.

Położył kryształową kulę na kawałku czarnego jedwabiu pod zapaloną lampą.

— Od czego chcesz zacząć?

— Utknąłem w martwym punkcie — rzekł Samuel i opowiedział, co się wydarzyło w minionym tygodniu. — Chciałbym wiedzieć, gdzie szukać nowych tropów.

Maestro zaczął mamrotać słowa w starożytnym martwym języku, głaszcząc białą kulę długimi palcami.

— Duchy są dzisiaj oporne — zauważył po kilku bezowocnych próbach.

- Jak to odporne?
- Niewiele nam dadzą.
- A czy kiedykolwiek cokolwiek dają? — spytał ze złością Samuel.
- Oczywiście. Teraz dają mi tylko nazwisko Mathew O'Hara.
- Mathew O'Hara? — powtórzył Samuel.
- Tylko nazwisko, nic więcej. O, i jeszcze mówią, że twoje sercowe sprawy mają się coraz lepiej — rzekł Maestro.
- Naprawdę? A może wiesz to dlatego, że widziałeś, jak wychodzę stąd razem z Blanche?
- Samuel pogrzebał w kieszeni workowatych spodni khaki i dał Maestro dwa pogniecione banknoty. Magik schował jeden, a drugi oddał.
- Niewiele ci pomogłem — wyjaśnił.
- Możesz odpowiedzieć na to pytanie bez wpatrywania się w kryształową kulę, ponieważ przesiadujesz w tym barze i jesteś dobrym obserwatorem. Powiedz mi, czy O'Hara i Reginald byli bliskimi znajomymi.
- Nie bardzo. Czasami napili się razem, ale Mathew prawie z każdym z miejscowych wypił kiedyś drinka.
- Myślisz, że Mathew mógłby wydać polecenie zamordowania Rockwooda?
- Nie — odparł zdecydowanie Maestro.

* * *

Dla zabicia czasu Samuel zaczął powolutku odklejać plastry z palców, chociaż jeszcze nie zapanował nad odruchem obgryzania paznokci. Czekał przy wschodniej bramie więzienia

San Quentin. Była niedziela. Poddawał się przepisowej procedurze, żeby odwiedzić swojego przyjaciela Rafaela Garcíę. Prawie półtorej godziny czekał w małym budynku przy metalowej bramie, stojąc w kolejce wraz z innymi odwiedzającymi. Pokazał prawo jazdy, wypełnił dwustronicowy formularz, poddał się przeszukaniu i wreszcie mógł pójść do oddalonego o jakieś dwieście metrów budynku z czerwonej cegły, równie starego jak

Kiedy wszedł do środka, odesłano go do kabiny z dużą szybą oddzielającą odwiedzających od więźniów. Szyba częściowo straciła przezroczystość od gęstych rys. Usiadł na metalowym siedzisku z telefonem do rozmów z drugą stroną. W powietrzu unosił się ostry świerkowy zapach środka dezynfekcyjnego i starego dymu z papierosów, tworząc niewidzialną mgłę, od której Samuelowi zrobiło się trochę niedobrze, co zdarzało mu się od czasu hipnotycznych seansów Songa. Kiedy po drugiej stronie szyby pojawił się Rafael, Samuel z trudem go poznał. Zamiast bujnej czupryny miał krótkiego jeża, zapuścił też wąsy. Samuel pamiętał go jako chudego i żylastego, a teraz miał wyćwiczone mięśnie.

— Ćwiczysz z ciężarkami? — spytał Samuel.

— Tak, trzeba czymś wypełnić czas. Nie mam dużo do roboty, więc wyszukuję sobie różne zajęcia.

— Słyszeliśmy, że masz tu dwie prace i nigdy nie jesteś bezczynny.

— Tak, to ja — rzekł Rafael. — Ale pamiętaj, że siedzę tu dwadzieścia cztery godziny na dobę. Nie mam żony, nie mam dzieci, tylko paru kumpli.

— Przywiozłem ci meksykańskie ciastka i naleśniki — powiedział Samuel. — Niestety, nie pozwalają odwiedzającym przynosić jedzenia, więc sam urządzę sobie wieczorem ucztę. Przyjęli za to kilka romansów, które przesała dla ciebie Melba. Strażnik ci je później odda.

Rafael spiekł raka.

— Nie martw się — rzekł Samuel. — Zerwałem okładki, więc nikt się nie zorientuje.

— Dziękuję, że przyszedłeś, Samuelu.

— Odwiedza cię ktoś jeszcze?

— Tak, Sofia i moja matka często przychodzą.

— Melba prosiła, żeby ci przekazać, że bardzo jej ciebie brak i czeka, aż wrócisz. Gdy tylko wyjdiesz, masz u niej pracę.

— Powiedz Melbie, że bardzo dziękuję za finansową pomoc, jakiej udziela mojej rodzinie i Sofii. Wszyscy są ogromnie wdzięczni za to, że co tydzień ich odwiedza. Powiedz jej, że się uczę i chcę zostać pielęgniarzem, więc kiedy stąd wyjdę, będę miał dobrą pracę i będę mógł zwrócić jej dług.

— Ona tego nie oczekuje, Rafaelu.

— Ale ja mam swój honor, Samuelu.

— Jak możesz tu się uczyć?

— Lekarz pozwala mi przyglądać się, kiedy przyjmuje pacjentów, a oprócz tego dużo czytam o rozpoznawaniu chorób i ich leczeniu. Zdziwiłbyś się, jak wiele się już nauczyłem. Ale nie mówmy więcej o mnie. Powiedz, co u ciebie, Samuelu.

— Próbuję ustalić, kto zabił Reginalda Rockwooda. Pamiętasz go?

— Tego, który przychodził do baru w smokingu? I wpadł pod trolejbus?

— Właśnie tego. Popchnęły go jakieś chińskie bandziory, ale nie możemy ich znaleźć. Maestro Bob popatrzył któregoś dnia w kryształową kulę i kazał mi sprawdzić Mathew O'Hare.

— W kryształową kulę? — powtórzył ze śmiechem Rafael.

— Znasz dobrze O'Hare? — spytał Samuel, nie chcąc się rozwozić nad praktykami Maestro Boba.

— Niezbyt dobrze. Widywałem go tylko w barze, ale w przyszłym tygodniu przyjeżdża tu na lato.

— Do San Quentin? Skąd wiesz?

— Tutaj wie się o wszystkim.

— Wiedziałem, że dostał sześć lat, ale nie przypuszczałem, że wyślą go do więzienia stanowego za przestępstwo federalne.

— Och, nie zostanie tu długo. Chodzą słuchy, że w przyszłym miesiącu odeślą go do Arizony. Maestro może mieć rację.

— To znaczy?

— Oni się znali, ten w smokingu i O'Hara.

— Pewnie, Reginald przesiadywał przy barze, a O'Hara ciągle tam zaglądał — przypomniał mu Samuel.

— Nie, mam na myśli, że znali się bliżej. Melba kazała mi raz w zeszłym roku dostarczyć alkohol do apartamentu O'Hary przy Grant Avenue na jakieś ekstrawaganckie przyjęcie, które wydawał. Dojechałem dość późno, przyjęcie już się zaczęło, a ten gość w smokingu już tam był, rozmawiał w najlepsze z O'Harą i jakąś superelegancką damą.

— Naprawdę? To może być ważne. Pamiętasz adres?

— Osiemset trzydzieści osiem, Grant Avenue, czwarte piętro. Jestem pewien. Mam dobrą pamięć do takich rzeczy.

— Ile razy go tam widziałeś?

— Tylko ten jeden raz.

— To dlaczego myślałeś, że są takimi bliskimi przyjaciółmi? — dociekał Samuel.

— Bo zachowywali się, jakby znali się od dawna, bardzo swobodnie się czuli razem.

— Numer, który podałeś, brzmi znajomo — rzekł Samuel, usiłując przypomnieć sobie, gdzie go widział lub słyszał.

Zagwizdano na znak, że wizyta dobiegła końca. Samuel pożegnał się z Rafaelem, obiecując, że niedługo znów go odwiedzi.

* * *

Jadąc autobusem do San Francisco, Samuel cały czas myślał o podanym przez Rafaela adresie przy Grant Avenue. Wydawał mu się znajomy, ale nie mógł sobie przypomnieć skąd. Zaraz po powrocie do domu zaczął przerzucać notatki i w końcu znalazł numer. Adres O'Hary pokrywał się z numerem na skrawku papieru, w który była zawinięta część pieniędzy w słoju Rockwooda u pana Songa. Na drugi dzień próbował zadzwonić się do Charlesa, lecz bezskutecznie, wobec czego poszedł się z nim spotkać. Przekonał sekretarkę, żeby go wpuściła, bo przychodzi z pilną sprawą. Pod drzwiami Charlesa stało dwóch ochroniarzy, więc widocznie nadal się bał. Samuel zrelacjonował wizytę u Rafaela.

— Jesteś pewien, że to taki sam numer? — spytał Charles.

— Sprawdziłem notatki. Rafael powiedział, że widział

Reginalda u O'Hary, więc może przydałoby się przejrzeć zaproszenia Engela, a nuż coś tam wypłynie — zaproponował Samuel.

— Niezły pomysł. Problem z tym, że jestem w trakcie rozprawy. Od dwóch tygodni występuję w sądzie i nie mam ani chwili czasu. — Charles ścisnął czoło kciukiem i środkowym palcem, usiłując powstrzymać pulsujący ból głowy.

— Człowieku, to jest ważne. Czy wiesz, że O'Hara został skierowany do San Quentin?

— Nie posiedzi tam długo.

— Jeżeli dowiemy się czegoś nowego o tym, co ich łączy, można go będzie przesłuchać, zanim wyjedzie do innego stanu. Kiedy dostanie się w tryby systemu federalnego, trzeba będzie dużo zachodu, żeby się do niego dostać — rzekł Samuel.

Charles zdjął okulary, zamknął oczy i potarł nasadę nosa. Był bardzo zmęczony.

— Mam plan. Pójdiesz tym korytarzem, przejrzysz rzeczy Engela, żeby sprawdzić, czy coś godnego uwagi nam nie umknęło. Jeżeli znajdziesz powiązanie z O'Harą, pójdziemy przesłuchać go przed wyjazdem.

— Kiedy mogę przejrzeć te rzeczy? — spytał Samuel.

— Zaraz to załatwię — powiedział Charles, podnosząc słuchawkę.

Wkrótce w drzwiach stanął szeryf i prokurator kazał mu zaprowadzić Samuela do pokoju dowodowego, gdzie mógł przejrzeć na miejscu akta.

— Zanotuj, co znalazłeś, i zgłoś się z tym do mnie — polecił Samuelowi, odprawiając go.

Szeryf zaprowadził Samuela do zabezpieczonego kratami składu dowodów. Był to duży pokój z metalowymi półkami pod sufit, z dobrze widocznymi numerami i nazwami, żeby ułatwić odnalezienie akt. Szeryf podszedł do kartoteki, odszukał nazwisko Rockwood, potem podszedł do odpowiedniej półki, zdjął trzy pudła i postawił je na metalowym stole na środku pokoju.

Samuel przerzucił materiał dowodowy w teczce z napisem Chińskie Ziola Pana Songa i znalazł skrawek papieru, w który były zawinięte pieniądze Reginalda. Był na nim numer 838. Samuel porównał go z drukiem na innych zaproszeniach w pudełku po butach od Engela. Potwierdził to, czego się spodziewał; cyfry były dokładnie tej samej wielkości i kroju jak na setkach zaproszeń, które oglądał kilka miesięcy wcześniej.

Metodycznie przejrzał zawartość pudełka, lecz nie znalazł zaproszenia z nazwiskiem Mathew O'Hary lub jego adresem i to go zdziwiło. Uznał, że numer wydrukowany taką samą szcziónką oznacza, że zaproszenie gdzieś jest, tylko gdzie?

Nie miał tu już nic więcej do roboty. Podziękował szeryfowi i poszedł do Camelotu.

* * *

Na drugi dzień zjawił się przed drukarnią Engela przed otwarciem i musiał kwadrans odczekać. Drzwi przyszedł otworzyć schludny pan Engel w własnej osobie. Samuel podszedł do niego.

— Pamięta mnie pan? Samuel Hamilton.

Pan Engel zmrużył oczy i osłonił je prawą ręką przed słońcem.

— Nazwisko nic mi nie mówi. Czym mogę służyć?

— Byłem tu kilka miesięcy temu i pytałem o pańskiego pracownika, Reginalda Rockwooda. Czy mógłbym zadać jeszcze kilka pytań?

Weszli do recepcji.

— A czy panowie ustalili w końcu, co się przytrafiło temu nieszczęśnikowi?

— Właśnie staramy się to ustalić, proszę pana — zapewnił Samuel.

— Nie wiem, w czym jeszcze mógłbym pomóc. Federalni zabrali wszystko, co miało związek z panem Rockwoodem.

— Wiem, ale w tej układance brakuje jednego kawałka, dlatego przyszedłem.

— Tylko proszę raz-dwa — rzekł pan Engel. — Czeka mnie pracowity dzień.

— Szukam zaproszenia na przyjęcie w apartamencie Mathew O'Hary, osiemset trzydzieści osiem Grant Avenue. Może pan zajrzeć do swojego archiwum i sprawdzić, czy takie jest?

— Normalnie nie udzieliłbym takiej informacji, ale wiem, kim pan jest i co pan stara się zrobić, więc proszę ze mną.

Rozstali się z Piranesim i przeszli długim korytarzem do drzwi z jasnego dębu z górną połową z trawionego szkła. Engel otworzył drzwi i przepuścił Samuela przodem. Jedna ściana pokoju była zabudowana drewnianymi segregatorami w kolorze drzwi. Po drugiej stronie stał stół i trzy krzesła.

Pan Engel podszedł do segregatora i przerzucił dokumenty.

— Jest — powiedział.

Wyciągnął zaproszenie w plastikowej koszulce i położył na stole, żeby Samuel je sobie obejrzał. Jego treść była następująca:

838 Grant Avenue, czwarte piętro, San Francisco
Mathew O'Hara serdecznie zaprasza
Pana/Panią wraz z osobą towarzyszącą na koktajl
na cześć Xsing Chinga, światowej sławy
znawcy sztuki Dalekiego Wschodu, gościnnie
wyłaszczającego cykl wykładów w Stanach Zjednoczonych.
Czwartek, W lipca 1960, 18.00—21.00
R.S.V.P. SU-4-1878

— Szlag by trafił — przeklął Samuel. — Oni się znali, zanim to się zaczęło.

— Słucham? — zdziwił się pan Engel.

— Czy mogę to ze sobą zabrać? — spytał Samuel.

— Niestety, nie. To jedyny dowód zawartej umowy. — Pan Engel był stanowczy.

— No dobrze, ale proszę przypilnować, żeby nic się z tym nie stało.

— W moim zakładzie nic się z tym nie stanie.

— Czułbym się lepiej, gdyby trzymał pan to zaproszenie pod kluczem — rzekł Samuel. — Może okazać się ważne.

— Proszę bardzo — zgodził się pan Engel. — Znajdzie się pod kluczem. Czy jeszcze coś mogę dla pana zrobić? — zapytał nieco niecierpliwie, lecz z uprzejmym uśmiechem.

— Nie, ale dał mi pan więcej, niż się spodziewałem — wyznał Samuel.

Rafael i Mathew

Mathew O'Hara przywykł do życia w dostatku, do świty potakiewiczów, do zdobywania tego, czego zapragnie, niestety, więzienie San Quentin nie miało w swojej ofercie spełniania zachcianek. Zapewniło mu jedynie niebieski więzienny uniform z numerem i pojedynczą celę. Dostał celę w tym samym bloku i na tym samym piętrze co Rafael, ale nie miał z innymi łączności, był na wpeł izolowany. Strażnik na pomoście powyżej nacisnął przycisk, rozległ się brzęczyk i drugi strażnik, towarzyszący Mathew, uniósł sztabę i otworzył kratę.

— Prywatny pokój, jak w hotelu — zażartował.

— Dlaczego?

— Bo jesteś ważną szycią. Gdyby niektórzy się dowiedzieli, kim jesteś, nie moglibyśmy zapewnić ci bezpieczeństwa. A w ten sposób panujemy nad sytuacją — rzekł muskularny strażnik.

Mathew wzdrygnął się.

— Myślicie, że ktoś na mnie dybie?

— Nie zdziwiłbym się — odparł strażnik. — To jest inny świat.

— Ale o żadnych konkretnych groźbach nie wiecie? — dopytywał się Mathew.

— Ja tam nic nie wiem.

Strażnik wyrecytował regulamin, zatrzasnął drzwi celi, brzęknął żelazną sztabą i Mathew pozostał sam ze swoimi myślami.

Po więziennym bloku rozszedł się zapach jedzenia. Nozdrza Mathew zadrżały, zaburczało mu w brzuchu. Poczul głód. Ciekaw był, kiedy przyniosą mu coś do jedzenia i co dostanie. Miał delikatny żołądek i pilnował wagi. Słyszał rozmowy, śpiewy i okrzyki więźniów, słyszał trzaskanie drzwi cel — wszystkie odgłosy wzmocnione przez mury przepastnego gmachu.

Kurwa, ale wpadłem, pomyślał. Powiedziano mu, że spędzi w San Quentin tydzień lub dwa, ale nie przypuszczał, że to taki srajdół. Nie wyobrażał sobie, że zamkną go w tak ciasnej celi ze składaną pryczą, metalowym stolikiem i krzesłem, gołym sedesem i kawałkiem blachy zamiast lustra.

Dwadzieścia trzy godziny dziennie w takiej dziurze „dla jego własnego bezpieczeństwa”. Wiedział, że codziennie o piątej po południu będzie wychodził na dwór, ale nie miał jak sprawdzić, która godzina. Odpiął łańcuchy, na których była podwieszona prycza, spuścił ją i usiadł na gołym materacu, wpatrując się w leżące na stole prześcieradło i szary koc.

Zwrócił uwagę, że paski na prześcieradle biegną prostopadle do prętów w drzwiach celi. Ironia losu. Usiłował wyliczyć godzinę, obserwując cienie na podłodze, ale mu się nie udało.

* * *

Czas mijał powoli. Wreszcie Mathew O'Hara usłyszał szcęk podnoszonej sztaby. Drzwi otworzyły się i pod jego celą stanęło dwóch strażników.

— Chodź z nami, pora na spacer — rozkazał jeden.

Podwójna obstawa poprowadziła zakutego w kajdanki Mathew niekończącymi się korytarzami, przegrodzonymi w kilku miejscach zaryglowanymi kratami, a na koniec wypchnęła na dziedziniec o powierzchni około dwudziestu metrów kwadratowych. Dwie strony, południowa wychodząca na zatokę oraz wschodnia — na Richmond Bridge, ogrodzone były siatką zwieńczoną zwojami kolczastego drutu. Od strony zachodniej ciągnęła się szara betonowa ściana wysokości około trzech metrów. Z miejsca, gdzie stał, Mathew nie mógł dojrzeć, co jest po drugiej stronie, ale domyślił się, że dziedziniec do ćwiczeń dla pozostałych więźniów z bloku. Słyszał dobiegający stamtąd rozgwar. Od strony południowej, za ogrodzeniem, wyrastała wieża strażnicza. W małej oszkłonej kabinie stało tam dwóch uzbrojonych mężczyzn. Strażnicy rozkuli Mathew.

Mathew doliczył się pięciu więźniów wyprowadzonych na dziedziniec razem z nim. Domyślił się, że oddzielono ich od pozostałych ze względów bezpieczeństwa. Chodzili w kółko lub gimnastykowali się w milczeniu, pod okiem strażników. Żaden się na niego nie obejrzał. Mathew zaczerpnął tchu.

Przez przeszło dwa miesiące nie wychodził na świeże powietrze i bardzo mu tego brakowało. Przyjemnie było swobodnie odetchnąć. Pomyślał o jachcie, którym pływał rankami po zatoce, o domku na plaży w Stinson. Tego popołudnia wiał dość silny wiatr, ubijając białą pianę na grzbietach fal, widoczną przez ogrodzenie i kolczaste druty. Patrzył na frachtowce sunące na północ pod mostem, udające się do odległych portów, do Stockton i Sacramento, i na małe kutry rybackie płynące na południe, wracające z Delt, wyładowane jesiotrami i strzępielami dla rynków rybnych San Francisco.

Słońce stało jeszcze dość wysoko nad wierzchołkiem Mount Tamalpais, powietrze było rześkie. Mathew obszedł powoli niewielki dziedziniec, kierując się w prawo, i najpierw idąc wzdłuż ogrodzenia z siatki, żeby nacieszyć się słońcem i wiatrem. Obok trzymetrowej ściany padał cień, więc tamtą część dziedzińca pokonał szybszym krokiem. Powtórzył kółko cztery razy, przyspieszając. Nareszcie mógł rozprostować nogi. Zaczął truchtać, unosząc kolana i napełniając płuca powietrzem. Nie wiedział, czy wolno rozmawiać, więc nie patrzył na innych więźniów, kiedy ich mijał.

Za piątym okrążeniem, kiedy zbliżał się do ściany, rozległ się głośny huk eksplozji, od której zatrzęsała się ziemia. Mathew, odrzucony falą uderzeniową, nie zdążył pojąć, co się stało. Dokoła fruwały bloki żużlobetonu z muru, który zdawał się rozpadać w zwolnionym tempie. Mathew upadł na ziemię, przysypany gruzem. Dziedziniec spowiła chmura pyłu. Nie słyszał krzyków, nie czuł bólu, nie próbował się nawet poruszyć. Brakowało mu powietrza. Zamknął oczy i zapadł się w ciemność.

Pył zaczął stopniowo opadać. Mathew pogрузił się w dziwnej ciszy, jak na dnie morza. Leżał na wpeł przytomny i odrętwiały. Chyba umarłem, pomyślał z pewną fascynacją. Uprzytomnił sobie jednak, że może poruszać powiekami, a w ustach zazgrzytał mu betonowy proch.

Ogłuszony eksplozją, nie usłyszał syren, strzałów ani krzyków. Otworzył usta i próbował zawołać, ale wydało mu się, że nie dobył z ust żadnego dźwięku. Umarłem, powtórzył w myślach, lecz w tym momencie przeszył go z lewej strony ciała ostry ból, wyrrywając z odrętwienia. Pamiętał wszystko jak we śnie: więzienie, dziedziniec, szary mur. Z olbrzymim wysiłkiem poruszył głowę i unióś ramiona, wyciągając je spod gruzu, ale reszty ciała nie mógł ruszyć. W tym momencie spojrzął na lewą nogę. Dolna część była absurdalnie wykręcona, wystawały z niej dwie kości i z ziejącej rany tryskała krew. Wykrwawię się na śmierć, pomyślał obojętnie. I zemdlał.

* * *

W więzieniu rozpętało się piekło. Później wyjaśniono, że z zachodniej wieży wystrzelono jakiś pocisk. Ale w pierwszej chwili nikt nie wiedział ani co się stało, ani co robić. Kilku strażników biegało w kółko, wykrzykując rozkazy, których nikt nie wykonywał, natomiast dwaj na wieży za ogrodzeniem, od strony południowej, nie mający związku z eksplozją, wyszli na małą platformę i zaczęli strzelać w powietrze, myśląc, że przywrócą porządek, lecz powiększyli jedynie ogólne zamieszanie. Popatrzyli na wieżę od strony zachodniej, przypuszczając, że atak nastąpił właśnie stamtąd, ale nic więcej nie

zrobili. Jeżeli strażnik z drugiej wieży wystrzelił pocisk, rozumowali, musiał mieć ważny powód.

Rafael, który zażywał ruchu po drugiej stronie muru, zareagował jako jeden z pierwszych. Przeskoczył przez kupę gruzu i wszedł na drugi dziedziniec. Zobaczył powalonych wybuchem pięciu więźniów i dwóch strażników, którzy powoli podnosili się z ziemi. Nic nie wskazywało na to, że któryś jest ranny. Potem dostrzegł przygniecionego kawałkami rozkruszonego muru człowieka i kałużę krwi. Zaczął gorączkowo odrzucać gruz, by go uwolnić.

Odsłoniwszy rannego, Rafael ze zdumieniem rozpoznał swojego dawnego szefa, Mathew O’Harę. Jedno spojrzenie wystarczyło, by stwierdzić, że potrzebuje natychmiastowej pomocy. Krew tryskała mu z nogi w rytmie uderzeń serca. Ranny miał uszkodzoną tętnicę. Rafael próbował powstrzymać krwawienie palcem, ale było oczywiste, że trzeba założyć opaskę uciskową. Bez wahania rozdarł własną koszulę i poszarpał rękaw, jednocześnie naciskając ranę nogą, by zmniejszyć krwawienie. Owinął rękawem udo Mathew i skręcił materiał. Upływ krwi się zmniejszył, ale nie ustał. Zobaczył przez ramię towarzysza z celi, który podobnie jak on nadbiegł z drugiego dziedzińca.

— Pancho, *ayudame!* Ten może zaraz kipnąć.

— Co mam zrobić, *carnal?*

— Znajdź kawałek drewna! Muszę docisnąć opaskę. Pośpiesz się, *vato!*

Pancho gwizdnał i przy gruzach wyrosło dwóch innych Meksykanów.

— *Corten un pedazo de lena, o taki długi!* — rozkazał Pancho, pokazując wymiar kilkunastu centymetrów.

Jeden z Meksykanów, upewnił się, że nie widać go z wieży, i wyciągnął z kieszeni spodni nóż. Podszedł razem z kolegą do wystawionego na dziedziniec stolika. Osłaniany przez kolegę, odłupał kawałek drewna wielkości dyrygenckiej pałeczki i schował nóż. Rzucił drewnienko do Pancho, a ten złapał je w powietrzu i podbiegł do Rafaela. Rafael wsunął drewnienko w strzęp koszuli i zakręcił, powstrzymując krwawienie. Widząc, że Mathew jest w szoku, zaczął nim potrząsać i klepać go po twarzy.

— Niech się pan obudzi, panie O'Hara! No, już! Pancho, leć po pomoc! — krzyknął.

Pancho pobiegł. Ranny uniósł powieki. Nieobecne oczy zaszkliły się w pokrytej pyłem twarzy. Krzyknął z bólu.

— Pomoc nadchodzi — powiedział Rafael, ale nawet gdyby Mathew słyszał, nie zrozumiałby słów, był zbyt oszołomiony.

Po kilku minutach od wybuchu na obu dziedzińcach uzbrojeni strażnicy zaczęli zaprowadzać porządek, wykrzykując rozkazy. Jeden z nich podszedł do Rafaela i wycelował karabin w jego głowę.

— Nie słyszałeś, chuju? Ręce do góry!

— Nie mogę puścić krępulca. Ten człowiek potrzebuje natychmiastowej pomocy — próbował wyjaśnić.

— Do cholery, nie słyszysz, co mówię? — wrzasnął strażnik, kopiąc go w plecy tak, że upadł na Mathew.

— Zostaw go — rozległ się głos przez głośnik z południowej wieży. — To jedyna pomoc, jaką mamy dla więźnia, który leży.

Strażnik cofnął się, nie opuszczając karabinu. Rafael, znów na kolanach, zobaczył w jego oczach tępe przerażenie, jakie

nieraz widział na ulicach swojej niebezpiecznej dzielnicy. Delikatny stan równowagi, w jakim się znajdowali, mogło naruszyć najdrobniejsze zdarzenie, prowokując strażnika do użycia broni. Inni więźniowie z dziedzińca Rafaela zobaczyli to samo i zaczęli się wycofywać do bramy, żeby wejść do bloku, zanim któryś ze strażników straci panowanie nad sobą i zacznie strzelać.

W tym momencie w stronę Mathew i Rafaela poleciał nóż, ciśnięty niewidoczną w tłumie, lecz wprawną ręką. Może Rafael spostrzegł metalowy błysk w powietrzu, a może zareagował instynktownie. W ułamku sekundy pochylił się i nóż wbił mu się w szyję. Znow upadł na Mathew.

Podstępna akcja była tak szybka, precyzyjna i cicha, że upłynęło kilkanaście sekund, zanim ktokolwiek zareagował. Strażnik najbliższy Rafaela widział jego upadek i, zdezorientowany, zawahał się. Potem pochylił się i zobaczył nóż wbity w szyję. Poruszył Rafaela kolanem i dopiero wtedy zorientował się, że więzień nie żyje. Przeklął i odruchowo nacisnął spust. Kule wbiły się w ziemię, z której trysnęły odłamki asfaltu i betonu.

Na dziedzińcu więziennym wybuchła panika. Więźniowie puścili się biegiem do budynku, popychając się, upadając, czołgając. Strażnicy kopali ich i uderzali kolbami karabinów, a z głośników huczały nieprzerwanie komendy wzywające do zatrzymania się i podniesienia rąk. Nikt ich nie słuchał. Rozbrzmiały dzwonki alarmowe, z budynku wybiegli rzędem strażnicy w pełnym rynsztunku bojowym i spacyfikowali dziedziniec, waląc pałkami na prawo i lewo. Kilku podbiegło do Rafaela i Mathew.

— Co się stało? — spytał sierżant.

— Pojęcia, kurwa, nie mam — odparł blady strażnik, świadek całego zdarzenia.

Niebawem przybyła ekipa ratunkowa. Mathew O'Hara był nieprzytomny. Nie wiedział, że meksykański posługacz z jego baru w ciągu kwadransa dwukrotnie uratował mu życie.

* * *

Mathew spędził w szpitalu kilka tygodni, otumaniony lekami, balansując między życiem a śmiercią. Nim odzyskał pełnię władz umysłowych, ważyły się także losy jego nogi. Pył z rozkruszonego żużlobetonu zanieczyścił rany, a skomplikowane złamanie poważnie uszkodziło naczynia krwionośne. Ale w zespole medyków na oddziale więziennym San Francisco General Hospital, gdzie go zabrano, pracowała lekarka, z pochodzenia Japonka, która potraktowała jego przypadek jako osobiste wyzwanie. Chciała udowodnić kolegom, że nie jest gorsza od najlepszego z nich. W czasie wojny, jako nastolatka, spędziła cztery lata w obozie internowania dla Amerykanów japońskiego pochodzenia. Kiedy zawiodły tradycyjne środki ratowania nogi Mathew, wystąpiła z pomysłem użycia czerwi do zwalczania gangreny, a potem pijawek do usunięcia zastałej krwi.

Po zoperowaniu złamań z użyciem stalowych płytek i śrub nie można było zamknąć rany z braku żywej tkanki. Kiedy inni lekarze nadal mówili o amputacji, nieustępliwa pani doktor upierała się przy przeszczepie, aby uniknąć zapalenia kości.

Trzy tygodnie później chirurg ortopeda przeprowadził ope-

rację, która polegała na rozcięciu łydki zdrowej nogi Mathew i chirurgicznym połączeniu jej z uszkodzonym fragmentem złamanej nogi. Liczył, że po jakichś sześciu tygodniach tkanka narośnie, łydki — po tej swoistej transplantacji — będzie można rozdzielić i pozostaną już tylko przeszczepy skóry.

Na tym etapie leczenia przyszli odwiedzić Mathew Charles Perkins i Samuel Hamilton. Do sali na czwartym piętrze, z zakratowanym oknem, wprowadził ich uzbrojony szeryf. Mathew miał obie nogi w górze na wyciągu, prawa na lewej, zeszyte i zabandażowane. Kiedy weszli, pielęgniarka masowała stopy i nogi O'Hary, żeby pobudzić krążenie.

— Panowie — rzekł na powitanie Mathew.

— Panie O'Hara — odpowiedzieli jednocześnie Samuel i Charles.

— Pewnie myśleliście, że już nigdy nie zobaczycie mnie żywego, co? — spytał ranny z widocznym wysiłkiem.

Samuel pamiętał go z baru, więc uderzyła go zmiana w jego wyglądzie. Stracił dużo na wadze, miał zapadnięte policzki, ziemistą cerę, a włosy, odrastające po więziennych postrzyżynach maszynką, wyglądały jak zapuszczony trawnik. Niewiele pozostało z niegdyś przystojnego i pewnego siebie

— Samuel Hamilton, bywalec pańskiego baru, chociaż ostatnio pijam głównie wodę sodową — przedstawił się.

— Melba opowiadała mi o panu.

Pielęgniarka poprawiła choremu poduszki i wyszła.

— Pan Hamilton przyszedł ze mną. Pomaga mi w śledztwie. Dodaje od siebie spojrzenie człowieka z zewnątrz — wyjaśnił Charles.

— Rozumiem.

— Może pan przy nim mówić otwarcie. Wszystko, co pan powie, ma się rozumieć, pozostanie między nami — dodał Charles.

— Dobrze. Ale najpierw proszę mi wyjaśnić, czemu omal nie zginąłem w San Quentin.

— Mamy informacje, że była to robota tajnego chińskiego agenta, ale nie wiemy jeszcze wszystkiego — przyznał Charles. — Jak pan zapewne wie, w więzieniu wystrzelono z wieży z granatnika. Ten, kto to zrobił, nie działał na własną rękę, lecz był jednym z wykonawców starannie przygotowanego planu. Wiadomo jednak, jak trudno jest zmusić więźniów do mówienia. Tego, który, jak podejrzewamy, rzucił nożem, znaleziono nazajutrz w łazience, uduszonego.

— Jakim nożem? O czym wy mówicie?

— Nie wie pan, że Rafael Garcia, pański dawny pracownik, zginął, osłaniając pana od ciosu nożem, który ktoś cisnął z tłumu więźniów? — spytał Samuel.

— Tego mi nie powiedzieli! Myślałem, że doszło do bójki na noże między więźniami. Chcecie powiedzieć, że uratował mi życie?

— Najpierw odgrzebał pana z gruzu i zatrzymał krwawienie. A potem osłonił od noża.

— O mój Boże. Zrobił to dla mnie? — wymamrotał Mathew, głęboko poruszony.

Charles, któremu zależało na wydobyciu informacji, ciągnął:

— Ktoś, jeszcze nie wiemy kto, przekupił strażnika więziennego, żeby wpuścił więźnia do zachodniej wieży. Stamtąd wystrzelono w mur, za którym pan stał. Wiemy o tym, bo głupi strażnik wpłacił pieniądze na własne konto w banku.

Ten fakt sam w sobie niewiele znaczy, bo to była gotówka. Ale sprawdzamy numery seryjne i szukamy odcisków. Strażnik powiedział nam, że pieniądze i instrukcje dał mu Chińczyk z twarzą w bliznach, który według naszych ustaleń nazywa się Dong Wong. Rozpoznał go w kartotece zdjęć, ale nie potrafił powiedzieć, gdzie go możemy znaleźć.

— Pieprzony strażnik, jest winien współudziału w morderstwie — dodał Samuel.

— Powiedział nam wszystko, co wie. Ten gang miał dokładne informacje o funkcjonowaniu więzienia, o strażnikach i o tym, kto kiedy jest na służbie. Wiedzieli, którego przekupić — wyjaśnił Charles.

— Znam Chińczyka z bliznami na twarzy. To ten, który powiedział mi, że załatwili Reginalda za szantażowanie Xsing Chinga — oświadczył Mathew.

— Cieszę się, że pan o tym wspomina — rzekł Samuel. — Odwiedziłem Rafaela kilka tygodni przed śmiercią. Powiedział, że w zeszłym roku dostarczał alkohol do pańskiego apartamentu przy Grant Avenue i widział tam Reginalda na przyjęciu na cześć Xsing Chinga. Pan i Reginald wydaliście mu się dobrymi kumplami.

— Rzeczywiście, przypominam sobie, Reginald był na tym przyjęciu — przyznał Mathew. — Ale nie jestem pewien, jak na nie trafił, chyba że wspomniałem o nim któregoś wieczoru przy barze. Spędzał sporo czasu w Camelocie, stawiałem mu czasem drinka.

— Rafael mówi też, że rozmawiał na tym przyjęciu z jakąś piękną kobietą jak z przyjaciółką — ciągnął swoje Samuel.

— Wiem z kim, z Virginią. Pracowała dla mnie.

— Właściwe pytanie brzmi: co łączyło pana, Reginalda i Virginie.

— Mówiłem, pracowała dla mnie — powtórzył znużony Mathew. — O ile wiem, nie łączyły jej bliskie stosunki z Reginaldem. Nie widziałem, żeby rozmawiali ze sobą na tym przyjęciu albo kiedykolwiek indziej.

— Jest coś, czego przedtem nie rozumieliśmy. Pańskie powiązania z Xsing Chingiem były znacznie wcześniejsze, prawda? — spytał Charles. — Znaliście się od dawna.

— Dość długo — potwierdził Mathew. — Pracowałem nad nim jakiś czas, żeby zdobyć te dzieła sztuki. Jestem zmęczony. Czy możemy odłożyć resztę tej rozmowy na jutro?

Charles nie umiał poznać, czy Mathew coś ukrywa, czy jest tak nafaszerowany lekami, że zasypia. Nie było sensu dalej go męczyć, więc uznał, że nie będą tracić przy nim czasu.

— Dobrze, dobrze — powiedział Charles. — Jeszcze tylko dwa pytania. Czy pana zdaniem Xsing Ching jest na pana wkurzony, bo stracił te dzieła sztuki na rzecz władz federalnych?

— Na pewno — odparł Mathew.

— Na tyle wkurzony, że mógłby z zemsty zabić?

— Sądząc po tym, co zrobiono Reginaldowi i co stało się później, jest to bardzo prawdopodobne. Naprawdę, już nie mogę — dodał, opuszczając bezwładnie głowę i ramiona na trzy poduszki.

— Przyjdziemy za kilka dni. Niech pan wypoczywa — rzekł Charles, prowadząc Samuela do drzwi.

Samuel bierze sprawy w swoje ręce

Samuel odczuwał taki sam smutek po śmierci Rafaela jak po śmierci Reginalda i Louiego. Odwiedził kilka razy rodzinę Rafaela, młodą wdowę z dzieckiem, niepocieszoną matkę i rodzeństwo, i zrozumiał, jak ważny w życiu każdego z nich był Rafael. Żałoba tych ludzi wywołała w nim smutną niemoc, nie wiedział, jak im pomóc. Ponadto czuł się winny, podejrzewając, że w jakiś sposób sprowokował śmierć Rafaela. Jego ciekawość wywołała cały łańcuch zdarzeń. Połączył dwóch chińskich zbirów, który próbowali zabić jego i Charlesa z chińskim więźniem, który rzucił nożem w Rafaela. Wydawało mu się oczywiste, że wszystkie te oprychy należą do jednej organizacji.

Wieczorem, bardzo przygnębiony, poszedł do Camelotu podzielić się swoimi rozterkami z Melbą.

- Otaczają mnie nieboszczycy, Melbo.
- To pewnie sprowadza złe wspomnienia. Mam na myśli

twoich rodziców. Nigdy nie uporałeś się z ich tragicznym odejściem.

— Możliwe.

— Dostałeś twardą szkołę od życia, synu.

— Dowiedziałem się czegoś o tobie, Melbo, od Rafaela, kiedy poszedłem go odwiedzić w San Quentin. Pomagasz jego rodzinie.

— Niech to zostanie między tobą a mną, kolego! — rozkazała chropowatym od whisky głosem.

— Chciałem tylko powiedzieć, że też chciałbym pomóc, ale zawsze mi brak forsy.

— Ta rodzina potrzebuje czegoś więcej niż pieniędzy. Twoja przyjaźń bardzo im pomoże — powiedziała ochryple.

— Wiedz, że tutaj też chętnie pomogę — zapewnił.

Melba wstała i poszła szybko do łazienki. Samuelowi zdawało się, że widzi łzy płynące jej z oczu, ale uznał tę myśl za niedorzeczną. Tylko cebula mogła wycisnąć łzy z oczu Melby.

Zapatrzył się przez okno na zatokę. Tymczasem przypałętał się Excalibur. Samuel zaczął w roztargnieniu drapać go po łbie. Melba wróciła po kilku minutach, zobaczyła, gdzie jest pies i zawołała go chrapliwie.

— Daj mu spokój — rzekł Samuel. — Przyzwyczajam się do jego wszy.

— Czas leczy wszystkie rany, synu. Rafael był świetnym chłopakiem i będzie nam go brakowało. Ale teraz trzeba pomóc jego rodzinie.

— To zaszło za daleko. Na początek Reginald. Potem dwóch niewinnych ludzi, Louie i Rafael, którzy nie mieli nic

wspólnego z tą aferą. A mógł jeszcze stracić życie Mathew O'Hara, a także Charles i ja.

— Całkiem sporo — przyznała Melba. — Widać, że nie znalazłeś jeszcze centralnego kawałka układanki.

— Chyba wiem, gdzie szukać tego brakującego ogniwa. Miałem czas, żeby nad tym pomyśleć, bo wyrzucili mnie z pracy. Byłem kiepskim sprzedawcą ogłoszeń.

— Przykro mi.

— Nie znosiłem tej cholernej roboty. Brak pracy nie pomaga na moją depresję, ale za to cały czas myślę o sprawie.

— Co teraz zamierzasz?

— Będę miał na oku pana Songa. Myślę, że tam znajdziemy wskazówkę, której szukamy. Prędzej czy później ktoś ciekawy tam się pokaże.

Melba patrzyła, jak Samuel głaszcze psa, który był cały szczęśliwy. Kręcił kuprem z kikutem ogona i mrugał w upojeniu.

— Nie martw się, co będziesz jadł. Zawsze w porze koktajli możesz coś wrzucić na ruszt.

— Dzięki. Postaram się zbytnio cię nie wykorzystywać. Na szczęście mój gospodarz przedłuży mi termin zapłaty czynszu. Więc jakiś czas przeżyję.

— Możesz przychodzić wieczorami i sprzątać. Trochę zarobisz, a przy okazji będziesz częściej widział się z Blanche — zaproponowała Melba.

* * *

Samuelowi ulżyło, kiedy stracił pracę, lecz jednocześnie poczuł się nieudacznikiem. Czemu Blanche miałyby kiedykolwiek się do niego zbliżyć? Czemu ją objął wtedy w biurze

Melby? Randka w restauracji wegetariańskiej była bardzo miła, ale nie posunęła niczego naprzód, nie pozyskał jej względów. Nie wypił ani jednego drinka, co Blanche zauważyła, pozostawiając bez komentarza.

Wprawdzie z Blanche nie poczynił postępów, ale jego stosunki z Excaliburem układały się cudownie. Pies chodził za nim jak cień, kiedy pracował przy barze, więc przyzwyczał się do jego ciągłej obecności. Praca fizyczna przy uzupełnianiu zapasów alkoholu oraz towarzystwo zaprzyjaźnionego psiaka skutecznie złagodziły depresję. Samuel złapał się na tym, że objaśnia psu swoje egzystencjalne niepokoje i przemyślenia związane ze sprawą. Nie mógł już jej nazywać „Sprawą Reginalda Rockwooda”, ponieważ zginęły trzy osoby. Była „złowróźbna”, jak powiedział chiński zielarz albinos.

Spojrzał wstecz na swoje życie i uzmysłowił sobie, że zawsze był samotnikiem, we wczesnych latach w Nebrasce, przez dwa lata na Uniwersytecie Stanforda i podczas wykonywania nudnej, podjętej z rozpaczliwej konieczności pracy sprzedawcy ogłoszeń w gazecie. Stopniowo docierało do niego, że wcale mu się ta izolacja nie podoba. Stało się to jasne, gdy zaczął spędzać czas z rodziną Rafaela.

Wpadał do baru nawet wtedy, kiedy nie pracował, i zabierał psa na spacer do Chinatown. Pewnego dnia na targu odkrył, że Excalibura fascynują pływające ryby, więc kupił mu pasiastą egzotyczną rybkę w szklanej kuli. Pies spędzał tyle godzin z nosem przyklejonym do szkła, wpatrując się w pływającą w kółko rybkę, że ta w końcu zdechła ze strachu. Samuel trzy razy kupował nową na miejsce tej, która padła, aż postanowił, że Excalibur albo będzie się wpatrywał w mar-

chewkę w szklanej kuli, albo znajdzie sobie inne hobby. Zapchlony psiak, podobny do teriera airedale, i zaniedbany były sprzedawca ogłoszeń z rzednącymi rudymi włosami tworzyli malowniczą parę.

* * *

Samuel rozejrzał się po ulicy, przy której pan Song miał swój sklep. Przeszedł się po okolicy zamaskowany ciemnymi okularami i z Excaliburem jako towarzyszem. Znalazł kilka miejsc nadających się na punkt obserwacyjny, między innymi samoobsługową pralnię, gdzie tyle razy, szpiegując, prał pościel, że się podarła. Korzystał też z obskurnej chińskiej restauracji Won Ton Cafe, naprzeciw i na skos od sklepu pana Songa.

Nazwę restauracji namalowano po wewnętrznej stronie upstrzonej przez muchy szyby, dużymi czerwonymi literami obwiedzionymi na żółto. Również od wewnątrz, ponad napisem, wisały cztery wypłowiałe różowe lampiony z taniego papieru, ale tylko dwa się paliły. Zobaczył przez okno trzy stoliki nadające się do prowadzenia obserwacji. Uznał, że jeżeli nie zwracając na siebie uwagi, będzie przychodził tu o różnych porach dnia, kiedy sklep pana Songa jest otwarty, uda mu się zaobserwować, kto tam bywa. Wywieszona na drzwiach menu zachęcało niskimi cenami, więc stać go było na oferowane tu tłuste potrawy. Kiedy wchodził pierwszy raz, potknął się w progu i właściciel wziął go za niewidomego.

— Pan nie widzieć? — spytał, sugerując się ciemnymi okularami i psem.

Samuel od razu spostrzegł pewną korzyść wynikającą z tej pomyłki.

— Tak, bardzo słabo widzę, prawie nic. A to jest pies przewodnik — powiedział, uśmiechając się z zażenowaniem.

— Dobrze. Siądzie pan tam. — Właściciel wziął Samuela za łokieć i skierował do ciemnego kąta.

— Nie, nie, pies potrzebuje światła — rzekł Samuel, wskazując stolik pod oknem.

Pomyślał, że się zdradził, ale właściciel, chociaż popatrzył na niego sceptycznie, podprowadził go razem z psem do okna. Podał mu napisane po chińsku menu i łamaną angielszczyzną opisał pokrótce każde danie. Samuel udawał, że nie widzi.

— Mamy specjalność zakładu, czyli won ton — zachęcił właściciel.

— Tak, poproszę specjalność zakładu i zieloną herbatę.

Won Ton Cafe nadawała się idealnie do tego, co sobie zamierzył Samuel. Przez kolejne dni, zamaskowany ciemnymi okularami, jadł tu codziennie lunch, wysiadując nad talerzem jak najdłużej. Tłuszcz tężał na potrawie grubą warstwą i jedzenie stawało mu w gardle. Na szczęście nie musiał długo czekać. Pewnego popołudnia około drugiej, kiedy już nie miał jak przedłużyć posiłku i zamierzał zapłacić, w Won Ton Cafe pojawił się nie wiadomo skąd jednoręki Chińczyk. Samuel był pewien, że nie widział, jak wchodzi. Przypuszczał, że od strony kuchni jest tylne wejście. Zauważył tego Chińczyka od razu, bo już gdzieś go widział. W pierwszej chwili nie mógł sobie przypomnieć gdzie, a potem go olśniło — na pogrzebie Louiego. Widział go, jak stał na skrzynce po pomarańczach, a kiedy później wspomniał o tym Charlesowi, usłyszał, że widział Fu Fung Fata, służącego Virginii Dimitri,

którego Charles przesłuchiwał po aresztowaniu Mathew. Jednoręki pozdrowił gestem właściciela, ale nie usiadł przy stoliku, tylko od razu wyszedł i udał się do sklepu Chińskie Zioła Pana Songa po drugiej stronie ulicy.

Samuel znajdował się w idealnym miejscu, by osiągnąć zamierzony cel. Widział Chińczyka, który rozmawiał z panem Songiem stojącym za kontuarem z czarnej laki. Słońce rozjaśniało wnętrze sklepu, dzięki czemu widział, co się tam dzieje. Znał tryb obsługiwanie klientów. Służący wręczył coś panu Songowi, zapewne kwit odbioru, pan Song popatrzył na wielki pęk kluczy, a asystent wspiął się po drabinie i zszedł z glinianym słojem. Jednoręki poszedł ze słojem za zasłonę z paciorków i po kilku minutach wrócił. Zamienił parę słów z panem Songiem, który wstawił słoje pod kontuar. Samuel domyślił się, że jest pusty, bo zwykle klient, nim wyszedł, czekał, aż zostanie odstawiony na właściwą półkę i zabezpieczony kłódką przez asystenta.

Fu Fung Fat opuścił sklep i przeszedł na drugą stronę ulicy z pękającym pakunkiem, który z trudem niósł. Ku zdziwieniu Samuela wrócił do Won Ton Cafe. Nie usiadł jednak przy stoliku, lecz znikł za zasłoną z niebieskiej ceraty w głębi sali. Samuel myślał, że poszedł do toalety, ale minęło pół godziny i nie wrócił. Samuel doszedł do wniosku, że poszedł w swoją stronę. Zawołał właściciela.

— Pan płaci? — spytał właściciel.

— Tak, ale chciałbym najpierw skorzystać z toalety — rzekł Samuel, wstając niezdarnie.

— Tam — wskazał właściciel, ale przypomniał sobie, że klient bardzo słabo widzi, i poprowadził go pod rękę

za zasłonę. Excalibur już się nauczył chodzić przodem przed niby-niewidomym.

Znaleźli się w długim, słabo oświetlonym korytarzu, gdzie było kilkoro zamkniętych drzwi, pomalowanych na brzydki jaskrawozielony kolor. Wokół gałek osadził się brud. Woń tłuszczu i niesprząniętych toalet przyprawiała o mdłości. Samuel gotów był przysiąc, że przebiegło przed nim parę karaluchów. Właściciel zatrzymał się przed drzwiami z kal-komanią przedstawiającą chińskiego wojownika. Sąsiednie drzwi zdobiła dama z cesarskiego dworu, zupełnie nie pasująca do obrzydliwego korytarza.

— To tu — rzekł właściciel i lekko pchnął Samuela w stronę drzwi.

Samuel wciągnął Excalibura do niewielkiego pomieszczenia i zatkał nos, bo smród był powalający. Na szczęście był sam. Excaliburowi odór nie przeszkadzał, wręcz przeciwnie, z przyjemnością węszył po kątach. Po chwili Samuel postanowił nie tracić więcej czasu. Wyszedł z toalety, ciągnąc Excalibura na smyczy, przeszedł ciemnym korytarzem, odchylił ceratową zasłonę i skinął na właściciela, trzymając ciemne okulary w ręku.

Właściciel popatrzył na niego bardziej z gniewem niż z zaskoczeniem, ponieważ od początku nie bardzo wierzył w jego ślepotę.

— Pan widzi? — wykrztusił.

— Tak, widzę — odparł Samuel — i mam problem. Przez tę zasłonę wszedł jednoręki człowiek i gdzieś znikł. Muszę wiedzieć, gdzie poszedł.

— Nikogo nie widziałem — zapewnił właściciel.

— To bardzo ważne. Jeżeli nie pokaże mi pan, dokąd poszedł, będę zmuszony sprowadzić tu policję. Rozumie pan?

— Policja nic mi nie zrobi. To moi przyjaciele.

Samuel poczerwieniał ze złości.

— Nie mówię o miejscowej policji. Mówię o federalnych. Rozumie pan?

Szyderczy uśmiech zgasł i na twarzy właściciela pojawiło się zaniepokojenie.

— Wiem, że płacicie łapówki Maurice'owi Sandovichowi, ale on wam nie pomoże, kiedy wezwę federalnych — zagroził Samuel.

Właściciel zmrużył oczy i wytarł dłonie o biały fartuch.

— Czego pan chce?

— Chcę wiedzieć, dokąd poszedł tamten mężczyzna — rzekł Samuel. — Jeżeli będzie pan współpracował, obiecuję, że nie będzie pan miał problemów z władzami.

— Skąd mam wiedzieć, że dotrzyma pan umowy?

— Musi mi pan zaufać. Nie ma pan wyboru. Gdyby przyszli tu federalni, byłoby po panu. A tak bez problemu możemy załatwić to we dwóch. Więc jak będzie? — Podparł się pod boki i zaczął stukać nogą, patrząc właścicielowi prosto w oczy.

— Zgoda — powiedział przestraszony właściciel.

— Umowa stoi — odparł Samuel.

Właściciel poprowadził go korytarzem do ostatnich drzwi i zapukał kilkakrotnie. Drzwi uchyliły się, a gdy ktoś stojący za nimi zobaczył właściciela Won Ton Cafe, otworzyły się szerzej. Weszli do pokoju tak zadymionego, że nie było widać, jakiej jest wielkości. Samuel, pokaszując, zobaczył przez łyzy nabiegające do oczu i przez dym, że stoi tu kilka

okrągłych stolików pokrytych filcem, a nad każdym z nich wisi lampa z abażurem. Przy stolikach nie było ani jednego wolnego miejsca. Chińczycy grali w gry hazardowe.

Jeden stół okupowało pięciu pokerzystów. Przy drugim grano w kości i z jednej strony stołu umieszczono zastawkę, od której rzucone kości się odbijały. Hałas był ogromny. Pieniądze i żetony przepływały z rąk do rąk, czemu towarzyszyły wzmożone krzyki i wrzaski. Chińczycy obstawiali wyniki gier karcianych, rzutów kośćmi, madżonga oraz innych gier z małymi pałeczkami, nieznanymi Samuelowi. Sądząc po podnieceniu klientów, w tajnym kasynie musiały krążyć spore sumy pieniędzy. Excalibur zaczął ciągnąć smycz, chcąc jak najszybciej uciec od dymu.

— Gdzie on jest? — spytał Samuel.

Właściciel skinął palcem, sygnalizując Samuelowi, żeby poszedł za nim w głąb pokoju, do drugich drzwi. Przekręcił klucz i otworzył drzwi, pokazując schody prowadzące w dół do jakiejś ciemnej sutereny. Zapalił światło, niczym nieostłoniętą żarówkę w połowie schodów. Samuel nie mógł dojrzeć, co jest na samym dole. więc spojrzał na właściciela pytająco.

— Wyjście — wyjaśnił właściciel. — Klienci hazardują. Kiedy muszą wyjść, tu drzwi i w dół po schodach.

— Dokąd prowadzą schody?

— Do Chinatown.

— Pan je zbudował?

Właściciel potrząsnął głową.

— Nie, nie. Wielu Chińczyków. Przeszło sto lat temu. Pan zejdzie na dół, poszuka człowieka. Tylko ani słowa policji — przypomniał i wepchnął Samuela na podest u szczytu schodów.

Excalibur, który chciał jak najszybciej uciec od dymu, pociągnął smycz i obaj zaczęli schodzić w dół. Właściciel zamknął za nimi drzwi na klucz.

Na dole znaleźli się w piwnicy słabo oświetlonej żarówką w klatce schodowej. Zamiast podłogi było klepisko, a ściany z nierównej ziemi podierała konstrukcja z belek i sztab, tworząc tunel niczym w kopalni. W wilgotnym powietrzu unosiła się woń ekskrementów. Samuel zadrżał. A jeżeli jednoręki wcale tędy nie wyszedł i właściciel restauracji zamknął ich w tej norze? Nikt nie usłyszałby jego krzyków, tkwił razem z psem w trzewiach Chinatown. Wyobraził sobie ludzi idących ulicą gdzieś ponad nim.

Czytał w jakiejś powieści o tym, że Chinatown powstało w dziewiętnastym wieku, w czasie gorączki złota i że nielegalną działalność, taką jak prostytutka i hazard, prowadzono pod ziemią, gdzie również zabijano ludzi. Jak powiedział właściciel Won Ton Cafe, te podziemne przejścia liczyły sobie co najmniej sto lat i nadal służyły tym samym celom co dawniej.

Wzrok szybko mu się dostosował do kiepskiego oświetlenia i wtedy zobaczył metalowy przełącznik na słupie w tunelu. A przynajmniej domyślał się, że to przełącznik. Pociągnął i zapaliły się światła, bardzo słabe, pozwalające jednak zorientować się, gdzie jest. Nie mógł uwierzyć własnym oczom. Korytarze rozchodziły się we wszystkich kierunkach. Był tu prawdziwy labirynt. Na ścianach przyczepiono kawałki tektury — zapewne drogowskazy — z chińskimi znakami, więc nie mógł z nich skorzystać, choć i tak nie miało to znaczenia, bo przecież nie wiedział, w którą stronę poszedł jednoręki.

Za to Excalibur nie miał problemów ani z językiem, ani z kierunkiem. Ciągnąc smycz, zaczął krążyć z nosem przy ziemi, aż w końcu wybrał jeden z korytarzy. Zachowywał się tak, jakby wiedział, czym śladem mają podążać. Samuel szedł za nim niemal po omacku w półmroku, uważając, żeby nie wpaść w jakąś dziurę i nie uderzyć w biegnące nad głową rury.

Cieężko było oddychać stęchłym powietrzem. Samuel pomyślał, że jeżeli w ogóle jest tu jakiś system wentylacyjny, to raczej prymitywny.

Mijał drzwi, metalowe albo drewniane, z ledwie widocznymi chińskimi znakami i cyframi. Brakowało mu zapalek albo zapalniczki, które zawsze nosił przy sobie, kiedy palił. Zobaczył kawałek tektury ze strzałką, która zapewne wskazywała wyjście, ale Excalibur szedł za swoim nosem, więc Samuel uznał, że najlepiej zaufać instynktowi psa.

W końcu dotarli do zakrętu korytarza i pies zatrzymał się przed metalową drabinką prowadzącą dwa metry w górę do metalowych drzwi. Excalibur zaczął gorączkowo węszyć, popiskiwać i drapać ziemię. Samuel usiłował odczytać, co jest napisane na drzwiach białą rozmazaną farbą.

— A niech mnie! — wykrzyknął. Był tam numer 838.

Wziął psa pod pachę i przytrzymując się drugą ręką, wszedł po drabinie. Na szczęście drzwi dały się bez trudu otworzyć. Wypuścił Excalibura na cementową podłogę. Pod sufitem biegły rury, słychać było szum jakichś urządzeń. Rzędy ponumerowanych, pozamykanych na kłódki drzwi prowadziły zapewne do piwnic przeznaczonych dla mieszkańców budynku. Samuel nie musiał szukać wyjścia, bo pies pociągnął go

do jakichś schodów. Weszli po nich i znaleźli się na podeście. Otworzył jedyne drzwi i wszedł do holu budynku 838 przy Grant Avenue.

Podłoga z czarnego marmuru z białymi prążkami, gładko wypolerowana, odbijała ustawioną pod ścianą starożytną zbroję, nad którą wisiało wielkie lustro oprawione w bambus. W dwóch miejscach stały drogie chińskie parawany, a wystrój dopełniała okazała biała sofa i rozmaite rośliny. Obok windy, za szkłem, wisiał spis mieszkańców wykonany mosiężnymi literami. Samuel westchnął z ulgą, bo przy biurku strażnika nie było nikogo, wiedział jednak, że ma mało czasu, bo w takim budynku zwykle ktoś strzegł wejścia.

W spisie nadal figurował Mathew O'Hara jako mieszkaniec czwartego piętra. Samuel nie miał wątpliwości, dokąd dotarł Fu Fung Fat. Melba powinna być dumna z Excalibura, kiedy usłyszy, jaki był dzielny. Uznał, że zobaczył to, co chciał, i ruszył do wyjścia, ciągnąc psa ślizgającego się po czarnym marmurze.

* * *

W drodze powrotnej do Camelotu Samuel rozważył to, czego się dowiedział, zastanawiając się nad następnym krokiem.

Kiedy dotarł na miejsce, podał Melbie smycz i powiedział:

— Zaraz wszystko ci opowiem. Ale teraz muszę do kogoś zadzwonić.

Popędził do budki na tyłach baru. Zamknął drzwi i poczuł w nozdrzach zastarzałą woń tytoniu. Tym razem nie ogarnęło go obrzydzenie. Wręcz przeciwnie, strasznie mu się zachciało zapalić. Wykręcił numer biura Charlesa i połączył się z nim.

— Śledziłem służącego Virginii od sklepu pana Songa do numeru osiemset trzydzieści osiem przy Grant Avenue. Tam ma apartament O'Hara.

— I co z tego? — rzekł Charles. — Tam ten przydupas mieszka.

— Zabrał coś od pana Songa i zaniósł tam tajnym przejściem — powiedział Samuel.

— Tajnym przejściem? Jakim tajnym przejściem?

— Tajnym przejściem pod ulicami Chinatown.

— Oszalałeś.

— Nie, daję słowo.

— A jak odkryłeś to przejście? — spytał z niedowierzaniem Charles.

— Teraz to nie jest najważniejsze. Opowiem ci później. Myślisz, że możesz załatwić drugi nakaz rewizji? Może uda nam się znaleźć jakiś ważny dowód, jeżeli szybko wejdziemy do apartamentu. Na razie nikt nie wie, jakiego dokonałem odkrycia.

— Przeszukaliśmy apartament bardzo dokładnie — rzekł Charles. — Zapewniam cię, że nie ma tam nic, co mogłoby nas zainteresować.

Ty zarozumiała dupku, pomyślał Samuel. Podaję ci to na talerzu, a ty mnie w ogóle nie słuchasz.

— Człowiek wyjął coś ze słoja, duży pakunek. To może być część tego pół miliona O'Hary. Na pewno nie wszystko, reszta musi być schowana w drugim słoju. A do słoja musi być klucz albo kwit. Nie szukaliście ich, kiedy robiliście rewizję w mieszkaniu, prawda?

— No nie. Nie wiedzieliśmy, czego szukamy.

- Nie sądzisz, że warto spróbować?
- Przygotuję drugi nakaz — postanowił Charles.

* * *

Na drugi dzień, o wpół do ósmej rano ekipa stróżów prawa i agentów FBI przysłała ponownie do apartamentu przy Grant Avenue razem z Charlesem. Samuel, choć umierał z ciekawości, zgodził się poczekać w restauracji przy tej samej ulicy, ale kawałek dalej.

Federalni przytowadzili ze sobą tłumacza, bo chcieli dowiedzieć się czegoś od Fu Fung Fata. Przepytywali go przez trzy godziny, lecz nie uzyskali żadnej nowej informacji.

W drugim pokoju stawili czoło Virginii Dimitri. Ponieważ zjawili się tak wcześnie, zastali ją w łóżku. Dali jej czas na ubranie się, co trwało prawie godzinę. W końcu się pokazała, wyświeżona i stylowo ubrana: w rozkloszowanej spódnicy, czerwonej bluzce, sandałach, z upiętymi w kok włosami. Oznajmiła, że musi zacząć dzień od napicia się kawy, co zabrało kolejne dwadzieścia minut.

— Wiemy, że ma pani kwit ze sklepu pana Songa, a ten nakaz rewizji pozwala nam go zabezpieczyć jako dowód. Proszę więc nam go oddać.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi. Nic mnie nie łączy z tą osobą, którą nazwał pan panem Songiem — odpowiedziała.

— Z czego się pani utrzymuje od czasu aresztowania pana O'Hary? — spytał Charles.

— Nic panu do tego.

Charles zrozumiał, że próby zastraszenia tej kobiety to

dalsza strata czasu, wobec czego wydał rozkaz drobiazgowego przeszukania mieszkania, a w razie konieczności nawet dokonywania zniszczeń, by znaleźć to, czego szukali: pieniędzy oraz prawdopodobnie kwitu i klucza.

Virginia siedziała w kuchni, malując paznokcie i popijając kawę, całkowicie spokojna, podczas gdy stróże porządku szli przez jej mieszkanie jak huragan, wybebeszając szuflady, przestawiając do góry nogami meble i opróżniając pojemniki w kuchni. Nie zrobili jednego — nie zajrzeli za panele sufitowe.

Sfrustrowany agent FBI, który przesłuchiwał Fu Fung Fata, zaczął rwać sobie włosy z głowy.

— Będziemy musieli go aresztować i zagrozić, że deportujemy go do komunistycznych Chin wraz z rodziną, jeżeli w ogóle ma tu rodzinę. Wielu takich przesłuchiwałem, ale ten jest najtwardszy — rzekł agent do Charlesa.

Fu Fung Fat spytał uprzejmie, czy w tym czasie, kiedy oni demolują mieszkanie, on może wziąć się do pracy. Poszedł do kuchni i wyciągnął spod zlewu worek ze śmieciami. Przeszukano go już wcześniej, ale jeden z funkcjonariuszy, podejrzewając, że służący chce coś chyłkiem usunąć z mieszkania, wyrzucił zawartość worka na podłogę i obejrzał dokładnie każdy śmieć. Jednoręki tylko uśmiechał się chytrze. W całym mieszkaniu nic nie znaleziono i cztery godziny później zrezygnowano z poszukiwań.

— Wiemy, że pani coś ukrywa, pani Dimitri — oświadczył Charles.

— Udowodnijcie mi to.

— Może pani na to liczyć. Wrócimy tu.

— Musicie wrócić, żeby odstawić wszystko na miejsce i posprzątać mi dom, jeżeli nie chcecie, żebym was oskarżyła o nadużycie władzy — odparła spokojnie.

— Niech pani spróbuje. Zobaczymy, jak daleko pani dojdzie.

* * *

Charles razem z agentami podeszli kawałek ulicą do restauracji, gdzie przez całe przedpołudnie czekał Samuel. Stracił rachubę, ile wypił filiżanek kawy.

— Cholera, nic nie znaleźliśmy — - oznajmił Charles, bardzo zły.

— Uspokój się. Niczego nie zgubiliśmy — rzekł Samuel.

— Ale ile straciłem czasu!

— Nie straciłeś. Dimitri i jej służący przestraszyli się i wkrótce zaczną działać. Nie wspomniałeś o tajnym przejściu, prawda?

— Oczywiście, że nie.

— Na pewno Dimitri tam właśnie pójdzie — powiedział z uśmiechem Samuel, zacierając radośnie ręce.

— Jak się tam dostaniemy? — spytał Charles.

— Pokażę ci — odparł Samuel. — Musimy się zakraść do budynku. Czy strażnik siedział w holu, kiedy wychodziliście?

— Chyba tak. Ale to nie jest problem. Wie, że robiliśmy rewizję na piętrze. Agencie Reiss, pójdzie pan i odwróci uwagę strażnika — rozkazał Charles.

— Jak? — spytał Reiss.

— Jak pan chce. Niech mu pan powie, że musi mu pan zadać kilka pytań na osobności. Niechże pan coś wymyśli, na litość boską.

- Jak długo mam go zabawiać?
- Przyniosłeś latarki? — spytał Samuel.
- Latarki? A skąd. Nikt nie chodzi z latarkami w środku dnia — odparł Charles.
- Przecież mówiłem, że korytarze są ciemne!
- Mówiłeś, że są tam żarówki.
- Zapaliłem je wczoraj, kiedy tam byłem, ale nie ma gwarancji, że dzisiaj będzie tam światło.
- Pójdę kupić latarki — zaproponował jeden z agentów.
- Nie, lepiej ja pójdę — rzekł Samuel, bo kupujący pół tuzina latarek wysoki agent FBI w garniturze, ciemnych okularach i kapeluszu na pewno zwróciłby na siebie uwagę.

Zostawiwszy towarzystwo przy kawie i papierosach, Samuel poszedł szybko do jednego z okolicznych sklepów dla turystów. Wśród niezliczonych plastikowych lalek, kopii mostu Golden Gate, wachlarzy, erotycznych rzeźb ze sztucznej kości słoniowej oraz walizek znalazł to, czego szukał. Po dwudziestu minutach wrócił do restauracji.

Reiss wyszedł, żeby zająć się strażnikiem, a drugiego agenta postawiono na czatach w pobliżu restauracji, żeby śledził główne wejście do budynku. Charles Perkins rozejrzał się po ulicy, czy nie dzieje się coś dziwnego, ale Chinatown zajęte było własnymi sprawami, jak zwykle obojętne. Nikt nie zatrzymał na dłużej spojrzenia na czterech mężczyznach, którzy przeszli przez ulicę, jakby maszerowali na wojnę. Samuel miał nadzieję, że Virginia i Fu Fung Fat są tak bardzo zajęci, że nie podejną do okna i nie zobaczą nadchodzących.

Weszli do holu numeru 838 i zeszli do piwnicy, gdzie Samuel odnalazł drzwi do tajemnego przejścia. Zanurzyli się w ciemnościach, zamknęli drzwi i zeszli po metalowej drabinie do trzewi Chinatown.

— Co za gówniana kryjówka. Mój czas jest cenny, nie znoszę go tracić. Obyś miał rację, że coś się wydarzy — rzekł Charles, grożąc Samuelowi palcem i świecąc latarką w górę na płataninę rur obwieszoną pajęczynami z martwymi owadami i w dół, na mokrą ziemię z kałużami.

— Panie Perkins, tu są szczury! — wykrzyknął jeden z agentów.

— A czego pan się spodziewał, kwiatów? — odparł prokurator.

— Musimy być cierpliwi. Dimitri czuje się jak w pułapce, a to jest droga jej ucieczki. Pojawi się — zapewnił Samuel.

— Możemy zapalić? — spytał jeden z agentów.

— Czemu nie. Szkoda, że nie przynieśliśmy kosza z prowiantem i śpiworów — zażartował Charles.

— Postarajmy się nie zwracać niczyjej uwagi — poprosił Samuel.

— Przecież tu nie ma żywej duszy! — zauważył Charles.

— Tak ci się tylko zdaje — rzekł Samuel.

* * *

Przycupnęli w pobliżu drabiny w zupełnych ciemnościach. Kawalek dalej wiszące pod sufitem żarówki rzucały mdłe światło na korytarz. Przebiegł tamtędy jakiś Chińczyk, nie zauważając ukrytych mężczyzn. Potem minęły ich jeszcze trzy osoby, w tym kobieta z dzieckiem na plecach. Przechod-

nie, jeżeli w ogóle ich zauważyli, nie okazali zaskoczenia. Samuel pomyślał, że z podziemnego labiryntu korzystają także nie-Chińczycy.

— To wygląda jak podziemna autostrada przez Chinatown — szepnął Charles.

— Wyobrażam sobie, ile ciemnych sprawek ułatwiają te podziemne przejścia — odparł Samuel, myśląc o jaskini hazardu na zapleczu Won Ton Cafe i dziesiątkach podobnych lokali, które niewątpliwie istniały w najbliższej okolicy.

Wreszcie, przeszło godzinę później, otworzyły się drzwi do piwnic domu numer 838, na platformę u szczytu drabiny wyszedł Fu Fung Fat i rozejrzał się, przytrzymując bezrękim ramieniem uchylone drzwi. Mężczyźni ukryci w mroku koło drabiny zamarli. Fu Fung Fat, pewien, że nikt go nie widział ani nie słyszał, wycofał się do piwnic i zamknął drzwi.

— Sprawdź teren. Niedługo wróci — szepnął Samuel.

Charles poklepał go po plecach.

— Plan przynosi owoce — rzekł z wyraźną ulgą. — Coś się dzieje.

Przez następne dziesięć minut nic się nie działo, a potem znowu otworzyły się drzwi do budynku i pojawił się Fu Fung Fat z dużą walizką, którą wciągnął na podest. Za nim weszła Virginia Dimitri ubrana od stóp do głów na czarno. Odpowiednio, by dyskretnie przemieszczać się podziemną autostradą, pomyślał Samuel. Też niosła walizkę, ale dwa razy mniejszą i na pewno lżejszą od tej, z którą męczył się jej służący.

Virginia przywiązała linę do rączki pierwszej walizki i pomogła służącemu spuścić ją szczebel po szczeblu aż do dołu drabiny, gdzie wylądowała z łoskotem, wzbijając kurz. Potem

Fu Fung Fat zwinnie jak na jednorękiego zszedł po drabinie i odwiązał linę, którą Virginia wciągnęła na górę. Cała operacja została powtórzona z drugą walizką i dość szybko oboje znaleźli się na dole z całym bagażem. Oczekali chwilę, przyzwyczajając oczy do ciemności. Wtedy ujawnił swoją obecność Charles.

— Spodziewaliśmy się pani, pani Dimitri — powiedział, zapalając latarkę i świecąc jej prosto w twarz. — Nakaz rewizji zachował ważność, więc chcielibyśmy zobaczyć, co ma pani w tych walizkach.

Virginii odjęto mowę. Pochyliła się i postawiła małą walizkę na ziemi, a potem wyprostowała się dumnie, zaplotła ręce przed sobą i popatrzyła prokuratorowi prosto w oczy. Mimo drżącej górnej wargi zdawała się całkowicie panować na sytuacją.

— Jeżeli zamierza pan naruszyć moją prywatność, mam prawo do adwokata. I proszę nie świecić mi w oczy.

— Wszystko po kolei. Najpierw otworzymy walizki — odparł Charles.

Dwaj agenci FBI obstąpili służącego i obszukali, upewniając się, czy nie ma broni.

— Zrobimy to w lepszych warunkach. Nie ma pani nic przeciw temu? — spytał Charles szyderczo.

Nie czekając, aż odpowie, agenci kazali podejrzanym wejść po drabinie i wciągnęli za nimi walizki. W oświetlonej jarzeniówkami, widnej piwnicy budynku agenci przykuli jedyny nadgarstek Fu Fung Fata do rury. Virginia rozejrzała się szybko dokoła, jakby szukała drogi ucieczki, lecz od razu pojęła, że podjęcie takiej próby jest skazane na niepowodzenie.

Miała w oczach nieokiełznany gniew, lecz nie stawiała oporu, gdy zakuwano jej z tyłu ręce.

Najpierw otworzono dużą walizkę. Więcej niż połowę miejsca zajmowały pakiety studolarówek, a resztę wypełniały stylowe kobiece stroje.

— No proszą! — wykrzyknął Charles. — Czyżby to były pani oszczędności?

Następnie przeszukano niniejszą walizkę. Ta była wypełniona po brzegi plikami studolarowych banknotów.

— Dużo pieniędzy, ale brakuje około połowy z tego pół miliona dolarów, którego szukamy. Został jeszcze kwit i klucz do drugiego słoja u pana Songa. Musi je gdzieś mieć. Przeszukaj ją — szepnął Samuel do Charlesa, odciągawszy go przedtem na bok.

— To nie takie proste — zaproponował Charles. — Musimy mieć powód.

— O czym ty mówisz, do cholery? — zaczął się gorączkować Samuel. — Zatrzymujemy tę kobietę w tajnym przejściu pod ulicami Chinatown z furą forsy i to nie jest wystarczający powód?

Teraz już wszyscy na nich patrzyli.

— Dobra, dobra — uspokoił go Charles. — Ciszej. Ja tu dowodzę. — Poprawił krawat i wyprostował plecy. — Pani Dimitri, wiemy, że ma pani kwit i klucz do pani własności przechowywanej w sklepie Chińskie Zioła Pana Songa. Proszę natychmiast nam je oddać.

— Przeszukaliście mój dom i niczego nie znaleźliście. Zostawcie mnie w spokoju! — wypaliła Virginia, błada z wściekłości.

— Oszczędzi sobie pani wiele kłopotu, jeżeli będzie pani z nami współpracować.

— Nie mam pojęcia, o czym pan mówi — rzekła wyzywająco.

— Będziemy musieli panią przeszukać. Nie mamy wyboru.

— Jeżeli tkniecie mnie palcem, gorzko tego pożałujecie. A jeżeli natychmiast mnie nie wypuścicie, podam was i rząd do sądu. Już ja się postaram, żebyście obaj, i pan, i ten sukinsyn, który jest z panem, stracili pracę. Jeżeli jeszcze się nie zorientowaliście, przypominam, że mam w tym mieście znajomości.

Samuel nie miał już pracy, więc groźba Virginii zabrzmiała w jego uszach humorystycznie.

— No cóż, pani Dimitri, zabierzemy panią do aresztu i tam przeprowadzimy rewizję osobistą. Nie będzie dla pani przyjemna, już ja się o to postaram — zagroził ze złośliwym uśmiechem Charles.

Wezwał jednego z agentów FBI.

— Zabierze pan panią Dimitri do biura szeryfa federalnego, każe ją przeszukać i spisać — wydał polecenie.

— Pod jakim zarzutem, szefie? — spytał agent FBI.

— Przenoszenia kradzionych pieniędzy — rzucił bez namysłu.

Virginia roześmiała się w głos.

— Nie uda ci się tak mnie wrobić, sukinsynu. Wyjdę po godzinie, a ty poniesiesz konsekwencje.

— Na pewno nie, jeżeli znajdę to, czego szukam — odparł Charles.

Wydał polecenie, by zabrano także służącego i walizki.

— A zarzut?

— Taki sam. Przenoszenie kradzionych pieniędzy. Przyłapaliśmy ją. Mam nadzieję, że skutecznie. W tych walizkach są tysiące dolarów. Skąd ma te pieniądze i dokąd je zabierała?

— Zamierzała z nimi uciec, to oczywiste. A to znaczy, że ma kwit i klucz przy sobie — rzekł Samuel.

— Jeżeli ma je przy sobie, to je znajdziemy.

* * *

Przesłuchanie i rewizja Virginii Dimitri w biurze szeryfa federalnego były burzliwe. Virginia odmówiła udzielenia odpowiedzi na jakiegokolwiek pytanie i zażądała, by umożliwiono jej skontaktowanie się z adwokatem. Dwie funkcjonariuszki musiały ją przytrzymać, kiedy ją rozbierano. Virginia pierwszy raz w życiu urządziła histeryczną scenę, doprowadzając się do stanu, w którym utraciła kontrolę nad sobą. Wrywała się, drapiąc, gryząc i kopiając. Krzyczała, ile sił w płucach: „Widzicie, lesbijskie suki, nic nie mam!”. Trzecia funkcjonariuszka włączyła się do akcji i w końcu udało się opanować Virginię i położyć ją na stole. W jej pochwie znaleziono kwit i klucz, włożone do plastikowej torebki.

Funkcjonariuszka mrugnęła do Virginii i rzekła łagodnie:

— To nigdy nie zawodzi, złotko. Te, które mają najwięcej do ukrycia, najgorzej hałasują.

Puściły ją i dały czyste więzienne ubranie, ale Virginia ciągle się wściekała, wykrzykując przekleństwa i rwąc włosy z głowy. Znowu musiały ją przytrzymać. Po godzinie wciąż nie mogła się uspokoić i zaczęła tracić głos. Powstała obawa,

że grozi jej atak serca. Wezwano lekarza, który zaaplikował jej środek na uspokojenie, a potem odesłano ją na oddział psychiatryczny.

* * *

Mając kwit i klucz w ręku, Charles postarał się o nowy nakaz rewizji i znów zjawił się u pana Songa wraz z dwoma szeryfami federalnymi, specjalistą FBI od odcisków palców i, oczywiście, Samuelem, któremu to wszystko zawdzięczał.

Pan Song odprawił swój zwyczajowy rytuał, kłaniając się zza kontuaru z czarnej laki. Zadziwił swoim wyglądem tak samo jak za pierwszym razem.

Pogłaskał rzadką białą bródkę, oglądając kwit, i pokiwał głową. Potem popatrzył spokojnie na Samuela i Charlesa, opierając dłonie na czarnym kontuarze, jakby rozważał rysujące się przed nim możliwości. W końcu dał znak asystentowi, by sprowadził siostrzenicę. Minęło piętnaście długich minut. Kiedy panna Królicze Zęby wreszcie się pojawiła, najpierw przez dziesięć minut rozmawiała z wujem. Potem przeszła do rzeczy.

— Witam pana, panie Hamilton. Jak pański humor i zdrowie? — spytała.

— Bardzo dobrze, dziękuję.

— Cieszę się. Może pan znów do mnie przyjść. Teraz będzie taniej. — Dziewczyna uśmiechnęła się, odsłaniając urocze zęby gryzonia.

Charles uniósł brwi.

— O czym ona mówi? Mam nadzieję, że nie spotykałeś się z tą młodą dziewczyną.

— Nie, nie, nic z tych rzeczy. Pan Song jakiś czas temu pomógł mi rzucić palenie. Później ci o tym opowiem — odparł Charles, rumieniąc się.

— Powiedz wujowi, że mamy kwit, klucz i nakaz rewizji, tak jak ostatnim razem — polecił Charles.

Dziewczyna przez pięć minut rozmawiała z wujem i przetłumaczyła.

— Mój czcigodny wuj mówi, że panowie jeszcze nie zwrócili słoï zabranych poprzednio.

— Zaraz po zamknięciu sprawy zwrócimy je, obiecuję. To już niedługo.

— Kiedy?

— Nie potrafię powiedzieć dokładnie. Teraz muszę zabrać drugi słoï, ten, na który wystawione jest pokwitowanie.

— Mój czcigodny wuj powtarza to, co powiedział ostatnim razem. Zawartość należy do pana, lecz nie sam słoï.

— Porozmawiamy o tym później. Najpierw muszę zobaczyć, co jest w środku.

Asystent wszedł po drabinie i zniósł pojemnik, o którym była mowa. Samuel przypomniał sobie, że kiedy Fu Fung Fat był tu poprzednio, asystent pana Songa zdejmował mniejszy słoï ze środka ściany, a teraz została po nim w tym miejscu przerwa.

Charles zarządził zdjęcie odcisków palców z przykrywki przed zbadaniem jego zawartości.

Następnie otworzono słoï i wydobyto z niego jeden po drugim znajomo wyglądające pakiety ze studolarowymi banknotami. Charles popatrzył na nie z niedowierzaniem, po czym również nakazał, by pobrać z nich odciski palców.

— Tu jest mnóstwo pieniędzy! Czy ma pan jeszcze jakieś słoje należące do Virginii Dimitri? — zapytał pana Songa.

— Spytaj go o tę przerwę pośrodku ściany — podpowiedział Samuel. — Do kogo należał tamten?

— Mówi, że interesy z tamtą osobą są skończone. Dlatego to miejsce jest puste.

— Spytaj, gdzie jest słój? — szepnął Samuel do Charlesa. — To ten właśnie otwierał służący, kiedy tu niedawno był.

— Musi nam pan przynieść ten słój — rozkazał Charles.

Kiedy pan Song zrozumiał, czego żąda Charles, wysłał asystenta za zasłonką z koralików, a kiedy tamten wrócił ze średnim słojem, postawił go na kontuarze.

— Co w nim było? — spytał Charles.

Pan Song poczekał na tłumaczenie.

— Mój czcigodny wuj nie wie — powiedziała dziewczyna, wybuchając zaraźliwym śmiechem. — A gdyby nawet wiedział, nie powiedziałby panu.

Charles nie słuchał jej. Również z tego słoja kazał zdjąć odciski. Potem policzył pieniądze. Kilkaset tysięcy dolarów. Odzyskali już setki tysięcy z walizek Virginii Dimitri. W sumie więcej niż pół miliona. Większość pieniędzy, pięćset tysięcy, zapewne należała do Mathew O'Hary. Co Virginia Dimitri zamierzała z nimi zrobić? I jeszcze ważniejsze pytanie: skąd pochodziła i do kogo należała reszta

Pan Song wyszedł za nimi na ulicę, protestując po chińsku, że go okradają, robią zamach na jego własność, konfiskują mu słoje, a on nie może ich powstrzymać.

Samuel, który nawiązał z nim bliższy kontakt i rozumiał

jego frustrację, wyszedł ze sklepu ostatni. Z rewerencją pożegnał się z albinosem, siostrzenicą z wystającymi zębami i asystentem i obiecał, że osobiście dopilnuje, by zwrócono zabraną własność.

— Powiedz wujowi, że nadal nie palę — dodał.

— Pan Song mówi, że to dobrze. Ma nadzieję, że zaczyna pan rozumieć, jaka „złowróźbna” jest ta cała afera, tak jak już wcześniej panu powiedział.

— Tak, zaczynam to rozumieć — odparł Samuel.

— Mój czcigodny wuj prosi, żeby nie przyprowadzał pan tu więcej swoich przyjaciół — przetłumaczyła dziewczynka z zębami jak bóbr.

* * *

W ten weekend Melba razem z Samuelem pojechali odwiedzić Mathew O’Harę, który od dwóch miesięcy leżał na więziennym oddziale w szpitalu. Schudł prawie dwadzieścia kilo i postarzał się o dwadzieścia lat. Nie wiedzieli, co powiedzieć, obawiając się, że usłyszą najgorsze, że może Mathew umiera, lecz on ich zaskoczył.

— Bardzo się cieszę, że was widzę — powiedział.

— Słyszeliśmy, że nie udało się uratować nogi — wypaliła Melba.

— Amputowali mija. Wyobrażacie sobie?! Po tym wszystkim, co przeszedłem.

— Przeszedł pan przez piekło, szefie — potwierdziła Melba, patrząc z udręką tam, gdzie powinien mieć nogę.

— To nic w porównaniu z tym, co przeszła rodzina Rafaela. Wiem, że jesteś z nimi blisko, Melbo. Opowiedz mi, jak sobie

radzą. Słyszałem, że żona Rafaela urodziła zdrowe dziecko — rzekł Mathew.

Melba знаła Mathew od wielu lat. Pamiętała go jako człowieka wiecznie zaganianego, niespokojnego, snującego ambitne plany, takiego, który nigdy nie przejawiał zainteresowania cudzymi problemami. Nie pamiętał nawet imion swoich pracowników, za to nie zapominał o ludziach, którzy mogli być mu do czegoś przydatni.

— O tak, to piękny chłopak. Podobny do ojca — powiedziała z trudem Melba.

— Zgadza się — dorzucił Samuel. — Zdumiewająca rodzina. Na szczęście mają siebie.

— Melbo, chcę, żebyś coś dla nich zrobiła, ale jestem uwięziony w tym łóżku, a potem pójdę do więzienia. Czy możesz zostać moim pośrednikiem?

— Co miałabym zrobić?

— Chcę, żebyś wypłacała im miesięczną zapomogę w wysokości pięciuset dolarów z dochodów z baru, czyli to, co dawałaś mnie.

— To znaczy, że rezygnuje pan ze swojego udziału w barze, szefie?

— Bar jest na twoje nazwisko.

— Tak, ale oboje wiemy, że jesteśmy partnerami. A może tę połowę zapiszemy na rodzinę Rafaela, żeby nie było kłopotów w razie, gdyby coś mi się przydarzyło — powiedziała Melba.

— Nie oczekiwałem od ciebie mniej — rzekł z uśmiechem Mathew.

— Wiem, że straciłeś znaczną część majątku, Mathew. Jesteś bardzo hojny.

— Nie byłoby mnie tutaj, gdyby nie Rafael. Mam nadzieję, że któregoś dnia poznam jego rodzinę. Nigdy się dość nie odwdzięczę za to, co zrobił dla mnie ten chłopak. Dał mi więcej niż życie, dał mi nowe życie.

Samuel pomyślał, że jest świadkiem czegoś, co zapamięta na zawsze, świadkiem przemiany człowieka. Mathew nie był zdruzgotany tragedią, przeciwnie, wydawał się pełen spokoju, niemal zadowolony.

— A co z tobą, Mathew? — spytała. — Co ciebie czeka?

— Mój adwokat mówi, że po tym wszystkim, co się wydarzyło, wyjdę szybciej, ale muszę jeszcze iść na oddział z rehabilitacją i nauczyć się chodzić z protezą. Ale przedtem muszą mi się zagoić rany i musi zejść opuchlizna. To jeszcze potrwa.

— Bardzo mi przykro — powiedział Samuel.

— Nie współczuj mi. Dużo się o sobie nauczyłem, a to naprawdę ważne. Mam jeszcze parę lat do przeżycia i nie zamierzam ich zmarnować.

Kiedy stamtąd wychodzili, Samuel podzielił się z Melbą spostrzeżeniem.

— Ból go zmienił, jako człowiek wzniósł się na wyższy poziom — rzekł głęboko poruszony.

— Tak... zobaczymy — odparła Melba. — Ludzie tak bardzo się nie zmieniają, niezależnie od tego, co im się przydarza. Zanim zmieni zdanie, zrobię z rodziny Garcia współwłaścicieli baru.

* * *

Kilka dni później Samuel odebrał pilny telefon od Melby i pobiegł do Camelotu. Excalibur zaczął machać ogonem z upojnym entuzjazmem.

— No już dobrze, psino, uspokój się. Będę ci musiał kupić nową marchewkę do twojego akwarium — rzekł ze śmiechem, głaszcząc psa.

Przy okrągłym stoliku siedział muskularny mężczyzna z krótko ostrzyżonymi siwymi włosami. Był to Maurice Sandovich. Nie miał policyjnego munduru, ale i tak można w nim było wyczuć policjanta. Sączył podwójny albo potrójny burbon z lodem i rozmawiał z powagą z Melbą.

— Witaj, Samuelu. Maurice ma dla ciebie wieści.

Ostatni raz Samuel widział Sandovicha z za weneckiego lustra podczas przesłuchania. Jego zaś Sandovich w ogóle widział tylko raz.

— Cześć — rzekł. — Miło się spotkać dla odmiany na gruncie towarzyskim.

— Miło pana widzieć, panie mecenasie.

— Nie, pomylił mnie pan z Charlesem Perkinsem — poprawił go Samuel.

— Ach, tak. To pan jest tym reporterem.

Samuel zarumienił się, jakby usłyszał komplement. Był bezrobotnym sprzedawcą ogłoszeń, lecz nie sprostował błędu.

— Chce pan ze mną porozmawiać? — spytał.

— Chcę. Popijałem drinka z moją przyjaciółką Melbą, opowiadając najnowsze plotki z wydziału, i padło pańskie nazwisko. No właśnie, napije się pan czegoś?

Samuel szybko pomyślał. Czy powinien zaufać temu draniowi? Śliski, podejrzany typ, ale może nie aż taki zły, jak go przedstawiał Charles. Przypomniał sobie słowa Melby, że to drobna plotka.

— Jasne, szkockiej z lodem.

Maurice obrócił się na krześle i krzyknął do barmana: Szkocka z lodem dla mojego przyjaciela i jeszcze jeden burbon z lodem dla mnie. Obie whisky podwójne. Na mój rachunek.

— Tak jest, już się robi — odparł barman.

Melba mrugnęła porozumiewawczo do Samuela. Oboje wiedzieli, że ludzie tacy jak Sandovich nigdy nie płacą rachunków.

— Pańskie nazwisko wypłynęło, kiedy powiedziałem Melbie, że aresztowaliśmy Dong Wonga, znanego zbiega w Chinatown. Pamięta pan, byłem przesłuchiwany przez prokuratora i FBI. a pan siedział za lustrem.

— Skąd pan wie, że to byłem ja?

— My, gliny, wiemy wszystko, co się przed nami dzieje, przyjacielu. Ale wróćmy do Dong Wonga. Aresztowano go wczoraj wieczorem. Szykował się do opuszczenia miasta, złapano go na lotnisku.

— O! Czy prokurator federalny o tym wie?

— Nie, poza wydziałem tylko pan i Melba.

— Wie pan, jak bardzo Charles chciał dorwać tego człowieka? — spytał Samuel.

— Wiem, a będzie chciał jeszcze bardziej, kiedy się dowie, co powiedział.

Samuel dostał szkocką i wychylił ją duszkiem.

— Wygadał się.

— Co? Przyznał się do winy?

— To nie było takie proste. Wykombinował, że chcemy mu przypisać co najmniej pięć morderstw w Chinatown, a prócz tego jeszcze kupę innych rzeczy. Spyaliśmy więc,

czy ma nam coś do zaoferowania w zamian za łagodne potraktowanie. Powiedział nam dużo, próbując ratować tyłek przed komorą gazową — wyjaśnił Maurice.

— I co takiego powiedział? — spytał Samuel, skupiając uwagę.

— Podał nam nazwisko człowieka stojącego za tym wszystkim.

— Człowieka, który zlecił te wszystkie zbrodnie, łącznie z zamordowaniem Rockwooda i Louiego?

— Tak, a także z zamachem na O'Hare. Dał nam tego, kto uknuł całą intrygę. Dong Wong, jak twierdzi, otrzymał rozkazy do wykonania, ale mózg, który tym sterował, należał do kogoś innego.

— Do kogo? — spytał Samuel.

— Do tej baby. Virginii Dimitri.

Samuel zaczął szybko oddychać. Nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

— Czy pozwoli mi pan zrobić notatki, wie pan, dla gazety?

— Proszę bardzo, przyjacielu.

Samuel wyjął z kieszeni marynarki notes i ołówek. Przez następną godzinę notował, słuchając opowieści Maurice'a o tym, jak Virginia opłaciła Dong Wonga, żeby zabił Reginalda wtedy, kiedy ten odebrał pięćdziesiąt tysięcy od Xsing Chinga. Inaczej mówiąc, Reginald był narzędziem szantażu w rękach Virginii, która dostarczyła mu niezbędnych informacji.

— Jeszcze więcej zapłaciła Dong Wongowi, żeby zabił pana i prokuratora, ale w zamieszaniu zginął Chop Suey Louie — dodał Sandovich.

— A kim był ten, który przyszedł i opłacił własną klepsydrę? — spytał Samuel.

— Dong Wong wynajął aktora o ciemnych włosach i w smokingu, żeby pracownik gazety zapamiętał, jak wyglądał klient opłacający własną klepsydrę. Virginia sama ją napisała, wykorzystując to, co Rockwood opowiedział jej o swoim życiu. Wiadomości te okazały się wyssane z palca. Rockwood nie należał do wyższych sfer, lecz ona o tym nie wiedziała.

— Nie przewidziała też, że Samuel przyjdzie na nabożeństwo pogrzebowe. Od tego zaczęło się rozwiązywanie całej zagadki — rzekła Melba.

— Niech zgadnę. I ona także odpowiada za śmierć Rafaela Garcii i obrażenia, jakie odniósł Mathew O'Hara. Ale dlaczego? — zastanawiał się Samuel.

— Zadałem to samo pytanie. Dlaczego? Dong Wong powiedział, że Virginia ma także kupę szmalu, które ukryła dla O'Hary, więc chciała się go pozbyć, żeby zachować pieniądze dla siebie. Kiedy dowiedziała się, że przez jej ręce przejdzie milion dolarów, które miała przesłać telegraficznie do Xsing Chinga, postarała się, żeby do federalnych dotarła informacja o oględzinach towaru i dzięki temu udało im się aresztować Mathew O'Hare na gorącym uczynku. O'Hara nie należy do tych, co łatwo się poddają, dlatego Virginia i Dong Wong zaplanowali, że zabiją go w więzieniu. Federalni powiązali pieniądze wpłacone na konto strażnika w San Quentin z pieniędzmi, które Virginia przechowywała w jednym ze słoików u pana Songa.

— Tego mi nie powiedziano — rzekł Samuel, zastanawiając się, co jeszcze Charles przed nim ukrył. Umawiali się

przecież, że będzie go na bieżąco o wszystkim informował, a ta okazało się, że pan prokurator zagrywa nie fair. Samuel musiał zatem sam dowiedzieć się wszystkiego. Sandovich był kopalnią informacji, a za to szczęście winien wdzięczność Melbie.

— Czy mogę podać pana nazwisko jako źródło informacji? To gorący materiał i mogę go jutro opublikować w gazecie — zwrócił się Samuel do sierżanta.

— Tylko nie moje nazwisko, na litość boską. Wie pan, jak to się robi. Anonimowe źródła w policji itepe, itede.

Samuel dyszał z podekscytowania i niepokoju, którego nie mógł opanować. Myślał o tym, że musi dostarczyć materiał do nocnego edytora w gazecie, w której do niedawna pracował, i że musi przekonać go do opublikowania artykułu pod nazwiskiem Hamilton. Po przyniesieniu takiej historii powinni go zatrudnić jako reportera i wtedy przestałby przesładować go pech, innego wyjścia nie widział. Pożegnał się i wybiegł przez wahadłowe drzwi Camelotu, ściskając w ręku notes.

* * *

Na drugi dzień Blanche wpadła do sypialni Melby o nieprzyzwoicie wczesnej godzinie, wymachując poranną gazetą.

— Litości, dziecko, co się stało? Jest wpół do siódmej rano — wymamrotała nie całkiem rozbudzona Melba.

— Spójrz! Opublikowali jego artykuł na pierwszej stronie. I dużymi literami jest wydrukowane Samuel Hamilton, reporter. Wyobrażasz sobie! — cieszyła się Blanche. Odczytała tytuł:

FEMME FATALE ZAMIESZANA W MORDERSTWA
W CHINATOWN I AFERĘ Z UDZIAŁEM MILIONERA
Z SAN FRANCISCO, MATHEW O'HARY.

— Zdumiewające, nie uważasz? Samuel został reporterem! — powiedziała rozentuzjasmowana.

— Co tam jest napisane? Przeczytaj — mruknęła Melba, obmacując nocny stół w poszukiwaniu papierosów.

Samuel zdobywa poklask

To nie był jednorazowy strzał w dziesiątkę. Codziennie w porannej gazecie ukazywał się kolejny artykuł Samuela Hamiltona rozważający „Sprawę chińskich słoików”, tak bowiem zaczęto powszechnie nazywać tę kryminalną historię. Konkurowała ona o zainteresowanie czytelników z rywalizacją w podboju kosmosu między Stanami Zjednoczonymi a Związkiem Radzieckim, budową muru berlińskiego i Jacqueline Kennedy, która stała się światowym wzorem mody i stylu. Uznano zasługi Samuela w zwiększeniu nakładu gazety, a miejscowi plotkarze nie próżnowali, wyrabiając mu renomę pomysłowego reportera z lekkim piórem. Przydzielono mu własne biuro, co prawda bez okna, za to z wentylatorem i własną maszyną do pisania marki Underwood, ciężką jak lokomotywa, ale z klawiszami w dobrym stanie. Samuel wiedział, że zainteresowanie, jakie wzbudził, nie potrwa długo, jeżeli nie uda mu się podsycić ciekawości czytelników nowymi

historiami. Na szczęście w San Francisco wciąż wybuchały nowe skandale i wciąż popełniano zbrodnie.

Odniesiony sukces wywołał pewne subtelne zmiany w jego postawie, w jego ubiorze i w tym, jak potrafił się skoncentrować. Poczł się tak jak dawniej, pocł się sobą z tych czasów, kiedy żyli jeszcze jego rodzice i studiował na Uniwersytecie Stanforda. Poczł się sobą sprzed wypadku, w którym odniosła poważne obrażenia dziewczyna, i sprzed lat spędzonych w suterenie i poświęconych sprzedaży ogłoszeń w gazecie.

Zdawał sobie sprawę, jak wiele zawdzięcza Melbie. Ale z powodu pracy i zwariowanego, nieregularnego trybu życia przez kilka tygodni nie pokazywał się w Camelocie. Wreszcie wybrał się tam w niedzielne popołudnie. Melba siedziała przy okrągłym stole, pałac papierosa i popijając piwo. Przez kolana miała przełożoną smycz Excalibura, który leżał wierne u jej stóp.

Samuel wszedł do baru i pies na jego widok omal nie dostał ataku epilepsji z radości. Zaczł skakać i szczekać, oparł przednie łapy na nowej, wyprasowanej marynarce khaki i polizał reportera po wyciągniętych rękach. Samuel sięgnął do kieszeni marynarki i dał mu smakołyk, który Excalibur połknął w sekundę, bez gryzienia, i popatrzył, jakby spodziewał się dostać coś jeszcze. Melba powitała go nie tak afektowanie, lecz z niemniej szczerym uczuciem. Podszedł do niej z szerokim uśmiechem na zarumienionej twarzy i uściskał ją.

— Mały sukces, a jak cię odmienił — powiedziała, odsuwając się od niego na odległość wyciągniętej ręki i mierząc wzrokiem od stóp do głów.

— Ja też nie mogę w to uwierzyć — odparł i przez chwilę poddawał się z przyjemnością oględzinom Melby.

Potem rozejrzał się za Blanche. Zobaczył ją za barem w kształcie podkowy, przeprosił Melbę, podszedł szybko do stołka, usiadł na nim okrakiem, opierając stopy na szczebelkach i nachylił się nad kontuarem, czekając na reakcję Blanche. Ucieszyła się, że przyszedł, a kiedy wziął ją za rękę i zajrzał w oczy, popatrzyła na niego w taki sposób, o jakim kilka tygodni temu nawet by nie zamarzył.

— Przepraszam, że w ogóle się nie odzywałem, Blanche. Nie masz pojęcia, jaki byłem zapracowany.

— Wiemy, Samuelu. Codziennie czytamy twoje artykuły w gazecie.

— Naprawdę? — Samuel udał zdziwienie tak nieudolnie, że wyszła mu zarozumiała mina. — A więc śledzicie ten kryminał w odcinkach?

— Nie przegapiliśmy ani jednego. Pewnie masz nam co opowiadać, prawda?

— Jasne. Chodź, usiądź z mamą i ze mną przy stole, to się podzielę tym, co wiem.

— Przynieść ci drinka? Czy nadal pijesz wodę sodową? — spytała nie bez cienia złośliwości.

— Od czasu do czasu mogę się napić drinka.

— To co zwykle?

Samuel skinął głową, wstał ze stołka i dumnym krokiem powrócił do okrągłego stołu. Zamierzał usiąść tak, żeby pomiędzy nim a Melbą zostało jedno wolne miejsce, ale Excalibur niespodziewanie zaczął się wdrapywać na upatrzone przez niego krzesło. Melba chwyciła psa za obroź.

— Wiedziałam, że o nas nie zapomniłeś — zapewniła.

— Jak mógłbym zapomnieć, Melbo. Przecież to ty mi najczęściej pomogłaś w rozwiązywaniu tej zagadki.

Blanche przyniosła szkocką z lodem, postawiła przed Samuelem i usiadła przy nim. Wyglądała młodo i świeżo w białym dresie i z rozpuszczonymi włosami.

— Na koszt firmy — powiedziała.

— Dziękuję. Dziękuję wam obu za wspieranie mnie. Od czego mam zacząć?

— Zawsze uważałam Reginalda za frajera — oznajmiła Melba. — Jak taka przystojna babka mogła się w kimś takim zakochać? Musiała wiedzieć, że to nieudacznik. Co nią kierowało?

Samuel roześmiał się.

— W tej historii pełno jest niespodzianek — rzekł, mieszając drinka wskazującym palcem. — Pamiętacie, jak mówiłem, że co miesiąc, oprócz regularnej pensji, wpływała na jego konto dziwna wpłata w wysokości stu pięćdziesięciu dolarów i nie mogliśmy dojść, co to jest?

— Pamiętam. Myślałam, że może podkrada napiwki kelnerkom koktajlowym — zażartowała Melba.

— Charles w końcu doszedł prawdy. Pieniądze te pochodziły ze stowarzyszenia weteranów. Charles wydał nakaz dostarczenia dokumentów Reginalda i dowiedział się, że biedak nabawił się nerwicy frontowej na wojnie koreańskiej i dostawał z tego tytułu rentę. Z pewnością jednak już przedtem cierpiał na jakieś zaburzenia.

— Skąd wiedział, gdzie szukać informacji? — spytała Blanche.

— Numery kont bankowych wskazały, skąd pochodzą pieniądze — wyjaśnił Samuel. — Z jego medycznych akt wynika, że miał pomieszaną w głowie, ledwie mógł samodzielnie funkcjonować. Był tak zaburzony, że nie wydawał ani centa. Praktycznie wszystkie zarobki z drukarni pobierał w postaci gotówki i chował do słoja w sklepie pana Songa. Spał w schowku, a jadał na przyjęciach, na które udało mu się wkręcić. Nic dziwnego, że miał zrujnowaną wątrobę, jak wykazała autopsja. Był chory umysłowo, przeszedł kilka terapii elektrowstrząsowych w szpitalu V.A. Brał sporo leków. Przyznam się, że dałem się nabrać, wierzyłem we wszystkie opowiadane przez niego historie.

— Myślisz, że Virginia o tym wszystkim wiedziała? — zapytała Blanche.

— Nie tylko wiedziała, ale to wykorzystała.

— Skąd ta pewność? — dociekała Melba.

— Bo w Chinatown wszystko wiadomo. Niedaleko od apartamentu Mathew przy Grant Avenue była maleńka chińska herbaciarnia. Właścicielka, Mej Tan, powiedziała, że tych dwoje godzinami przesiadywało u niej przez około rok, gdy rozgrywały się te wszystkie wydarzenia. Zawsze płaciła Virginia. Reginald siedział, popijał herbatę, palił i zwierzał się Virginii ze swoich problemów, czasami wybuchając płaczem. Mej twierdziła, że Virginia umiała pytać i słuchać odpowiedzi. Chińczycy znają się na tym. Urabiała go jak chciała, nie stawiał oporu.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego go zabito — zastanawiała się Melba.

— Według Dong Wonga zaprzęła Reginalda do czarnej

roboty — rzekł Samuel, zakręcając drinkiem, po czym pociągnął łyk i rozkruszył zębami kostkę lodu. — Kazała mu szantażować Xsing Chinga, chińskiego handlarza dziełami sztuki, i brać od niego pieniądze. Oddawał je jej, kiedy byli razem. Ale jak to najczęściej bywa, przy tak wysokiej stawce, chciał dostać pieniądze za zachowanie milczenia.

— Więc zaczął szantażować ją — domyśliła się Melba.

— Otóż to. Możliwe też, że to tylko wymyślona przez nią historyjka. Może planowała to wszystko od samego początku. Nigdy nie zdobędziemy pewności, nawet jeżeli napisze pamiętniki. Na początku dała mu trzy szmaragdy, które dostała z Kolumbii. Znaleźliśmy je w słoju Reginalda w sklepie pana Songa, razem z dziesięcioma tysiącami zaoszczędzonych dolarów. Zdaje się, że Reginald chciał też dostać połowę z pięćdziesięciu tysięcy, które zabrali Xsing Chingowi. Dlatego Virginia kazała Dong Wongowi pozbyć się Reginalda. Dong wraz z drugim Chińczykiem oprychem wepchnęli go pod trolejbus.

— Biedaczysko. — Blanche westchnęła. — Nie miałam pojęcia, że jest chory psychicznie.

— Chciałbym cię prosić o przysługę — rzekł Samuel.

— Co tylko zechcesz, synu.

— Lekarz sądowy zmienił przyczynę śmierci na zaświadczeniu Reginalda. Już nie jest tam napisane samobójstwo. Teraz jest napisane, że zginął z cudzej ręki. Ciało zostanie wydane, a władze powiatu opłacą koszty. Chciałbym, żebyś mi towarzyszyła i żeby miał pogrzeb jak należy.

— Oczywiście, przynajmniej tyle możemy zrobić — odparła Melba.

— Na mnie też możesz liczyć — dodała Blanche. — Czy jeszcze coś chciałbyś nam opowiedzieć w związku ze sprawą?

— Myślę, że resztę znacie z gazety.

— Nauczyłeś się tak pisać na Uniwersytecie Stanforda? — spytała Melba ze śmiechem.

Samuel próbował udąć, że nie słyszy, ale mimo woli się uśmiechnął.

— Wspomniałeś pana Songa. Czy miał coś wspólnego z którąkolwiek z tych zbrodni? — chciała wiedzieć Blanche, która słuchała go bardzo uważnie. Miała podwinięte rękawy sportowej koszuli, opierała się łokciami o stolik, a dłońmi obejmowała policzki.

— Niemożliwe. To uczciwy bankier. Pilnuje cudzych pieniędzy i przedmiotów pozostawionych w depozycie, w pewnym sensie jest w Chinatown kimś w rodzaju starożytnego sędziego pokoju.

— O czym ty mówisz, u licha? — zastanawiała się Melba, przeczesując palcami szaroniebieskie włosy, mrużąc oczy i zaciągając się lucky strike'em.

— Wiecie, że wszystkie moje artykuły zostały przetłumaczone na chiński i ukazały się w lokalnej gazecie w Chinatown? — spytał Samuel, wstając i przeciągając się.

— Nie miałam o tym pojęcia. — Melba wymieniła niedowierzające spojrzenia z córką.

— Chińczycy fascynują się historiami kryminalnymi, i to od co najmniej szóstego wieku, z tego co słyszałem.

— Nabierasz nas — rzekła Melba z pogardliwym grymasem.

— Nie. Naprawdę. Uwielbiają je i wielkim szacunkiem otaczają uczciwość i bezstronny sąd.

— A co to ma wspólnego z panem Songiem? — spytała Blanche.

— Społeczność widzi w nim sprawiedliwego sędziego. Dlatego ludzie powierzają mu pieniądze i nikt nie próbuje go okraść. Jak już mówiłem, to bardzo stara tradycja. Ten starożytny sędzia pokoju, o którym wspomniałem, nazywał się sędzia Di, ponoć żył naprawdę. Był prokuratorem, śledczym i sędzią w jednym. Pewien holenderski dyplomata, Robert van Gulik, przeprowadził skrupulatne badania i opublikował niedawno serię kryminałów o perypetiach sędziego Di, i to, proszę was, po angielsku. Twierdził, że te historie były bardzo popularne nawet w szesnastym i siedemnastym wieku, lecz wiemy, że zaczęły się znacznie wcześniej. Różnica między ich kulturą a naszą polega na tym, że sędzia Di rozwiązywał zagadki, uciekając się do wróżenia.

— Co przez to rozumiesz? — spytała Blanche.

— To znaczy, że korzystał z rozumowania indukcyjnego, czyli intuicyjnego, tak jak Melba — wyjaśnił Samuel.

— To znaczy zgadywał — rzekła ze śmiechem Melba.

— Zgadywał, opierając się na posiadanym doświadczeniu.

— Czy Song był prawdziwym detektywem, który rozwiązał tę sprawę? — dopytywała się Blanche.

— Tego bym nie powiedział. Ale może ludzie w Chinatown wierzą, że to on, ponieważ, tak jak mówiłem, cieszy się w swojej społeczności wielkim szacunkiem, i nie zapominaj, że te chińskie historie kryminalne są częścią ich kultury. Pasuje jak ulał.

— Może powinieneś zmienić zawód, Samuelu, i zacząć pisać kryminały, w których pan Song jest detektywem roz-

wiążącym zagadki. Co o tym sądzisz? — podsunęła pomysł Melba.

Wszyscy się roześmieli. Melba stuknęła się z Samuelem — butelka piwa o szklanę whisky — a Excalibur usiłował wskoczyć mu na kolana. Samuel odstawił drinka i spoważniał.

— Nie, nie — powiedział, kręcąc głową i czerwieniąc się. Utkwił spojrzenie w Melbie. — Mam pełne ręce roboty, opisując jako reporter to, co się dzieje. Nie muszę niczego wymyślać.

— Nigdy nie mów nigdy — powiedziała Melba i mrugnęła.

Spis treści

Rozdział 1 — Reginald Rockwood Trzeci	7
Rozdział 2 — Camelot.....	27
Rozdział 3 — Virginia Dimitri zabawia Xsing Chinga	39
Rozdział 4 — Rafael Garcia	50
Rozdział 5 — Blanche	60
Rozdział 6 — Samuel rozpoczyna poszukiwania	68
Rozdział 7 — Rafael w tarapatach.....	100
Rozdział 8 — Xsing Ching poddaje się.....	109
Rozdział 9 — Brakująca strona.....	117
Rozdział 10 — Król buław	136
Rozdział 11 — Szczęście opuszcza Rafaela.....	148
Rozdział 12 — Coś się szykuje	163
Rozdział 13 — Chinatown w żałobie	188
Rozdział 14 — Mathew próbuje się układać	215
Rozdział 15 — Każdy dorzuca swoje trzy grosze	223
Rozdział 16 — Rafael i Mathew.....	246
Rozdział 17 — Samuel bierze sprawy w swoje ręce	259
Rozdział 18 — Samuel zdobywa poklask	295